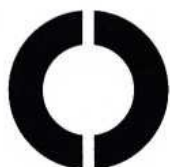


SŁAWOMIR KOPER

**OSZUŚCI
ZABÓJCY
KASJARZE**



OSZUŚCI,
ZABÓJCY, KASJARZE



Sławomir Koper

Warszawa 2015

Projekt okładki
FRYCZ I WICHA

Zdjęcia

Getty Images, Archiwum, archiwum Zofii Forteckiej/FOTONOVA,
Edward Iwanek/PAP, Maciej Sochor/PAP.

Wydawnictwo dołożyło wszelkich starań, by ustalić właścicieli praw do zdjęć
wykorzystanych w książce. Jeśli kogoś pominieliśmy, prosimy o kontakt
w celu załatwienia kwestii formalnych.

Redaktor prowadząca
Katarzyna Litwińczuk

Redakcja
Witold Grzechnik

Korekta
Małgorzata Ablewska

Skład
Tomasz Erbel

Wydawca
Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K.A.
Rynek Starego Miasta 5/7m.5
00-272 Warszawa

Druk i oprawa
Toruńskie Zakłady Graficzne
„Zapolex” Sp. z o.o.
ul. Gen. Sowińskiego 2/4
87-100 Toruń

Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Olesiejuk Sp, z o.o. S.K.A.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki

ISBN 978-83-7700-209-4

Warszawa 2015

Spis treści

Od autora..... 7

Rozdział I

Skandal na Jasnej Górze..... 12

ŚWIĘTOKRADZTWO W KLASZTORZE..... 14

TRUP W SOFIE..... 17

W DRODZE DO ZBRODNI..... 19

KOCHANKA ZAKONNIKA..... 22

ŚLUB..... 26

ZBRODZIA..... 28

UCIECZKA..... 30

PROCES W PIOTRKOWIE..... 32

Rozdział II

Gangsterzy i politycy..... 39

ŁUKASZ SIEMIĄTKOWSKI..... 41

NIEZDROWA TRADYCJA..... 43

OD BOJOWNIKA DO GANGSTERA..... 45

KERCELAK..... 47

TATA I POLICJA..... 49

KONIEC BANDY SIEMIĄTKOWSKIEGO..... 52

PROCES TATY TASIEMKI..... 55

JÓZEF ŁOKIETEK..... 60

W KIERUNKU PÓŁŚWIATKA..... 61

FACHOWIEC OD ZADAŃ SPECJALNYCH..... 63

CZŁOWIEK O DWÓCH OBLICZACH..... 64

SZEF GANGU..... 67

GANGSTERZY PATRIOCI..... 69

Rozdział III

<u>Szpicbródka i kasiarze.....</u>	<u>74</u>
<u>ELITA ZAWODU.....</u>	<u>76</u>
<u>ABECADŁO KASJARZA.....</u>	<u>83</u>
<u>ZŁOTA EPOKA.....</u>	<u>86</u>
<u>STANISŁAW CICHOCKI.....</u>	<u>90</u>
<u>ZAKŁADY GRAFICZNE.....</u>	<u>94</u>
<u>NAJWIĘKSZY WYSTĘP KRÓLA KASJARZY.....</u>	<u>98</u>
<u>SŁYNNY PROCES.....</u>	<u>102</u>
<u>KONIEC ŚWIATA KASJARZY.....</u>	<u>105</u>

Rozdział IV

Niezwykłe losy

<u>Sergiusza Piaseckiego.....</u>	<u>109</u>
<u>SMUTNE DZIEJE POTOMKA POLSKIEJ SZLACHTY.....</u>	<u>111</u>
<u>BIĄŁORUSKI PATRIOTA.....</u>	<u>113</u>
<u>WŚRÓD PRZEMYTNIKÓW.....</u>	<u>118</u>
<u>WYWIAD I KOKAINA.....</u>	<u>122</u>
<u>BANDYTA.....</u>	<u>128</u>
<u>ŚWIĘTY KRZYŻ.....</u>	<u>132</u>
<u>KOCHANEK WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY.....</u>	<u>136</u>
<u>NA WOLNOŚCI.....</u>	<u>144</u>
<u>W ŚWIECIE LITERATURY.....</u>	<u>147</u>
<u>SPRAWA JÓZEFA MACKIEWICZA.....</u>	<u>149</u>
<u>JADWIGA WASZKIEWICZ.....</u>	<u>153</u>
<u>NA OBCZYŹNIE.....</u>	<u>157</u>
<u>POPUTCZYK MIŁOSZ.....</u>	<u>159</u>

Rozdział V

<u>Przypadek Jerzego Kalibabki.....</u>	<u>165</u>
<u>JUREK, SYN RYBAKA.....</u>	<u>167</u>
<u>PIERWSZE OFIARY UWODZICIELA.....</u>	<u>169</u>
<u>SZALEŃSTWO I METODA.....</u>	<u>171</u>

<u>BEZ SKRUPUŁÓW.....</u>	<u>175</u>
<u>ON I ONE.....</u>	<u>177</u>
<u>MIŁOŚĆ?.....</u>	<u>182</u>
<u>„NIUSIA”</u>	<u>187</u>
<u>HERSZT DAMSKIEGO GANGU.....</u>	<u>191</u>
<u>DZIEŃ KOBIET W NOWYM TARGU.....</u>	<u>198</u>
<u>TULIPAN.....</u>	<u>202</u>
<u>SZKOŁA FLIRTU.....</u>	<u>204</u>
<u>Rozdział VI</u>	
<u>Wieczny uciekinier.....</u>	<u>207</u>
<u>PIERWSZA UCIECZKA.....</u>	<u>210</u>
<u>PRZEMYTNIK I ZŁODZIEJ.....</u>	<u>211</u>
<u>„SZASZŁYK”</u>	<u>213</u>
<u>OSTATNI, CO TAK POLONEZY WODZIŁ.....</u>	<u>215</u>
<u>PAŁAC MOSTOWSKICH.....</u>	<u>218</u>
<u>GLIWICE RAZ JESZCZE.....</u>	<u>221</u>
<u>OSTATNIA KRADZIEŻ.....</u>	<u>224</u>
<u>Zakończenie.....</u>	<u>227</u>
<u>Ważniejsza bibliografia.....</u>	<u>229</u>



Od autora



Przestępstwa towarzyszyły ludzkości od zarania dziejów, o czym świadczą zachowane do naszych czasów kodeksy karne najstarszych cywilizacji antycznych. W każdym bowiem kraju, w każdej kulturze czy formacji ustrojowej byli osobnicy, którzy z chęci wzbogacenia się albo z życiowej konieczności łamali obowiązujące prawo. Pod tym względem mało się zmieniło na przestrzeni wieków, a ludzie żyjący przed setkami lat niewiele się różnili od współczesnych. Przedstawiciele naszego gatunku zawsze dążyli do osobistego szczęścia, chcieli być zamożni, bywali też podli i okrutni wobec bliźnich. Zmieniały się uwarunkowania kulturowe i polityczne, ale człowiek pozostawał człowiekiem.

Książka, która trafia do Państwa rąk, jest pozycją nieco nietypową na tle mojej dotychczasowej twórczości. Z reguły bowiem pisałem o sławnych postaciach naszej historii, przedstawiając je od strony życia prywatnego. Koncentrowałem się na mało znanych wydarzeniach obyczajowych, odsłaniałem wstydliwie skrywane tajemnice osobiste, starając się przedstawić naszych polityków czy luminarzy kultury w szlafroku i kapciach.

Pewnym odstępstwem od tej metody były książki *Wielcy zdrajcy* i *Polskie piekielko*. W nich skupiłem się na wydarzeniach politycznych, które – jako niezbyt chwalebne – psuły dobre samopoczucie Polaków i z tego powodu były skazywane na zapomnienie. Podobnie jest z tematem

niniejszej książki – choć wszyscy zdają sobie sprawę, że bandyci, złodzieje i oszuści działali w każdej epoce, to mało kto lubi się do nich przyznawać. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że życie przestępcze zawsze było częścią składową naszej historii i wiele mówi o codziennej egzystencji naszych przodków.

O kim jednak napisać? Czy o tych, którzy wspomina- ni są z nutą podziwu i sympatii, czy raczej o tych, którzy jako sprawcy okrutnych zbrodni do dziś budzą grozę i obrzydzenie? Po dłuższym zastanowieniu wybrałem tych, których historie uznałem po prostu za najciekawsze. Wśród bohaterów tej książki nie ma jednak zwyrodnia- łych, seryjnych morderców, doszedłem bowiem do wniosku, że ani nie chcę, ani nie potrafię napisać komentarza do podręcznika medycyny sądowej. W zamian postanowi- łem przybliżyć Czytelnikom inne historie kryminalne, cza- sami również krwawe, ale niewątpliwie interesujące i peł- ne cennych informacji na temat epoki, w której się rozgry- wały.

Książka zaczyna się relacją z największego skandalu w dziejach Jasnej Góry. Najświętsze miejsce polskiego ka- tolicyzmu zostało sprofanowane przez gang zbrodniczych paulinów, którzy w celu zdobycia środków na swoje roz- pustne życie nie zawahali się zrabować drogocennych ko- ron i sukienki z cudownego obrazu Matki Boskiej Często- chowskiej. Sprawa ta obfitowała w niezwykle bulwersują- ce fakty, były tam i świętokradztwo, i fałszowanie doku- mentów, i zazdrość, i nawet zabójstwo popełnione w mu- rach jasnogórskiego klasztoru.

Wiele miejsca poświęciłem światowi przestępczemu II Rzeczypospolitej. Zawsze uważałem, że była to naj- barwniejsza epoka w dziejach Polski, a twierdzenie to do- tyczy również środowiska ówczesnych gangsterów. Pra- wie wszyscy z nas słyszeli o sławnych kasiarzach ze Szpic- bródka na czele albo o gangu Taty Tasiemki z warszaw-

skiego Kercelaka, ale już historia Sergiusza Piaseckiego jest zdecydowanie mniej znana. Tymczasem żywot tego przemytnika, bandyty, pensjonariusza najcięższych więzień epoki, a z drugiej strony – dzielnego agenta wywiadu, egzekutora AK i znakomitego pisarza, to temat na wielką powieść przygodową albo telewizyjny serial.

Nie mogłem również nie przedstawić dwóch głośnych postaci z epoki PRL-u. Życiorysy Jerzego Kalibabki i Zdzisława Najmrodzkiego obrosły bowiem w wiele mitów, które starałem się skonfrontować z rzeczywistością. I muszę teraz przyznać, że autentyczne elementy ich biografii nie ustępowały plotkom opowiadanym na ich temat.

Pisząc *Oszustów, zabójców, kasiarzy*, opierałem się na wspomnieniach, korespondencji i artykułach prasowych. Szczególną uwagę poświęciłem tym ostatnim źródłom, bo najlepiej oddają one atmosferę tamtych dni, a komentując na bieżąco wyczyny bohaterów tej książki, wiele mówią o ówczesnym społeczeństwie.

W jednym przypadku z rozmysłem dałem pierwszeństwo innemu rodzajowi źródeł, spędzając pewien czas w archiwum Sądu Rejonowego w Nowym Targu, gdzie zapoznałem się z aktami procesu Jerzego Kalibabki. Zauważyłem bowiem, że choć tak wiele osób pisało o najsłynniejszym w dziejach PRL-u przestępcy uwodzicielu, to chyba nikt nie korzystał z dokumentacji sądowej, a do tychczasowa baza źródłowa opowieści o „Tulipanie” ograniczała się jedynie do artykułów prasowych i rozmów z nim samym. Ja natomiast uznałem, że bardziej wierny obraz jego działalności uzyskam z analizy akt procesowych – i nie zawiodłem się. Wyłonił się z nich zupełnie inny wizerunek tego przestępcy, bardzo odległy od powszechnej opinii na jego temat. Być może dla niektórych Czytelników będzie on nieco zaskakujący, ale zaskakiwanie jest chyba jedną z cech mojego piarstwa.

Zawsze starałem się bowiem popularyzować historię

przez ukazywanie wydarzeń mało znanych albo przez opowiadanie o nich inaczej, niż czynili to inni autorzy. Zawsze też wykorzystywałem źródła, które wielu badaczy pomijało lub lekceważyło, a robiło to – moim zdaniem – niesłusznie, bo każde źródło zawiera jakąś część prawdy o wydarzeniach sprzed lat...

Sławomir Koper



Rozdział I

Skandal na Jasnej Górze





Paulin Damazy Macoch związał się z **Helena**, która przyjechała na Jasną Górę i wyspowiadała się właśnie u niego. Była inteligentna i urodziwa, toteż zakonnik zupełnie stracił dla niej głowę. W Warszawie Damazy wynajął dla kochanki eleganckie lokum oraz zadbał, aby nie miała problemów finansowych.

Gdy Helena chciała oficjalnie mieć dziecko, mnich znalazł jej niekrępującego małżonka – wybór padł na kuzyna, **Wacława Macocha** (na zdjęciu od lewej: Damazy, Helena, Wacław).

Serca wiernych ścisnęły się bólem i rozpaczą – informowała na pierwszej stronie »Gazeta Częstochowska«. – Dziś w nocy dokonano na Jasnej Górze potwornego świętokradztwa, na samą myśl o którym krew ścina się w żyłach, a duszę ogarnia straszny lęk przed ogromem zbrodni ludzkiej.

Z trwogą spoglądamy w przyszłość.

Do jakiego upadku, upodlenia i nędzy może dojść zbrodniczy szal istoty ludzkiej.

Lotem błyskawicy przebiegła dziś rano Częstochowę wiadomość, że świętokradcza ręka targnęła się na świętość sercu polskiemu najdroższą. Tysięczne tłumy, zatrwożone, zbolełe biegły na Jasną Górę, nie dając wiary przerażającej wieści. Niestety, wieść ta okazała się prawdziwa!"[1].

ŚWIĘTOKRADZTWO W KLASZTORZE

To był jeden z najczarniejszych dni w dziejach sanktuarium na Jasnej Górze. Wczesnym rankiem 23 października 1909 roku zakonnicy odkryli, że nieznani sprawcy okradli obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Zniknęły

1 – *Świętokradztwo na Jasnej Górze*, „Gazeta Częstochowska” 24.10.1909.

dwie korony z brylantami oraz sukienka inkrustowana perłami. Ponadto łupem złodziei padły wota pozostawione przez wiernych: 15 złotych zegarków, 50 złotych obrączek, 40 pierścieni z brylantami, 15 złotych bransoletek, 4 duże złote krzyże oraz 50 krzyżyków na szyję.

„Ilu było świętokradców – komentowała prasa – dziś sprawdzić trudno. Niepodobna jednak przypuszczać, aby działał jeden złoczyńca. [...] Sądząc z położenia świątyni oraz wejść i wyjść, złoczyńca czy złoczyńcy dostali się do kaplicy św. Antoniego przez okno, w którym już poprzednio brakowało szyby. Odryglowanie bramy prowadzącej z kaplicy do kruchty nie przedstawiło żadnej trudności, gdyż zasuwą odmykana jest od wewnątrz. Tą drogą zbrodniarze przedostali się na ganek w kaplicy z Obrazem Cudownym i zawiązawszy u bariery sznur, opuścili się na ambonę”[2].

Śledczy od razu zwrócili uwagę na fakt, że złodzieje sprawiali wrażenie ludzi doskonale znających rozkład pomieszczeń. Nawet linkę, którą mieli się posłużyć, umocowali na pręcie, o którego istnieniu nie mógł wiedzieć nikt z zewnątrz. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że była to tylko próba wprowadzenia policji w błąd, gdyż linka nie była im wcale potrzebna. Znalaziono również porzucony przez nich sznur sztucznych pereł, których w ciemnościach nie można było odróżnić od prawdziwych. A więc sprawcy musieli doskonale wiedzieć, co kradną.

„Prowadzi to do przypuszczenia – podejrzewał dziennikarz »Kuriera Porannego« – że kradzież popełniona została przez kogoś, kto znając dokładnie klasztor... po spełnieniu kradzieży potrafił się w nim ukryć[3].

2 – *Potworna zbrodnia. Świętokradztwo na Jasnej Górze. Okradzenie Obrazu Przenajświętszego*, „Gazeta Częstochowska (Dodatek Nadzwyczajny), 23.10.1909.

3 – Za: K. Kąkolewski, *Rozkaz zabić anno 1911*, niniwa22.cba.pl/rozkaz_zabic_anno_1911.htm

Śledztwo utknęło jednak w martwym punkcie, a prasa prześcigała się w spekulacjach. Dziennikarze lewicowych tytułów sprawiali wrażenie zadowolonych że świętokradztwa, dając do zrozumienia, że już dawno należało ograniczyć klerykalizm i kult świętych obrazów. Nie przeszkodziło to jednak w ponownej koronacji częstochowskiej relikwii, do której doszło w maju 1910 roku, przy czym nowe korony przysłano bezpośrednio z Watykanu.

Uroczystość stała się pretekstem do rozprawy z „podżegaczami do świętokradztwa”, jak określił lewicowych dziennikarzy przeor Jasnej Góry, ojciec Euzebiusz Rejman:

„Dożyliśmy czasów strasznych. Oszczerstwa, kradzieże, kłamstwa, zabójstwa, bluźnierstwa i naśmiewanie się z rzeczy świętych na każdym kroku. Niektóre bezbożne pisma jawnie bluźnierstwa sięją i na Boga powstają, bluźnią Najświętszej Pannie! Czyż od takich nauk daleko jest do czynu świętokradztwa?” [4].

Przeorowi wtórował biskup wrocławski Stanisław Zdzitowiecki, który winą za świętokradztwo obarczył agitatorów dążących do zmian społecznych na ziemiach polskich:

„[...] wypadki ostatnich czasów wyprowadziły lud do walki ekonomicznej. Rzucono ziarno nienawiści klasowej. Ulica święciła triumf, powoli zrodziło się rozbójnictwo i walka o pieniądź z pogwałceniem uczuć religijnych, rodzinnych i narodowych” [5].

Do dyskusji włączyły się tytuły katolickie i prawicowe. Jednak pomimo tej prasowej wojny sprawców przestępstwa nie wykryto. I zapewne pozostaliby oni nie-

4 – Za: J. Kuciel-Frydryszak, *Świętokradztwo na Jasnej Górze*, wyborcza.pl/alehistoria/1,137864,15823515,Swietokradztwo_na_Jasnej_Gorze.html?disableRedirects=true

5 – Za: K. Kąkolewski, *op. cit.*

uchwytni, gdyby nie upór pewnego rosyjskiego sztabkapitana.

TRUP W SOFIE

Kilka tygodni po koronacji obrazu w pobliżu wsi Zawady, leżącej na północ od Częstochowy, dokonano makabrycznego odkrycia. Z rozlewisk Warty wyłowiono sofę, w której znajdowało się ciało nieznanego mężczyzny. Denat zginął od ciosów siekierą.

„Zamordowany to wysoki blondyn – relacjonowała prasa – około lat 35, cokolwiek ryży. Rany zostały zadane ręką pewną i śmiałą. Sekcja wykazała, że pierwszą ranę otrzymał zamordowany podczas snu. Oprócz zadawania ciosów morderca dusił ofiarę” [6].

Ofiary początkowo nie udało się zidentyfikować, śledztwo ruszyło jednak z miejsca, gdy sprawą zajął się sztabkapitan Czernogołowkin z warszawskiej policji. Zrezygnował on ze stwierdzenia tożsamości ofiary i skoncentrował się na próbach ustalenia pochodzenia sofy, w której znaleziono zwłoki. Szybko też doszedł do zadowalających wyników.

Sofa była opakowana w matę (tzw. rogożę), na której zachowały się symbole przesyłek kolejowych. Ustalono, że mata została nadana z Krzemieńca do Częstochowy, gdzie odebrał ją miejscowy kupiec Szlama Potok. Ten zaś przesłuchany przez policję zeznał, że sprzedał ją nieznanemu z nazwiska klientowi, który zapakował ją do dorożki.

Czernogołowkin był doświadczonym śledczym i nie popełnił błędu. Jego podwładni przeczesali teren pomiędzy Częstochową a Zawadami, rozpytując okolicznych mieszkańców. Trop okazał się właściwy, bo wkrótce zna-

leziono świadków, którzy widzieli dorożkę wiozącą dziwny pakunek. Ponownie przesłuchiwany Potok zeznał ponadto, że klient, który zapłacił za matę, kupił jeszcze wielki wiklinowy kosz, informując przy okazji, że właściwym nabywcą miał być ktoś z jasnogórskiego klasztoru.

Przesłuchano więc częstochowskich dorożkarzy, a jeden z nich zdradził, że jego kolega Wincenty Pianko chwalił się nietypowym kursem za miasto i przewozem wielkiej paczki. Dodał również, że nieźle na tym zarobił, a zleceniodawcą miał być jakiś zakonnik.

Piankę aresztowano i choć ten uparcie milczał, śledztwo potoczyło się wtedy już błyskawicznie. Okazało się, że dorożkę wynajął paulin Damazy Macoch, który wraz z klasztorным służącym Stanisławem Załogiem załadował sofę do pojazdu, nakazując dorożkarzowi jazdę w kierunku Zawad.

„[...] w rzece Warcie w głębokim topielisku sofę zatopili – relacjonował reporter »Kuriera Warszawskiego«. – Kiedy zaintrygowany tym w najwyższym stopniu dorożkarz Pianko pytał, co to wszystko znaczy, ojciec Damazy zalecił mu milczenie, obiecując wyjaśnić później.

W drodze powrotnej [...], kiedy dorożka znalazła się w lesie, paulin Damazy zatrzymał ją, wziął krzyż do ręki i kazał na niego przysiąc dorożkarzowi Piance, że nigdy i nikomu nie powie o podróży z nim i przewiezieniu sofy, choćby nawet był więziony – a to »dla dobra wiary chrześcijańskiej« [7].

Dorożkarz został sownie wynagrodzony, bo za wyprawę do Zawad otrzymał 30 rubli, co równało się miesięcznemu zarobkowi robotnika fabrycznego. Uważał swoją przysięgę za wiążącą i nie chciał zeznawać. Pomimo to śledczym udało się ustalić personalia ofiary znalezionej w sofie. Był nim Wincenty Macoch, brat stryjeczny ojca

Damazego. Zakonnika jednak nie aresztowano, gdyż wraz ze służącym zniknął on z klasztoru. W jego celi znaleziono korespondencję z wdową po ofierze – zamieszkałą w Warszawie Heleną Krzyżanowską. Ta również zniknęła, ale jej sąsiadka zeznała, że osobnik podobny do ojca Damazego był u niej częstym gościem. Rozpoczęły się intensywne poszukiwania całej trójki, a jednocześnie policja połączyła poszczególne elementy tej układanki. Helenę niebawem ujęto u siostry mieszkającej w okolicach Miechowa, natomiast Damazego aresztowano na dworcu w Krakowie. Zeznania zatrzymanych pozwoliły na ujawnienie straszliwej prawdy.

W DRODZE DO ZBRODNI

W chwili aresztowania ojciec Damazy miał niespełna 40 lat. Pochodził z chłopskiej rodziny osiadłej we wsi Lipie, leżącej niedaleko Częstochowy. Choć jego rodzice nie uchodzili za specjalnie zamożnych, otrzymał on względnie przyzwoite wykształcenie domowe. Dzięki temu jako nastolatek został pomocnikiem pisarza gminnego, a po kilku latach zajął nawet jego stanowisko. W awansie zapewne pomogło mu to, że jego wuj był wójtem gminy i popierał młodszego kuzyna.

Macoch nie wytrzymał jednak długo na etacie pisarza, bo już rok później porzucił tę pracę i wstąpił do zakonu paulinów.

„Przyjęcie kandydata do zakonu uwarunkowano koniecznością spełnienia szeregu warunków – tłumaczył historyk Jan Pietrzykowski. – Wymienić trzeba przede wszystkim te, które stawiano celowo, by osłabić wewnętrzną spójność, poziom umysłowy i morale zakonników. Kandydat musiał uzyskać aprobatę gubernatora i zezwolenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych po policyjnym sprawdzeniu jego lojalności. Musiał uprzednio odbyć

służbę wojskową i ukończyć dwadzieścia cztery lata. Ślub uroczyste mógł złożyć dopiero po ukończeniu trzydziestego roku życia. Nie wymagano natomiast od kandydatów właściwego cenzusu naukowego. Klasztorom zaś zabroniono organizowania studiów, prowadzenia seminariów, a nawet szkół początkowych. Otworzono szeroko furty klasztorne dla ludzi niegodnych noszenia habitu”[8].

Polskie zakony znajdowały się wówczas w ciężkiej sytuacji, bo w ramach represji po stłumieniu powstania styczniowego skasowano wiele z nich, a pozostałym bardzo utrudniano egzystencję. Dziwnym trafem Macoch nie miał jednak problemów z rekomendacją władz...

„Po dwóch latach – informował anonimowy autor relacji z tragicznych wydarzeń – przeor klasztoru ksiądz Euzebiusz Rejman posłał go do seminarium we Włocławku, ale Macoch po przybyciu do seminarium zachorował na tyfus i powrócił do klasztoru, gdzie [...] przygotowywał się do stanu duchownego”[9].

Zachowały się jednak informacje, że to nie tyfus przeszkodził Macochowi w studiach we Włocławku, tylko całkowity brak zdolności, za sprawą którego nie dawał sobie rady z nauką. Na Jasnej Górze wymagania były mniejsze, tam też został wyświęcony na księdza.

„W klasztorze Damazy odznaczał się początkowo cichym i spokojnym charakterem, lubili go wszyscy, a ksiądz Rejman, który był do niego jak najlepiej usposobiony, zrobił go swoim sekretarzem. Ale stan ten nie trwał jednak długo. Po roku lub najwyżej dwóch Macoch zaczął wyjeżdżać ciągle z klasztoru, tłumacząc się, że musi odwiedzać krewnych i porządkować interesy. W tym czasie zmienił się radykalnie charakter Macocha. Zaczął zanie-

8 – Za: T. Dyniewski, Zbrodnia Damazego Macocha, http://niniwa22.cba.pl/zbrodnia_damazego_macocha.htm

9 – *Proces księdza Damazego Macocha*, Toledo, Ohio 1912, s. 16.

dbywać obowiązki księdza-zakonnika, stał się kłamcą, skrytym i rozpustnym”[10].

Zmiany w zachowaniu Macocha łączono z tym, że związał się on z dwoma zakonnikami mającymi w klasztorze bardzo złą opinię: z Izydorem Starczewskim i Bazylim Olesińskim. Na postępowanie całej trójki wpłynęła nawet skarga do konsystorza we Włocławku, przy czym Macoch i Starczewski zostali uniewinnieni i tylko Olesiński dostał „surowe napomnienie”.

„Przeor Rejman próbował wpłynąć na Macocha, ale Macoch odparł, aby przeor do spraw jego się nie mieszał, bo urządzi tak, że klasztor zamkną. Pozostawiono więc Macocha w spokoju”[11].

Trzech mnichów gustowało w wesołym trybie życia, a najbardziej zbliżyły ich do siebie przestępstwa, jakich dopuszczali się na terenie klasztoru. Zaczęło się od szantażu, gdy okazało się, że brat Bazyli kradnie pieniądze za msze święte odprawiane w intencji darczyńców.

„Macoch i Starczewski zauważyli, że Olesiński skrada się do zakrystii. Poszli za nim i zauważyli, że Olesiński wyjął klucz spod poduszki i wszedł do skarbczyka. Ukazali się Olesińskiemu, a ten dał każdemu z nich po 50 rubli, nalegając, aby wyszli natychmiast, aby uniknąć nieprzyjemności. Od tego czasu Olesiński stale dawał im pieniądze ze skarbczyka i w ten sposób uzbierali po 2 tysiące rubli”[12].

To był dopiero początek. Już wkrótce trzej złodzieje zaczęli przywłaszczać sobie pieniądze otrzymywane za nabożeństwa, które sami odprawiali. To jednak im nie wystarczało, więc pomyśleli o rozwinięciu przestępczego interesu.

10 - *Ibidem*.

11 - *Ibidem*, s. 16-17.

12 - *Ibidem*, s. 18-19.

„Wiosną 1908 roku Macoch i Starczewski wezwali do siebie muzykanta klasztorного Józefa Pertkiewicza, który był kolegą szkolnym Starczewskiego, i prosili, aby dorobił im cztery klucze: jeden do skarbczyka, dwa do drzwi korytarza wiodącego do skarbczyka i jeden do szafy w zakrystii. Pertkiewicz zgodził się, za co dostał 30 rubli. [...] Gdy potem zmieniono zamki [...], to za radą Starczewskiego Macoch kazał dorobić nowe klucze ślusarzowi w Częstochowie, Jakubowi Starczewskiemu, który był bratem stryjecznym zakonnika, lecz który o ich przeznaczeniu nie wiedział. Ile pieniędzy skradziono przy pomocy kluczy, ściśle określić nie można, ale przypuszcza się, że od 8 do 9 tysięcy rubli”[13].

Macoch na własną rękę wyniósł jeszcze około dwóch tysięcy rubli z zakrystii, okradał również innych braci zakonnych. Kiedy zmarł ksiądz Gawęłczyk, to przeor właśnie Macochowi i Olesińskiemu polecił przeszukanie jego celi. Złodzieje znaleźli 20 tysięcy rubli w kasetce, Rejmanowi oddali jednak tylko 15 tysięcy, a resztę podzielili między siebie.

„Testament Gawęłczyka znalazł Olesiński i odniósł Rejmanowi. Przeor odczytał testament i chociaż zauważył brak 5 tysięcy, ale wyraził przypuszczenie, że testament jest stary i prawdopodobnie Gawęłczyk za życia oddał te pieniądze komuś innemu”[14].

KOCHANKA ZAKONNIKA

Macoch potrzebował coraz więcej pieniędzy, gdyż w tamtym czasie związał się z telefonistką Heleną Krzyżanowską. Przyjechała ona na Jasną Górę po przeżyciu zawodu miłosnego i wypowiedziała się właśnie u ojca Damazego. Miała 23 lata, była inteligentna i urodziwa, toteż za-

13 – *Ibidem*, s. 15.

14 – *Ibidem*.

konnik zupełnie stracił dla niej głowę.

„Uwiódł mnie mężczyzna – zeznawała Helena podczas procesu. – Nie chciałam żyć. Odwiódł mnie od śmierci spowiednik. Był nim ojciec Damazy” [15].

Zaraz po spowiedzi spotkali się na wałach klasztor-nych, niebawem też zaczął się ich romans. Macoch nie przejmował się faktem, że złożył śluby czystości, jego partnerka również nie zwracała na to uwagi. Liczyło się tylko to, że mnich miał ze swojego złodziejskiego procederu duże dochody i mógł jej zapewnić dostatnie życie. Helena porzuciła nieźle płatną pracę w Łodzi i przeniósła się do Warszawy. Tam ojciec Damazy wynajął dla niej eleganckie lokum oraz zadbał, aby nie miała problemów finansowych. Funkcjonariusze policji, którzy kilka lat później oglądali to mieszkanie, uznali, że było ładnie umeblowane, znaleziono w nim również „piękne stroje, wytworną bieliznę i kilka par eleganckich bucików” [16].

Krzyżanowska oficjalnie przedstawiała się jako nauczycielka muzyki, jednak żadnych lekcji oczywiście nie udzielała. Niebawem na dwóch kontach założonych na jej nazwisko znalazło się 12 tysięcy rubli, dysponowała również niezwykle kosztowną biżuterią osobistą. Tymczasem jako telefonistka w Łodzi zarabiała 50 rubli miesięcznie...

Macoch rzeczywiście nie żałował pieniędzy i na umeblowanie mieszkania Heleny wydał podobno aż 3 tysiące rubli, spłacił też poważny dług jej ojca. Często podróżował z kochanką po Europie, nie oszczędzając na wydatkach. Bywali także w Krakowie i Zakopanem, a Helena odwiedzała zakonniką w Częstochowie. Początkowo wynajmował dla niej dyskretny pokój na mieście, jednak pokazywali się razem na ulicach, a Damazy przedstawiał ją jako swoją kuzynkę. Z czasem doszło nawet do tego, że przeor zgadzał się na wizyty Heleny w klasztorze, a nawet by no-

15 – Za: K. Kąkolewski, *op. cit.*

16 – „Kurier Warszawski”, 01.03.1912.

cowała w obrębie jego murów.

W tamtych czasach kobieta mieszkająca samotnie mogła zostać uznana za przedstawicielkę najstarszego zawodu świata, więc Macoch postanowił zadbać o reputację swojej kochanki. Nie zamierzał jednak tracić prawa wyłączności do partnerki, toteż postanowił wydać ją za swojego rodzzonego brata.

„W styczniu 1909 roku Damazy Macoch namówił 19-letniego brata swego Franciszka, aby ożenił się z Heleną Krzyżanowską, obiecując dać jej 10 tysięcy rubli posagu. Franciszek Macoch był wtedy pomocnikiem pisarza w Lipsku. Gdy ten zgodził się, Macoch wezwał go do Częstochowy, [...] gdzie Franciszek poznał się z Krzyżanowską i oświadczył się jej. Oświadczyzny zostały przyjęte. Ustalono datę ślubu”[17].

Z planów Macocha nic jednak nie wyszło, gdyż Helena dała do zrozumienia narzeczonemu, że oczekuje od niego wolnego związku, na co on nie wyraził zgody. Zrozumiał, że miał występować wyłącznie w roli parawanu dla romansu brata, i zerwał zaręczyny. W tej sytuacji ojciec Damazy zaczął przedstawiać Krzyżanowską jako wdowę po bracie, który zmarł zaraz po ślubie i rzekomo zostawił jej znaczny majątek, co miało tłumaczyć wydatki kochanki.

Z czasem zakonnik doszedł do wniosku, że potrzebne jest im urzędowe potwierdzenie wdowieństwa Heleny. Nie odważył się jednak uśmiercić na papierze swojego brata i uznał, że bezpieczniejszym rozwiązaniem będzie, jeśli fikcyjnie sam poślubi partnerkę, po czym równie fikcyjnie opuści ten świat. Wykorzystał do tego fakt, że wstępując do zakonu, zmienił imię (naprawdę nazywał się Kacper Macoch), a wszyscy kojarzyli go jako Damazego.

„Udał się do grawera w Częstochowie, Lucjusza Cyganowskiego, i zamówił u niego pieczęć metalową z her-

bem państwowym i z napisem: »Urzędnik stanu cywilnego parafii Parzymiechy«. [...] Gdy była gotowa, sfabrykowano świadectwo z dnia 20 kwietnia 1909 roku [...], w którym powiedziano, że Kacper Macoch w dniu 23 lutego 1909 roku zawarł małżeństwo z Heleną Katarzyną, córką Mikołaja, Krzyżanowską. Na świadectwie tym znajdowała się pieczęć zrobiona przez Cyganowskiego i podpis sfałszowany księdza Aleksandra Dakowskiego, proboszcza parafii Parzymiechy” [18].

Skoro Helena była już oficjalnie mężatką, to należało zadbać o to, aby została wdową. Ojciec Damazy nie miał z tym większych problemów, bo najwyraźniej w roli fałszerza czuł się równie dobrze jak w roli złodzieja.

„Następnie pod datą 24 maja 1910 roku [...] sporządzono akt drugi: że dnia 6 marca, o godzinie 12 w południe zmarł pisarz gminny Kacper, syn Pawła Macocha, pozostawiwszy po sobie żonę, Helenę Katarzynę z Krzyżanowskich. Na tym akcie widniała taka sama pieczęć i taki sam podpis księdza Dakowskiego” [19].

Sfałszowane zaświadczenia to jednak nie wszystko. Należało jeszcze doprowadzić do tego, by Helena otrzymała dokumenty na swoje nowe nazwisko. Macoch sam załatwił sprawę, korzystając z faktu, że był zakonikiem. Nie chciał prosić o wydanie dokumentów w Warszawie, doskonale bowiem wiedział, że jako osoba duchowna wzbudzi w środowisku wiejskim o wiele większe zaufanie.

„[...] udał się do osady Drzewicy w powiecie opoczyńskim, guberni radomskiej, gdzie wtedy Krzyżanowska była zapisana do ksiąg ludności, i zażądał wydania paszportu dla wdowy po Kacprze Macochu [...] z domu Krzyżanowskiej. Dokumentów wówczas żadnych Macoch nie złożył, lecz powołał się na swój stan i prosił, aby wierzone

18 – *Ibidem*, s. 17-18.

19 – *Ibidem*, s. 18.

mu na słowo. Po pewnym wahaniu ze strony wójta i pisarza gminnego przygotowano paszport. Z tym paszportem Krzyżanowska mieszkała w Warszawie” [20].

ŚLUB

Jednak wdowieństwo nie zadowalało Heleny. W tamtych czasach ściśle przestrzegano pewnych konwenansów, a samotna, młoda wdowa była uważana za osobę „nie do końca godną zaufania”. O wiele lepsza była sytuacja mężatki, która, pozostając w legalnym związku, miała rzekomo stanowić mniejsze zagrożenie dla cnoty szacownych ojców rodzin. Zgodnie bowiem z obyczajami tamtej epoki tolerowano zdrady małżeńskie i nawet jawne kochanki żonatych mężczyzn, natomiast rozbitcie małżeństwa uważano niemal za zbrodnię.

Ponadto kochanka zakonnika chciała mieć dziecko, a jako wdowa nie bardzo mogła sobie na to pozwolić. Ojciec Damazy nie pozostał głuchy na utyskiwanie Krzyżanowskiej i postanowił znaleźć jej niekrepującego małżonka. Tym razem jego wybór padł na stryjecznego brata (albo bratanka), Wacława Macocha. Mnich najwyraźniej uważał, że wszystko powinno pozostać w obrębie rodziny.

Wacław pracował jako urzędnik pocztowy i dotychczas z dużą niechęcią odnosił się do kuzyna. Uważał go za rozpustnika i oszusta, a znajomym opowiadał, że Damazy pojawił się kiedyś u niego, będąc pod wpływem alkoholu, i zażądał, aby „zaprowadził go do kobiet złego prowadzenia”. Stosunki łączące zakonnika z Heleną nie były dla niego tajemnicą, szeptała zresztą o tym niemal cała Częstochowa.

„Kiedyś w 1907 roku, spacerując po alei częstochowskiej, Chęciński, przyjaciel Wacława, spostrzegł Damazego

Macocha idącego z jakąś młodą kobietą. Na pytanie, co za jedna, Waclaw odpowiedział, że to kochanka Damazego i że pracuje w telefonach w Łodzi, a przyjeżdża ciągle do Częstochowy”[21].

Sytuacja zmieniła się trzy lata później, gdy Waclaw dostał od Damazego konkretną propozycję. Za poślubienie swojej kochanki mnich zaoferował mu posag w wysokości 20 tysięcy rubli, poinformował również kuzyna, że Helena jest osobą niezależną finansowo. Przyszły małżonek zaaprobował warunki, a w rozmowie z Chęcińskim oznajmił, że „w gruncie rzeczy wszystko mu jedno, kto będzie jego przyszłą żoną, a zależy mu głównie na posagu”.

Zaręczyny odbyły się w klasztorze jasnogórskim w maju 1910 roku, natomiast ślub – trzy tygodnie później w warszawskim kościele Wizytek. Sakramentu udzielił oświadczenie ojciec Damazy, asystował mu brat Izydor. Wszystko faktycznie pozostawało w rodzinie...

Wesele zorganizowano w Hotelu Europejskim, wydając na nie astronomiczną sumę 1500 rubli, po czym Helena i Waclaw wyjechali w podróż poślubną do Zakopanego. Za wszystko oczywiście płacił kochanek panny młodej, on też wynajął dla nowożeńców luksusowe mieszkanie. Krzyżanowska nie zrezygnowała jednak z dotychczasowego lokalu – najwyraźniej ona i Damazy potrzebowali miejsca, w którym mogli się spokojnie spotykać.

Z punktu widzenia prawa ślub był właściwie nieważny, gdyż Helena występowała jako wdowa po Kacprze Macochu, przedstawiając sfałszowane przez kochankę dokumenty. Fałszerz natomiast udzielił ślubu, nie przejmując się specjalnie faktem, że według tych świadectw od pewnego czasu nie powinno go już być pomiędzy żywymi...

ZBRODNIA

Wacław potraktował swoje małżeństwo jak interes, który miał mu przynosić duże zyski. Zaraz po ślubie zaczął szantażować kuzyna, grożąc ujawnieniem jego tajemnic. Nie wiadomo jednak, co właściwie o nim wiedział. Czy groził mu tylko skandalem obyczajowym, czy również wyjawieniem prawdy o kradzieżach na Jasnej Górze? Zapewne domyślał się, że pieniądze kuzyna nie pochodzą z legalnego źródła, bo wywodzący się z biednej rodziny zakonnik nie mógł przecież dysponować tak wielkimi sumami.

Możliwe również, że groził zakonnikowi ujawnieniem jego współpracy z Ochroną. Jest bowiem prawdopodobne, że Macoch kolaborował z carską policją, która w tamtym czasie toczyła wojnę z Kościołem katolickim. Niewykluczone, że właśnie dzięki pomocy Ochrony dostał się na Jasną Górę, a później był sownie opłacany z państwowej kasy. Podejrzewano, że miał przygotowywać w klasztorze prowokację, której celem była kompromitacja zakonu i całego polskiego Kościoła.

„W śledztwie wyszły na jaw – pisano na łamach katowickiego »Kuriera Śląskiego« – a później zostały ukryte dowody, że Macoch i towarzysze mieli uczynić z klasztoru składnicę materiałów rewolucyjnych, odezów, bomb i broni, aby nagle dokonana rewizja ujawnić mogła niebezpieczeństwo grożące państwu ze strony Kościoła. Kryminaliści nie utrzymali się w narzuconej im roli; łajdaków nie można użyć do żadnego planu, nawet łajdackiego, bo im się spieszy do zbrodni łatwiejszych. Okradli Kościół, co nie było zdaje się zamierzone w Ochronie” [22].

Z oczywistych względów wątek ten nie był poruszony podczas procesu, jednak gazety wychodzące poza granicami Imperium Rosyjskiego mogły na ten temat pisać swobodnie. Przy okazji łączono osobę Macocha ze sprawą

niejakiego Stanisława Rybaka, członka Narodowego Związku Robotniczego i szpiega Ochrony, zabitego w Krakowie w sierpniu 1910 roku. Podobno pod Wawelem widywano go razem z Macochem.

Nie ulega wątpliwości, że ojciec Damazy miał tak dużo grzechów na sumieniu, że sam aż się prosił, by go szantażowano. Nie grzeszył jednak nadmierną cierpliwością, więc szybko ją stracił do swojego kuzyna. Postanowił rozwiązać sprawę raz na zawsze. Wysłał do Wacława list, w którym zaprosił go na Jasną Górę i obiecał tysiąc rubli pożyczki. Kuzyn mu uwierzył, przyjechał do Częstochowy, a tuż przed wizytą w klasztorze powiedział jednemu ze swoich przyjaciół, że „idzie na rozmowę z ojcem Damazym”, a jak „nie dojdzie z nim do porozumienia, to powie mu ważną rzecz”.

Mnich był dobrze przygotowany do tego spotkania – kilka tygodni wcześniej pożyczył od klasztornego stolarza niewielką siekierę. Ukrył narzędzie w swojej celi, zamierzając go użyć, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

„Jestem winny – zeznawał zakonnik w sądzie – lecz nie w tym stopniu, jak mi to akt oskarżenia zarzuca. Wacława nie zabiłem, gdy spał, lecz po gwałtownej sprzeczce, jaka między nami wybuchnęła. Wacław dał mi w twarz i wtedy opadł mnie szal i zabiłem go. Nie zamierzałem tego uczynić i stąd nie działałem z premedytacją i zastanowieniem. Wpadła mi w oczy siekiera, uderzyłem raz, drugi, trzeci i czwarty. Nie wiedziałem, gdzie uderzam i kogo uderzam! Wacławowi dawałem ciągle pieniądze, lecz nigdy nie było mu dość i ustawicznie chciał więcej. Stąd dochodziło między nami do kłótni gwałtownych, których następstwem był ten straszny czyn” [23].

W rzeczywistości zamordował kuzyna z zimną krwią. Nie wiadomo, jak przebiegła ich rozmowa, ale prawdopodobnie mnich musiał pójść na ustępstwa, skoro

Wacław postanowił przenocować w jego celi. W ten sposób wydał na siebie wyrok.

Gdy Damazy upewnił się, że kuzyn zasnął, wyciągnął siekiere i zadał śpiącemu kilka ciosów. Gdy „ofiara zaczęła rzeźić, dysponował go jako kapłan na śmierć i dopiero potem, odpuściwszy grzechy, dodusił”.

Świętokradztwo i zabójstwo w najważniejszym polskim sanktuarium maryjnym, osoba złodzieja i mordercy, a do tego makabryczne okoliczności zbrodni wywarły na opinii publicznej nieprawdopodobne wrażenie. Gdy podczas procesu wszystkie potworne szczegóły ujrzały światło dzienne, wielu ludzi nie chciało uwierzyć w rewelacje dochodzące z sali sądowej.

„Czego tu nie ma? – rozpaczał reporter warszawskiego tygodnika »Świat«. – Kradzież, fałszerstwo, zabójstwo, świętokradztwo. I ta kradzież jest zabieraniem ofiar ludu od ust nieraz sobie odejmującego... I to zabójstwo – jest bratobójstwem. I to świętokradztwo jest ogołoceniem z wotów i klejnotów cudownego obrazu Najświętszej Panny Częstochowskiej... Dokonał tego strażnik najdroższej pamiętki narodowej i katolickiej”[24].

UCIECZKA

Ciało ofiary zapakowano w starą sofę stojącą w jednym z pomieszczeń klasztornych i wywieziono do Zawad. Macochowi pomagał służący Załóg, który później skutecznie zniknął. Zakonnik natomiast pojechał do Warszawy, by osobiście poinformować kochankę o śmierci jej męża. Tuż przed wyjazdem pożyczył od jednego z pracowników klasztoru farby i pędzle, aby zamalować ślady krwi. A gdy te były już niewidoczne, zlecił gruntowne odnowienie swojej celi.

24 – Za: K. Kąkolewski, *op. cit.*

Helena, która nosiła wtedy dziecko Damazego (za ojca uchodził Waclaw), podobno płakała, gdy dowiedziała się o losie małżonka. Oficjalnie jednak odgrywała komedię, jaką narzucił jej kochanek. Udając zasmuconą, skarżyła się znajomym, że Waclaw ją opuścił i bez słowa pożegnania wyjechał do Ameryki. Słuchacze w to uwierzyli, okazując porzuconej kobiecie wiele współczucia.

Nie wiadomo, dlaczego po dokonaniu zbrodni Macoch pozostał w kraju. Dysponował przecież dużymi pieniędzmi, bo nie zdążył jeszcze przejechać wszystkich łupów z Jasnej Góry. Mógł razem z Heleną wyjechać za ocean i tam rozpocząć nowe życie. Możliwe jednak, że stan kochanki uniemożliwiał podróż. A może po prostu Damazy był człowiekiem zbyt wygodnym i wydawało mu się, że jeszcze przez wiele lat będzie okradał klasztor, zarabiając w ten sposób na luksusowe życie?

Jednak gdy znaleziono sofę ze zwłokami Waclawa, Damazemu nie pozostało nic innego, tylko uciekać.

Wiedział, że policja prędzej czy później wpadnie na jego ślad. Czekał jednak zbyt długo i Warszawę opuścił dopiero w chwili, gdy był już poszukiwany. Rozdzielił się ze swoją kochanką – Helena wyjechała do siostry, a on zamierzał przekroczyć granicę austriacką. Zapewne planowali się spotkać, gdy sprawa ucichnie.

Ojciec Damazy po raz kolejny postanowił wykorzystać swój stan duchowny. Ubrany jak zwykły ksiądz pojechał do wsi Niegowonice położonej w pobliżu granicy rosyjsko-austriackiej. Tam udał się na plebanię, mając nadzieję, że będzie mógł skorzystać z pomocy miejscowego proboszcza. Oczywiście nie powiedział mu prawdy, przedstawił się jako ksiądz ze wsi Łazy.

„[...] 5 października o 10 rano – zeznawał ksiądz Czaplą – gdy byłem w kościele, przyszedł jakiś ksiądz z Łaz, o czym mnie powiadomiono. Kiedy wyszedłem do niego, zastałem zmordowanego, ledwie dyszącego księdza w czar-

nym ubraniu i ciemnych okularach. Poprosiłem go, aby poszedł na plebanie i odpoczął. W tym czasie przyjechał jakiś człowiek, prosząc o pojechanie do chorego. Usłyszał to ksiądz Macoch i ofiarował się pojechać za mnie, gdyż spieszy się do Olkusza, więc skorzysta z furmanki. Zgodziłem się na to, ksiądz pojechał, chorego wypowiadał, komunikował, dał mu ostatnie namaszczenie olejami świętymi. Ksiądz ten narzekał, że jest chory na serce. Po kilku godzinach przyszła policja i zawiadomiła mnie, że ksiądz ów to był ojciec Damazy z Częstochowy poszukiwany za zabójstwo brata swego Wacława” [25].

W nadgranicznym Olkuszu bez problemu znalazł osobników specjalizujących się w szmuglowaniu ludzi i towarów na austriacką stronę. Wraz z przemytnikami przekroczył granicę, po czym wsiadł do pociągu jadącego do Krakowa. Nie przewidział jednak, że jego rysopis był już powszechnie znany, a sprawę świętokradztwa i zbrodni na Jasnej Górze pilnie śledzono również w Galicji. Został rozpoznany w drodze, o czym natychmiast zawiadomiono policję. Aresztowano go na peronie dworca w Krakowie i po wstępnych przesłuchaniach wydano władzom rosyjskim.

PROCES W PIOTRKOWIE

Poszukiwania zbrodniarza i świętokradcy uważnie śledzono nie tylko w Galicji, bo sprawę tę komentowała prasa w niemal całej Europie. Mnich mordujący męża swojej kochanki, a przy tym złodziej i świętokradca bezczeszczący najważniejsze polskie sanktuarium musiał wzbudzać zainteresowanie dziennikarzy. Takiego tematu nie można było zignorować.

Prasa konserwatywna ubolewała nad upadkiem obyczajów, natomiast pisma socjalistyczne nie ukrywały sa-

tysfakcji. Wieszczo upadek polskiego klerykalizmu, wyrażano radość, że „ciemnota i zabobon” zostały wreszcie zdemaskowane. Gazety rozpisywały się o „hultajskiej szajce mnichów jasnogórskich”, co jeszcze bardziej podgrzewało atmosferę.

Wiele emocji wzbudziło również zachowanie władz kościelnych. W związku ze skandalem odwołano dotychczasowego przeora zgromadzenia na Jasnej Górze, a paulinów odsunięto od zarządzania klasztorem na czas śledztwa i rozprawy, przekazując to zadanie specjalnej komisji z udziałem osób świeckich. Zakazano również odprawiania mszy świętej ze śpiewem i grą na organach, a zezwolono tylko na skromne, ciche nabożeństwa.

Proces rozpoczął się przed Sądem Okręgowym w Piotrkowie w ostatnich dniach lutego 1912 roku. Na ławie oskarżonych zasiadło osiem osób, a więc wszyscy zamieszani w tę sprawę oprócz służącego Załoga, którego nie udało się odnaleźć.

Poza Macochem i jego kochanką sądzono jeszcze dwóch paulinów z Jasnej Góry, grawera Cyganowskiego, który wykonał dla Macocha pieczęć umożliwiającą mu fałszowanie dokumentów, dorożkarza Piankę oraz dwie inne osoby oskarżone o współudział. Jeden z paulinów, brat Izydor Olesiński, oraz Cyganowski odpowiadali z wolnej stopy, resztę doprowadzono z więzienia.

W akcie oskarżenia nie znalazła się jednak bulwersująca sprawa kradzieży koron i sukienki z cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. I choć wszyscy podejrzewali o ten czyn trzech jasnogórskich paulinów, oni kategorycznie temu zaprzeczali, a śledczy nie znaleźli żadnych dowodów na poparcie swoich hipotez. Kwestia ta w ogóle nie była poruszana w trakcie procesu, chociaż zdawano sobie sprawę, że przestępcza trójka (szczególnie ojciec Damazy) przepuściła znacznie więcej pieniędzy, niż ukradła ze skarbczyka na Jasnej Górze. Można więc zary-

zykować twierdzenie, że z prawnego punktu widzenia sprawa obrabowania wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej nie została wyjaśniona do dnia dzisiejszego.

Podczas kolejnych rozpraw ojciec Damazy zmieniał zeznania, uparcie twierdził, że Wacława zamordował podczas kłótni, nie przyznawał się też do romansu z Heleną.

„Helenę Krzyżanowską poznałem w czasie spowiedzi – zeznawał. – Odczułem od razu skłonność do niej i zbliżyliśmy się do siebie. Poświadczam jednak, że kochaliśmy się tylko platonicznie. Zaręczam, że Helena nie była moją kochanką”[26].

Podobne oświadczenia wzbudzały tylko wesołość publiczności, bo przecież Helena nie ukrywała swojego związku z zakonikiem. Prasa krajowa skoncentrowała się na komentowaniu wystąpień głównego oskarżonego, natomiast reporterzy gazet spoza Imperium Rosyjskiego zauważyli, że sąd błyskawicznie wyciszył wątek współpracy Macocha z carską Ochroną.

„Wytoczono jedyne w swoim rodzaju śledztwo – pisano na łamach katowickiej »Gazety Ludowej« – i publicznie nie odkryto nic nad to, co było już wiadomym w chwili ujęcia zbrodniarza i jego współników. Co więcej odkryto, starannie z pierwotnego aktu oskarżenia usunięto. Prokuratora, który nie wahał się na czternastu stronicach przedstawić stosunki mnicha-zbrodniarza z Ochroną carską, spowodowano do nagłego zasłabnięcia i wydelegowano do sprawy pewniejszego i więcej Ochranie i rządowi oddanego prokuratora, którego sobie zapisano z Warszawy, rzecz całą ograniczono na przedstawienie zbrodni samej i hulaszczego życia niektórych zakonników; w jedynym celu zniesławienia zakonu paulinów i Jasnej Góry i uzasadnienia ewentualnego zamknięcia klasztoru. Obecny proces piotrkowski jest prawdopodobnie uwerturą do tej

ostateczności. Rząd rosyjski przecież już dawno ostrzy sobie zęby na skarby jasnogórskie i czyha na odebranie ludowi polskiemu wiary w tę, którą on królową swoją nazywa. Odkrycie zbrodni Macocha wydaje mu się najlepszą sposobnością do tego. Toteż rozpoczęty proces będzie tylko farsą sądową. Trybunał składający się z trzech sędziów i umyślnie na ten cel ustanowionego przewodniczącego i prokuratora ograniczy całe postępowanie na wyjaśnienia szczegółów zbrodni i występnego życia kilku zakonników, którym po zasądzeniu nic złego się nie stanie”[27].

Tymczasem uwaga opinii publicznej skupiła się na skandalicznych dowodach procesowych. Wielkie wrażenie zrobił dołączony do akt pamiętnik ojca Izydora Starczewskiego, w którym nie tylko opisywał on swoje kradzieże, ale również notował uchybienia przeciwko regule zakonnej. To rzeczywiście bardzo interesujący dokument, dlatego też warto przytoczyć niektóre jego fragmenty.

„Całowanie z panną namiętnie wczoraj dwa razy – notował zakonnik 6 maja – potem grzech z mężatką dwa razy. Przeklinałem”[28].

Miesiąc później zapisał, że „pacierze niedbale wczoraj podpity odmówił, podczas mszy dwa razy wylał na ołtarz”. Nie przeszkodziło mu to jednak w „pocałunkach namiętnych”. Natomiast dwa tygodnie później były „pocałunki z panną” i „dotykane przez ubranie”. Ten 38-letni zakonnik w ogóle prowadził dość intensywne życie erotyczne: zdarzało mu się „grzeszyć z żoną brata” i „polegiwać z krewną”. Nic zatem dziwnego, że czasami bywał tak zmęczony, iż „drzemał przy spowiedzi”. O licznych przypadkach pijaństwa kończącego się torsjami nie warto nawet wspominać.

Poza tymi przygodami w życiu ojca Izydora było również miejsce na stałą kochankę, z którą miał dziecko.

27 – Za: *ibidem*.

28 – Za: *Proces...*, s. 130.

Regularnie się z nią spotykał, wymieniali korespondencję, mnich dbał o jej potrzeby materialne.

„Kochana Stefciu – pisał w liście do partnerki – chcąc nam obojgu zrobić przyjemność, żebyśmy mieli pamiątkę, przesyłam ci czek na rubli 70. Idź po pieniądze w to samo miejsce, a otrzymasz je i załatwiwszy swoje interesy, wstąp najprędzej do fotografa i bez Stasia nie pokazuj się! Zabierz więc Stasia lub przywieź jego fotografię, żebym mógł go zobaczyć” [29].

Proces trwał dziewięć dni, a w ostatnim słowie ojciec Damazy przeprosił Kościół i naród za swoje czyny. Zapowiedział również, że wyrok przyjmie z należną pokorą, ale błagał też, aby kara „była miłosierna”:

„Raz jeszcze proszę cały naród polski, ojców paulinów i czcigodne duchowieństwo o przebaczenie mi jako człowiekowi grzesznemu. Przepraszam za tę straszną krzywdę, którą nieszczęśny wyrządziłem” [30].

Natomiast Helena w ogóle nie okazywała skruchy, twierdząc, że w sądzie „obrażano ją jako prawowitą katoliczkę, jako kobietę, jako żonę, matkę, a nawet oskarżoną”. Całą winą obarczyła kochanka, który – jak podtrzymywała – sprowadził ją na złą drogę, a na koniec zamordował jej ukochanego męża.

„Miłość! Serdeczna, czysta miłość. I cóż winien był Damazemu ten nieszczęśny, biedny Wacław, którego pokochałam całą duszą, któremu powiedziałam całą prawdę, jakie miałam stosunki z Damazym. Ów Wacław, człowiek dobry, przebacza mi wszystko, nawet nie ma pretensji o przeszłość do Damazego, on mnie żałuje... I wiele czasu daje Damazy Wacławowi cieszyć się ze swego szczęścia? Niecałe sześć tygodni!” [31].

29 – Za: *ibidem*, s. 132.

30 – Za: *ibidem*, s. 118.

31 – Za: *ibidem*, s. 121.

Sąd ogłosił wyrok 9 marca 1912 roku. Damazego Macocha uznano za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów i skazano na 12 lat ciężkich robót. Po odbyciu kary miał się osiedlić w miejscu wyznaczonym przez władze. Izidor Starczewski został skazany na pięć lat, natomiast Bazyli Ostrowski – na dwa i pół roku więzienia. Helenę uwolniono od zarzutu ukrywania zabójcy swojego męża, oddalono również zarzut korzystania ze zrabowanych pieniędzy, przyjmując, że faktycznie mogła nie znać ich pochodzenia. Natomiast została uznana za winną posługiwania się fałszywymi dokumentami w celu osiągnięcia osobistych korzyści i z tego powodu skazano ją na dwa lata więzienia. Wobec pozostałych oskarżonych orzeczono niższe wyroki, zaliczając im na poczet kary pobyt w areszcie, dzięki czemu po zakończeniu rozprawy znaleźli się na wolności.

Opinia publiczna była oburzona. Powszechnie uważano, że ojciec Damazy dostał zbyt niski wyrok, pojawiały się też głosy, że wpływ na orzeczenie sądu miała carska policja, która ochraniała swojego agenta. Podejrzewano, że mnich niebawem znajdzie się na wolności na mocy amnestii, co wcale nie było wykluczone, gdyż w Imperium Rosyjskim często ją ogłaszano. Okazji do łagodzenia kar nie brakowało, a były nimi na przykład narodziny kolejnych członków dynastii albo rocznice koronacji i ślubu monarszej pary. Jednak Macoch z amnestii nie skorzystał.

Ten były paulin (został usunięty z zakonu) przeżył w więzieniu głęboki wstrząs moralny – modlił się, pokutował i nawet odmówił skorzystania z amnestii, chcąc do końca odbyć zasądzoną karę. Nie było mu to jednak pisane, bo zapadł na gruźlicę i zmarł we wrześniu 1916 roku. Pogrzeb miał mniej niż skromny, gdyż „za trumną z sosnowych desek nikt nie poszedł”. Spoczął na piotrkowskim cmentarzu, a na płycie nagrobnej wyryto napis: „Ksiądz Damazy Macoch. Wielki grzesznik i wielki pokutnik prosi o modlitwę”.

Nie spełniono więc jego ostatniego życzenia – Damazy chciał bowiem, żeby pochowano go bezimiennie pod alejką cmentarną. Uważał, że nie jest godny spoczywać wśród uczciwych ludzi, i życzył sobie, aby stopy odwiedzających nekropolię deptały po jego mogile.



Rozdział II

Gangsterzy i politycy





Łukasz Siemiątkowski, czyli Tata Tasiemka, uwielbiał sprawować sądy i godzić zwaśnione strony. Zasiadał wówczas w otoczeniu współpracowników w jednej z okolicznych knajp i jak rasowy ojciec chrzestny wydawał wyroki. Całe towarzystwo jadło i piło na koszt petentów, a gangsterzy nie zwykli sobie niczego odmawiać.

Jestem więc okradziony! – irytował się generał Felicjan Sławoj Składkowski. – Ładny kawał – minister spraw wewnętrznych okradziony na oczach komisarza rządu oraz policji mundurowej i tajnej w sercu Warszawy! Robi się zamieszanie i normalna praca ulega gwałtownemu zakłóceniu. Ja z przełożonego robię się nagle poszkodowanym! Zjawiają się naczelnicy wydziałów i bezpieczeństwa ministerstwa, i Komisariatu Rządu” [32].

ŁUKASZ SIEMIĄTKOWSKI

Składkowski został okradziony na pogrzebie generała Daniela Konarzewskiego. Warszawscy złodzieje potraktowali dygnitarza państwowego jak zwykłego, przeciętnego żałobnika, pozbawiając go portfela z pieniędzmi i fotografiami. I właśnie o te fotografie najbardziej Składkowskiemu chodziło.

Przez dwa „długie kompromitujące dni” policja warszawska usiłowała odnaleźć skradziony portfel, aż wreszcie przyznano, że funkcjonariusze są bezsilni. I wtedy, jako do ostatniej instancji, zwrócono się do niekoronowanego króla Kercelaka – byłego bojowca PPS, Łukasza Siemiątkowskiego.

Herszt przestępców zjawił się na wezwanie referatu

śledczego Komisariatu Rządu i obiecał pomoc.

„Sługa pana komisarza – rozpoczął słynny Tata Tasiemka. – Dla naszej polskiej władzy zawsze mamy czas. Słyszałem, słyszałem, takie nieszczęście, kto nie słyszał, cała Warszawa aż się trzęsie. Polskiego ministra portfelu pozbawić i to przed kościołem. To po to żeśmy żandar mów carskich strzelali, żeby teraz jakiś łobuz, frajer głupi władzę rabował w naszej stolicy. Upewniam pana komisarza, że to nikt z naszych fachowców. Któż byłby taki głupi, żeby dla marnych pieniędzy się narażać? Wiem, że panu bardzo przykro, ale czy mnie też przyjemnie tu, do pana komisarza, być zaproszonym?! [...] Pan komisarz mówi, że głównie o portfel z fotografiami chodzi, pieniądze mogą pozostać u znalazcy. No dobrze, to już łatwiej będzie wytłumaczyć takiemu durniowi, żeby zwrócił. Dobrze, będę starał się dla dobra naszego i władzy. Będę starał się przemówić do rozumu, chociaż to pewnie nie warszawiak, tylko jakiś frajer z prowincji, który nie wiedział, kogo krzywdzi. I co go czeka w razie wpadunku: to wariat chyba!

Nic mi się nie należy, panie komisarzu, za fatywę, kosztów żadnych nie miałem i mieć nie będę. Zawsze gotów jestem bezinteresownie pomóc władzy, a jeszcze w takiej sprawie! Mój Boże, toż pierwszy raz taką rzecz przeżywamy i jeszcze akurat u ministra od policji. Jeszcze waruneczek jeden, komisarzu. Proszę ze mnie cynk zdjąć [nadzór policyjny – S.K.]. Muszę poruszać się swobodnie, jeżeli portfel mam znaleźć. A tu od tego nieszczęścia kapusie nawet wyszczać się człowiekowi spokojnie nie dają.

Tak, rozumiem, pilne, postaram się jak najprędzej. Moje uszanowanie panu komisarzowi, już idę robić, co można”[33].

Rozmowa do złudzenia przypominała scenę ze słynnego *Ojca chrzestnego* Maria Puzo, jednak była jak najbardziej autentyczna. Tata Tasiemka, podobnie jak Vito Cor-

leone, nie rzucał słów na wiatr i działał niezwykle sprawnie, o czym Składkowski bardzo szybko się przekonał.

„Następnego dnia listonosz przyniósł do ministerstwa wyjęty z puszki pocztowej portfel z fotografiami i legitymacjami, ale na miejscu pieniędzy była tylko zmięta kartka papieru, na której twardym ołówkiem naskrobano dużymi, koślawymi literami: »Panie ministrze, trza lepiej pilnować złodziejów«”[34].

NIEZDROWA TRADYCJA

Każda policja świata utrzymuje nieformalne kontakty ze środowiskiem przestępczym, a problemy pojawiają się dopiero wtedy, gdy obie strony zaczynają prowadzić z sobą nieformalne interesy. Pod tym względem II Rzeczpospolita nie była wyjątkiem, a pojawiające się na łamach prasy informacje o niejasnych powiązaniach policji i polityków z gangsterami wielokrotnie bulwersowały opinię publiczną.

Wzajemne przenikanie się środowisk politycznych i kryminalnych miało na ziemiach polskich długą tradycję, a jego początków można się doszukiwać w czasach rewolucji 1905 roku. Co prawda każda wojna i rewolucja owocują gwałtownym wzrostem bandytyzmu, jednak wydarzenia z lat 1905-1907 całkowicie wymknęły się spod kontroli. Działano wtedy wbrew obowiązującemu prawu, napadano z bronią w ręku, zdobywając duże i łatwe pieniądze, które dzielono między bojowników, a wypłatę uzależniano od powodzenia przedsięwzięcia. To demoralizowało nawet tych uczciwych, a przecież szeregi rewolucjonistów zasilali również zwyczajni kryminaliści, zwabieni okazją łatwego zarobku. Niebawem pojawiły się nowe „partie rewolucyjne” działające na własną rękę. Zakładali je działacze wydaleni z ich dotychczasowych organizacji,

czasami wspólnie z pospolitymi przestępcami (np. Partia Niebarłóżnych). Mnożyły się napady na dwory, plebanie, rezydencje przemysłowców, rabowano sklepy, ze szczególnym uwzględnieniem monopolowych. Niektórzy „działacze”, zainteresowani wyłącznie rozbojem, przechodzili z partii do partii, kończąc tę wędrówkę na szubienicy. Osobnik o nazwisku Lis, usunięty z PPS-u za kradzieże, wstąpił do SDKP, a na koniec rabował na własną rękę. Wreszcie kilkudziesięciu policjantów osaczyło go w jakiejś kuźni koło wioski Słowinki. Policjanci, nie mogąc dać sobie z nim rady, wezwali na pomoc wojsko, a gdy Lis (samotnie!) odparł atak kompanii piechoty, nadciągnęła artyleria. Po zniszczeniu kuźni pociskami armatnimi okazało się, że bandyta popełnił tam samobójstwo.

Skandaliczne rzeczy działy się również w PPS- Frakcji Rewolucyjnej. Oto fragmenty odezwy z 1907 roku, która rozwiązywała łódzką organizację tej partii:

„Popełniano nadużycia moralne i pieniężne dochodzące do tysięcy rubli. Połowa pieniędzy zbieranych na cele partyjne ginęła. Nadużywano broni do celów osobistych. Uprawiano w formach jawnych i ukrytych terror ekonomiczny. Doszło do tego, że organizacja łódzka utrzymywała stosunek z bandytami i popierała ich. Wielu wybitnych towarzyszy przeszło do organizacji bandyckich. Nastąpiło tak straszne obniżenie moralne całej organizacji łódzkiej, że odróżnić w organizacji bandytę od niebandyty nie było sposobu. Wreszcie doszło do tego, że kilkunastu wybitnych byłych towarzyszy, członków okręgowego i dzielnicowego komitetu, korzystając z podstępem zdobytej broni partyjnej i mieszkania partyjnego, urządziło przed dwoma tygodniami bandycki napad na kasjera kolejowego i zrabowało 22 000 rubli. Wobec tego, że organizacja łódzka mająca pięć tysięcy członków i 1500 rubli miesięcznego dochodu nie odpowiadała najprostszym wymaganiom moralnym, hołdowała lub tolerowała poglądy i czyny jak najbardziej nam wrogie, a często niskie, po-

stanawiamy całą organizację łódzką z dniem dzisiejszym rozwiązać”[35].

Józef Piłsudski walczył z bandytyzmem i złodziejstwem w szeregach swojej partii. Sam prowadził niezwykle skromny (wręcz spartański) tryb życia, potwierdzający jego uczciwość finansową. W czasach II Rzeczypospolitej niechęć Piłsudskiego do korzystania z pieniędzy publicznych przeradzała się czasami w manię, stając się poważnym problemem dla otoczenia. Podobnie postępowali jego współpracownicy wywodzący się z Organizacji Bojowej PPS. Walery Sławek, kończąc urzędowanie jako premier, spakował się do jednej walizki (!), a następnie planował rezygnację z trzypokojowego mieszkania w stolicy, gdyż nie stać go było na czynsz. Aleksander Prystor (również były premier) wraz z żoną mieli skromny majątek pod Wilnem, gdzie największym luksusem były dwa konie stanowiące ich własność.

W wydarzeniach 1905 roku największą rolę odegrała PPS, i to właśnie z niej wywodzili się dwaj znani gangsterzy okresu międzywojennego: Tata Tasiemka i doktor Łokietek. Obaj do końca swojej działalności przestępczej zachowali znakomite kontakty ze sferami rządowymi, a czasem można było odnieść wrażenie, że policja jest na usługach obu tych bandytów. Tasiemka postępował jak bossowie włoskiej mafii, był nawet radnym warszawskim i właściwie zalegalizował swoje interesy.

OD BOJOWNIKA DO GANGSTERA

Łukasz Siemiątkowski pochodził z robotniczej rodziny i w wieku 17 lat podjął pracę w fabryce tkackiej w Grodzisku, gdzie zetknął się z ruchem socjalistycznym. Na-

35 – Za: T. Daniszewski, *Polski ruch robotniczy w latach reakcji (1908-1912)*, [w:] *Zarys historii polskiego ruchu robotniczego*, 1917.net.pl/node/7644.

stępnie pracował w Tomaszowie Mazowieckim, a po przenosinach do Warszawy wstąpił do PPS-u. To właśnie wtedy przyjął pseudonim nawiązujący do jego zawodowej przeszłości.

Był członkiem Organizacji Bojowej PPS, wziął nawet udział w przygotowaniach do słynnej akcji uwolnienia z Pawiaka 10 skazanych na śmierć więźniów. Podczas I wojny światowej pełnił funkcje wywiadowcze na rzecz Legionów Piłsudskiego, a następnie brał udział w akcjach Pogotowia Bojowego PPS.

„[...] gdy podczas okupacji zaczęli nas Niemcy za mocno gnębić – wspominał Tasiemka – odpowiedzieliśmy akcją. Zaczęliśmy od szpicla Promusiewicza. Było to w kwietniu 1918 roku. Dokonaliśmy na niego pierwszego zamachu u zbiegu ulic Dzielnej i Okopowej. Nie dosięgły go wtedy kule, zabity został tylko towarzyszący mu szpicel, szewc. W maju dokonaliśmy drugiego zamachu, na Nowolipkach. Cztery kule dosięgły Promusiewicza, ale wylizał się z ran i znów zaczął sypać. Pewnej nocy żandarmi obstawili piekarnię [...] i aresztowali nas wszystkich. Syn mój powiadomił o tym działaczy partyjnych, a na trzeci dzień ten, co aresztował, został zastrzelony na Chłodnej”[36].

Tasiemka stanął przed sądem, który skazał go na karę śmierci. W celu wykonania wyroku przewieziono go do Modlina. Miał jednak szczęście, bo na krótko przed dniem egzekucji zaczęło się rozbrajanie okupantów. Załoga twierdzy skapitulowała – i Siemiątkowski wyszedł na wolność.

Podczas wojny z bolszewikami „niezmordowanie prowadził werbunek i agitację”, realizował również „wiele poleceń związanych z obroną Warszawy”. Współpracując z II Oddziałem Sztabu Generalnego, utrzymywał też bliżej niesprecyzowane kontakty z powstańcami na Gór-

nym Śląsku.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy Siemiątkowski zadebiutował w gangsterskim rzemiośle, ale prawdopodobnie wszystko zaczęło się od zdobywania dodatkowych środków na działalność PPS-u. Szef warszawskiego oddziału partii Rajmund Jaworowski zawsze potrzebował pieniędzy dla organizacji i nie miał zwyczaju pytać o ich pochodzenie. Tymczasem Siemiątkowski uchodził za bliskiego współpracownika Jaworowskiego i nawet cieszył się sympatią jego żony.

Nietrudno się domyślić, że nie wszystkie pieniądze zdobyte przez Tasiemkę zostały oddane do dyspozycji partii. Siemiątkowski dbał o swoje interesy, zaś członkowie jego bojówki partyjnej szybko przeobrażali się w pospolitych przestępców. Tasiemka działał poza prawem, a jego podwładni wymuszali haracze od kupców handlujących na Kercelaku. Tymczasem Tasiemka w 1927 roku został wybrany na radnego Warszawy i kandydował nawet do Senatu! Na Powązkach i na Woli wydawał się udzielnym władcą i człowiekiem całkowicie bezkarnym.

Zmienił się również zewnętrznie – ubierał się teraz z wyszukaną elegancją, zawsze pokazywał się w kamizelce od smokingu i dobrze skrojonej marynarce. Był ważną personą i musiał odpowiednio wyglądać. Kupcy zaczęli zwracać się do niego „panie Tata” i dzięki temu jako Tata Tasiemka miał przejść do historii.

KERCELAK

Największe targowisko przedwojennej Warszawy znajdowało się na Woli i zajmowało teren o powierzchni około półtora hektara. Funkcjonowały tam setki stoisk, na których można było kupić i sprzedać praktycznie wszystko. Przy okazji na Kercelaku załatwiano tysiące nielegalnych interesów, co spowodowało, że banda Taty Tasiemki

właśnie to miejsce upatrzyła sobie na rewir działania.

„Zaczął się od wymuszania stałego haraczu miesięcznego – opisywał reporter »Tajnego Detektywa« – wahającego się od 50 do 200 złotych w zależności od stanu finansowego poszczególnego kupca. Wszelkie odruchy protestu tłumiono ciężkim kaleczeniem, zaś próby doniesień do władz kończyły się najczęściej śmiercią kupca, okaleczeniem jego domowników i rozrabowywaniem sklepu czy straganu. Toteż najczęściej skarżący, pod wpływem krwawego terroru, zwykle odwoływał doniesienie, płacąc nawet grzywnę za rzekome fałszywe doniesienie” [37].

Stosowanie przemocy wobec opornych kupców wiązało się z dodatkowymi kosztami, członkowie bandy bowiem skrupulatnie liczyli sobie honorarium za każdą „usługę”. Przyjmowali gotówkę albo zmuszali ofiary do regulowania rachunków w lokalach i domach publicznych. Przestępcy mieli zresztą swój specyficzny „kodeks honorowy” systematyzujący różnego rodzaju „przestępstwa” przeciwko gangowi. W gangsterskim „wymiarze sprawiedliwości” wyróżniał się Pantaleon Karpiński (prawa ręka Tasiemki), który bardzo dbał o swoją pozycję w warszawskim półświatku. Gdy kupiec Josek Edelist powiedział, że „nie boi się bandy Karpińskiego”, został zmuszony do zapłacenia rachunku w restauracji w wysokości 500 złotych. Niekiedy stosowano bardzo drastyczne metody – na każdym targowisku zdarzają się przecież pożary...

Z czasem członkowie gangu opracowali zasady postępowania z opornymi. Procedura składała się z trzech kroków i praktycznie wszyscy handlujący na targowisku doskonale wiedzieli, czego po bandytach mogą się spodziewać.

„Z opornymi lub takimi, którzy próbowali poskarżyć

się przed władzami, załatwiano się w ten sposób: za pierwszym razem zadawano lżejsze rany nożem i obijano tak, że napadnięty kilka miesięcy musiał spędzić na kuracji w łóżku. Za drugim razem obcinano kupcowi uszy, a najbliższe rodzeństwo obijano. Trzecia »interwencja« równała się bezapelacyjnemu wyrokowi śmierci!” [38].

Czytając zeznania świadków, trudno uwierzyć, że podobne rzeczy działy się niemal w centrum Warszawy. Banda była bezkarna i nakładała opłaty od wszystkiego i na wszystkich. Tata Tasiemka i jego wspólnicy mieli doskonały wywiad środowiskowy i byli świetnie zorientowani w życiu osobistym swoich „podopiecznych”. W efekcie nawet ślub córki kupca był obciążony 10-procentowym „podatkiem” od wysokości posagu...

„Wszelkie transakcje kupców musiały przechodzić przez kontrolę członków bandy. Kupcy musieli kupować towar w miejscach wskazanych im przez bandytów. Jeżeli kupujący chciał gdzie indziej nabywać towar, musiał wtedy bandytom płacić wykup, ażeby uzyskać na to zezwolenie. [...] Nawet uciec było trudno. Gdy kupiec likwidował interes, musiał wypłacić część pieniędzy członkom mafii. Nawet wspólnika nie można było przyjąć bez zezwolenia mafii, która uprzednio dowiadywała się, co to za człowiek, czy nie jest to przypadkiem nasłany funkcjonariusz policji” [39].

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że gang Tasiemki dbał również o to, aby jego podopieczni mieli z czego płacić haracze. Gdy kupcy informowali, że jakiś klient zalega im z należnością, bandyci odwiedzali dłużnika i odzyskiwali pieniądze. Oczywiście pobierali za to solidną prowizję...

TATA I POLICJA

38 – *Ibidem*.

39 – *Ibidem*.

Kariera Tasiemki nie byłaby możliwa bez „pomocy” organów ścigania. Jeden z członków rodziny Siemiątkowskiego był policjantem w stopniu przodownika, ale największe znaczenie miały partyjne kontakty Taty oraz jego znajomości z ludźmi ze sfer rządowych. Politycy doskonale zdawali sobie sprawę z charakteru działalności Tasiemki, ale wychodzili z założenia, że w takim miejscu jak Ker celak przestępczość będzie istniała zawsze. I lepiej, aby znajdowała się ona choć pod częściową kontrolą. Sam Sławoj Składkowski (minister spraw wewnętrznych!) przyznawał, że Siemiątkowski „ustatkował się i podobno żyje ze skromnych »darów« przekupniów z Ker celaka, otaczając ich za to opieką przed atakami rzezimieszków i hultajów”. W rzeczywistości największym gangsterem był sam Tasiemka, a policja zachowywała się wobec niego wręcz służalczo.

„Policja nie tylko nie broniła kupców, ale też – bywało – współpracowała z bandytami – pisała Marta Grzywacz. – Kiedy pewnej nocy chłopcy Tasiemki przystąpili do okradzenia stoiska opornego handlarza, zauważył to dozorca placu i wezwał policjanta. Ten dołączył do bandytów i razem z nimi zaczął bić nieszczęsnego stróża, krzyżując: – Tak dostanie każdy, kto nie słucha Taty!” [40].

Pewnego razu, gdy na targowisku doszło do zabójstwa, jeden z kupców znalazł policjanta (na służbie!) w jakimś szynku, gdzie pił wódkę z członkami bandy Tasiemki. Poinformowany o morderstwie funkcjonariusz poradził kupcowi, aby nie mieszał się do takich spraw – sam chyba też nie zamierzał się mieszać, bo wcale nie opuścił knajpy. Postępowania przeciwko ludziom Siemiątkowskiego seryjnie umarzano, a czasami zdarzały się sytuacje, które całkowicie kompromitowały organy ścigania.

Gdy niejaka Giendelowa pokłóciła się na targowisku

z kuzynką policjanta, banda Tasiemki wyrwała ją w nocy z łóżka i kazała iść w bieliznie na posterunek policji, aby tam przeprosić poszkodowaną. Na tym jednak nie koniec, bo ekipa Tasiemki wróciła potem do Giendelów i zażądała uiszczenia 100 złotych kary. Przy tej okazji córka pani Giendelowej została zmuszona do nieustannego grania na fortepianie *Pierwszej Brygady*, która była ulubioną pieśnią Taty i jego kamratów.

Sam Tasiemka uwielbiał „sprawować sądy” i godzić zwaśnione strony. Zasiadał wówczas w otoczeniu współpracowników w jednej z okolicznych knajp i jak rasowy ojciec chrzestny wydawał wyroki. Całe towarzystwo jadło i piło na koszt petentów, a gangsterzy nie zwykli sobie niczego odmawiać.

„[...] wtargnęli do stołowego i urządzili sobie w naszym mieszkaniu dintojrę – zeznawała Chawa Anzel, żona kupca z Kercelaka. – Cały stół był zastawiony rewolwerami i mężowi przystawiono lufę do głowy. Zaczęliśmy płakać, lamentować, ale to i tak nic nie pomogło. Kazali mężowi stawić się do restauracji na Nalewkach na ugodę. Jak wrócił z tej ugody, to miał całą głowę pokrwawioną, twarz nabrzęklą i oczy podpuchnięte. Oświadczył resztkami sił, że musiał się zgodzić zapłacić bandzie 300 dolarów. [...] Sprzedałam meble [...] i wszystko musiałam spłacić. Dwa dni później zgłosił się Karpiński i Lipszyc [najbliżsi kamraci Tasiemki – S.K.] po 100 złotych, mówiąc, że należy im się za fatygę przy ugodzie. Męża napadnięto potem na placu i tak pobito, że chorował potem przez dwa lata i zmarł na raka”[41].

Tata Tasiemka na Kercelaku pojawiał się sporadycznie. Podobno nie znosił widoku krwi, a od mokrej roboty miał odpowiednich ludzi. Niemniej jednak każda jego wizyta wzbudzała prawdziwy popłoch. Elegancko ubrany

41 – Za: M. Piątkowska, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce. Grandesy, kasiarze, brylanty*, Warszawa 2012, s. 64.

przechadzał się pomiędzy stoiskami i odbierał hołdy od swoich poddanych.

Niewykluczone zresztą, że Siemiątkowski bardziej od korzyści materialnych cenił specyficzny prestiż, który spływał na niego jako szefa gangu. W 1925 roku jeden z lewicowych działaczy, Stanisław Karpiński, miał okazję wygłosić odczyt na Powązkach, czyli w obszarze, który pozostawał pod kontrolą Taty Tasiemki. Po wystąpieniu został zaproszony przez „króla Kercelaka” do żydowskiej knajpy, a wizyta ta zrobiła na Karpińskim wielkie wrażenie.

„Wypiliśmy po dwa, oczywiście z zakąską – wspominał. – Wtedy Tasiemka powiada do mnie: »No to chodźmy«. »Dobrze – powiedziałem – ale jeszcze nie zapłaciliśmy«. Na to Tasiemka: »Płacić? Ja nie płacę. Chodźmy!«. Uparłem się jednak, że muszę zapłacić. Ale Żyd nie chciał wziąć pieniędzy, był przerażony samym faktem, że ktoś, kto jest z Tasiemką, chce płacić. Dopiero gdy na moje nalegania Tasiemka pozwolił mu przyjąć pieniądze, wziął je ze strachem, podejrzewając jednak podstęp. Gdy wyszliśmy na ulicę, Tasiemka powiedział do mnie: – Na odczyty toja was będę zapraszał, bo dobrze mówicie, ale do knajpy to ja z wami więcej nie pójde, bo byście mi cały interes popsułi”[42].

KONIEC BANDY SIEMIĄTKOWSKIEGO

Tata Tasiemka opanował nie tylko targowisko – pod jego kontrolą znalazł się właściwie cały wolski świat przestępczy. Nadzorował działalność paserów, był udziałowcem miejscowych domów publicznych. Jako radny warszawski i członek Centralnej Rady Organizacyjnej PPS dawnej Frakcji Rewolucyjnej (w 1928 roku w PPS-ie nastąpił rozłam) wydawał różnego rodzaju pisemne polece-

nia, z upodobaniem opatrując je pieczęciami. Wydawał się tak potężną postacią, że gdy w lutym 1932 roku został aresztowany, nikt na początku nie chciał w to uwierzyć. Zwolniono go zresztą po kilku dniach, ale procesu jego gangu nie dało się już uniknąć.

Siemiątkowski przestał być potrzebny. Po procesie brzeskim sanacja spacyfikowała legalną opozycję parlamentarną, a PPS straciła na znaczeniu politycznym. Wyuczyny gangu Tasiemki zaczęły stanowić problem dla władz, szeroko pisała o nich endecka prasa. Sprawa wymagała natychmiastowych działań i trzeba przyznać, że do akcji przeciwko Tasiemce przystąpiono dość sprawnie.

Na skutek aresztowań w więzieniu znalazła się niemal cała banda Tasiemki. W mieszkaniu Siemiątkowskiego znaleziono „pięć pistoletów automatycznych parabelum, dwa mauzery z kolbami, dwa kordy, bagnet, szpadrynę (kastet), naboje i magazynki”[43]. W całej Warszawie zawrzało, natomiast macierzysta partia Tasiemki wydała bardzo interesujący komunikat.

„Chodzi o Towarzysza Łukasza Siemiątkowskiego – człowieka z najwyższym poświęceniem pracującego z górą trzydzieści lat w ruchu robotniczym, wielokrotnego więźnia politycznego za czasów rosyjskich i niemieckich. Szereg Towarzyszy doskonale znających Towarzysza Siemiątkowskiego jest głęboko przeświadczonych o jego niewinności i o tym, że te wszystkie rewelacje są dziełem prowokacji. Wierzymy, że niezależne sądownictwo potrafi dać wyraz prawdzie i sprawiedliwości”[44].

Głos zabrał również sam Tata Tasiemka, publikując na łamach „Walki” (organu swojej partii) następujące oświadczenie:

„W pismach warszawskich od kilku dni drukują o mojej osobie artykuły robiące ze mnie jakąś kryminalną

43 – Za: *ibidem*, s. 69.

44 – Za: J. Rawicz, *op. cit.*, 327.

figurę, herszta bandytów wymuszających pieniądze, oberlonsa i sutenera, właściciela domu publicznego. Postępowanie tych pism warszawskich i prowincjonalnych nie jest już tylko obrazą czy krzywdą – jest to nawet coś więcej od jawnego bandytyzmu. Nie mogę tego zakwalifikować inaczej, jak nazwą zorganizowanej niktzemności i podłości. Oświadczam publicznie, że jest to stek łajdackich kłamstw. Krzywdy mojej dochodzić będę, dopóki mi sił starczy, na drodze Sądu Powszechnego i obywatelskiego. Póki życia mego krzywdy nie daruję, aż do uzyskania całkowitej satysfakcji.

Walczyłem całe życie o wolność prasy – pod koniec swego życia sam stałem się obiektem wolności bandytyzmu prasowego. Całym wysiłkiem woli panować musiałem nad sobą, aby nie zareagować fizycznie na to zorganizowane łajdactwo.

Oświadczam moim władzom partyjnym, oświadczam publicznie:

1. Nie poczuwam się do żadnej winy, a wiadomości podawane o mnie są podłą i niktzemną prowokacją: jest to znęcanie się jaśnie oświeconych panów, inteligentów nad robotnikiem.
2. Zwracam się do Partii o wyznaczenie natychmiast sądu partyjnego nade mną i ułatwienie zorganizowania mi sądu obywatelskiego.
3. Proszę adwokata, aby wytoczył w moim imieniu w sądzie sprawę o oszczerstwo przeciwko wszystkim tym pismom szarpiącym i niszczącym mą cześć od tygodnia.
4. Do wyroku nie będę pełnił żadnych funkcji partyjnych ani społeczno-obywatelskich.

Wszystkie uczciwe pisma proszę o przedrukowanie tego listu. Z socjalistycznym pozdrowieniem.

Łukasz Siemiątkowski”[45].

Do żadnego sądu partyjnego ani obywatelskiego nie doszło. Tasiemka nie złożył również zapowiadanych pozwów przeciwko prasie, o czym poinformowały nie tylko tytuły endeckie, ale również prorządowy „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Natomiast na początku lipca Siemiątkowski wraz z kompanami stanął przed sądem.

Kilka dni przed pierwszą rozprawą policja zrobiła porządek na Kercelaku.

„Na skutek ciągłych skarg drobnych sprzedawców z placu Kercelego – donosiła prasa – zarządzono obławę. Policja kilku autami zawiozła do ratusza przeszło dwustu (*sic!*) alfonsów, paserów, złodziei itp.”[46].

Następnie zlikwidowano stały posterunek policji na targowisku, który funkcjonował tam od czasu zatrzymania członków gangu Siemiątkowskiego.

PROCES TATY TASIEMKI

„Świadkowie oskarżenia nie będą zeznawać oskarżającą – pisano tuż przed procesem na łamach »Wieczoru Warszawskiego«. – Już się o to postarał nasz Al Capone. Niedawne nowe napady na kupców na Kercelaku i towarzyszące tym napadom pogróżki pouczyły tych świadków, na jakie niebezpieczeństwo narażą się, występując przeciwko Tacie. Organizując w ten sposób obronę, Tata Tasiemka postępuje według najlepszych wzorów Al Capone chicagowskiego, którego władze sądowe przez kilka lat nie mogły posadzić za kraty z powodu braku dowodów winy i wobec niemożności wydobywania zeznań od ofiar

45 – Za: *ibidem*, s. 328.

46 – Za: *ibidem*, s. 335.

bandyckich praktyk gangu”[47].

I rzeczywiście, tuż po wspomnianej obławie policyjnej doszło na Kercelaku do bijatyki bandytów z kupcami, a wezwana policja rozpoczęła działania od aresztowań wśród handlujących. Przestępcy natomiast wznosili okrzyki na cześć Siemiątkowskiego i Karpińskiego, grożąc zemstą. Najwyraźniej część bandy Taty Tasiemki nie trafiła jednak za kratki...

Zgodnie z przewidywaniami nie wszyscy poszkodowani stawili się w sądzie, ale frekwencja była i tak większa, niż planowano (zeznawało ponad 150 świadków). Co nie oznacza, że wielu z nich nie czuło strachu przed przyjęciem na rozprawę.

„Już na ulicy Miodowej widać – relacjonowano w prasie – jak różni Izraelici ostrożnie zagląдают w drzwi wiodące do sądu. Postacie policjantów stojących przy wejściu dodają im odwagi. [...] Stojący przy wszystkich drzwiach do sądu policjanci poddają starannej kontroli wchodzące osoby. Typy spod znaku Tasiemki nie są wpuszczane”[48].

Na ławie oskarżonych zasiadło 14 członków gangu z Siemiątkowskim na czele. Nie zabrakło jego wiernego druha Karpińskiego i wyjątkowo brutalnego wobec współwyznawców Judki Szejndorfa. Oskarżonym zarzucano 44 przypadki stosowania przemocy, zorganizowanie bandy w celu uprawiania rozboju, terroryzowanie handlarzy i pracowników Kercelaka, wymuszanie haraczy, doprowadzenie do zgonu jednej z ofiar na skutek pobicia. Wiele przypadków łamania prawa jednak przemilczano, bo albo nie było świadków, albo niektóre sprawy już się przedawniły. Składowi sędziowskiemu przewodniczył sędzia Hermanowski, który wcześniej prowadził proces brzeski. Zarówno on, jak i prokurator zadbali o to, by na

47 – „Wieczór Warszawski”, 3.07.1932.

48 – Za: M. Piątkowska, *op. cit.*, s. 67.

sali rozpraw nie pojawiły się wątki o powiązaniach bandy Tasiemki z politykami sanacji. Nie byli tym zainteresowani również sami oskarżeni, a Siemiątkowski wiedział doskonale, jak zachowywać się przed sądem. Wyroki skazujące musiały zapaść, problemem była tylko ich wysokość. Tata podejrzewał, że jego przyjaciele z eleganckiego świata nie pozwolą mu zbyt długo przebywać w kryminale.

„Leaderzy parlamentarnej opozycji – pisała pro-rządowa »Gazetą Polska« – patrzą w niemym zdumieniu na to, że kolor ochronny nic nie pomógł, że surowa ręka władzy spadła na karki rzezimieszków, którzy wdzięczyli się do władzy. Jest to dla mężów opozycyjnych niezrozumiałe. Oni swoich Tasiemków pochowali starannie w bezpieczne miejsca. Cóż za dziwna władza ci pułkownicy, którzy potrafią nie krępować się wobec Tasiemków i hien wyborczych, a zamiast laurek gotowi są wypisać surowy wyrok”[49].

9 lipca skazano oskarżonych na wyroki od dwóch do sześciu lat więzienia, a trzy osoby uniewinniono. Najsurowiej potraktowano Karpińskiego (sześć lat) i Szejndorfa (pięć lat), natomiast Tasiemka dostał tylko trzy lata. Ale czy mogło być inaczej, skoro prokurator przyznał, że „może nie w każdym przypadku czerpał korzyści, bo nieraz lojalnie przyjmował skargi poszkodowanych i redukował im haracze, a także nie wykazywał takiego okrucieństwa jak Karpiński i Szejndorf”? Ostatecznie był przecież stołecznym radnym.

Najciekawsze w tym wszystkim było to, że akcję rozbicia bandy prowadził naczelnik Wydziału Bezpieczeństwa i Obyczajności Publicznej MSW Mieczysław Lisowski – człowiek o burzliwej przeszłości, którego oskarżano o liczne defraudacje i współpracę z gangsterami. Zaczynał karierę od stanowiska naczelnika Okręgowego Urzędu Policji Politycznej w Toruniu, skąd został usunięty za „ma-

49 – Za: J. Rawicz, *op. cit.*, s. 344.

lowanie [fałszowanie – S.K.] służbowych dokumentów podróży”. Następnie pełnił odpowiedzialne stanowiska w Warszawie, „opiekując się szczególnie wyścigami, które były dla niego dojrzałą krową”. Oskarżano go wówczas o osłanianie Taty Tasiemki, sugerowano również, że był zamieszany w sprawę podkopu Szpicbródki pod Zakłady Graficzne.

„Skandal był zbyt duży, by go można było tuszować – wspominał kilka lat później były szef policji, generał Kordian Zamorski. – Odszedł, ale nie utonął, został starostą w Kobryniu, a potem w Tarnowie. Tu, mimo że miał dochodzenie prokuratorskie o przywłaszczenie 45 000 złotych ze składek przeznaczonych na powodzian, nie zginął, gdyż zdążył się stać niezbędnym panu wicepremierowi Kwiatkowskiemu, który często zajeżdżał do Tarnowa. Sprawę o pieniądze zatuszowano, a pan Lisowski wypłynął w Ministerstwie Skarbu jako »szara eminencja«, a właściwie łaps donoszący to i owo wicepremierowi” [50].

Jak widać, II Rzeczpospolita nie różniła się specjalnie od Rzeczy pospolitych opatrzonych innymi numerami...



Józef Łokietek pił dużo i często. Zdarzyło się, że strzelał na wiat w kabarecie *Morskie Oko*, a w restauracji *Wiktoria* zabawiał się dziurawieniem żyrandoli z dwóch rewolwerów jednocześnie. Wezwana policja bała się interweniować, bo Łokietek krzyczał, że jeśli ktoś ośmieli się wejść, to go „zabije jak psa”. A wiadano przecież, że nie rzuca słów na wiatr.

JÓZEF ŁOKIETEK

Z PPS-u wywodził się również inny znany gangster okresu międzywojennego – Józef Łokietek. Podobnie jak Tasiemka – z którym zresztą współpracował – utrzymywał on bliżej niesprecyzowane kontakty ze sferami rządowymi. Jednak w odróżnieniu od Siemiątkowskiego Łokietek był człowiekiem wykształconym i uzyskał nawet doktorat z chemii.

Mając zaledwie 15 lat, wziął udział w rewolucji 1905 roku. W tym czasie był już związany z PPS-em, odrzucił też religię mojżeszową i zmienił nazwisko (w rzeczywistości nazywał się Judei Dan Łokieć). W 1906 roku wyjechał do Szwajcarii, po czym przez pewien czas odwiedzał kraj jako kurier. Następnie osiadł we Francji, gdzie studiował chemię i farmację. Po przenosinach do Szwajcarii zapisał się do Związku Strzeleckiego i kontynuował studia chemiczne. Został ulubieńcem jednego z genewskich wykładowców, prof. Berthiera, który przyjmował go nawet w swoim domu. W efekcie Łokietek z wzajemnością związał się w córce naukowca, ożenił się z nią, a następnie przyjął obywatelstwo szwajcarskie. Niebawem też został asystentem teścia i obronił doktorat.

„Wzrostu wyżej średniego – opisywał Łokietka jego znajomy Jan Balcerzak – dobrze zbudowany, twarz okrągła, oczy mądre, nos mierny, łuki brwi tęgie koloru ciemnego o wykroju ładnym, szatyn, nosił zaczeskę z przedziałem po stronie lewej do prawej, włosy falujące – potem łysy, włosy golone, cała postać dość imponująca”[51].

Wkrótce po odzyskaniu niepodległości Łokietek wrócił do kraju na stałe. Ponieważ był sprawdzonym działaczem PPS-u i znał dobrze kilka języków obcych,

51 – Za: J. Rawicz, *op. cit.*, s. 407.

otrzymał etat w intendenturze Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Należał do Związku Strzeleckiego (dosłużył się tam stopnia podpułkownika), brał udział w wojnie z bolszewikami, a następnie organizował pomoc dla powstańców śląskich.

Jednocześnie awansował w hierarchii PPS-u i został jednym z najbliższych współpracowników Rajmunda Jaworowskiego. Uznawano go za człowieka o dużej odwadze osobistej, co udowodnił w dniach tragicznej prezydentury Gabriela Narutowicza. Gdy 11 grudnia 1922 roku bojówki endeckie sparaliżowały miasto, nie chcąc dopuścić do zaprzysiężenia głowy państwa, Łokietek rozwinął pełnię swoich możliwości. Sytuacja była trudna, policja nie reagowała, a kilku posłów PPS-u nie mogło dostać się do Sejmu, bo na placu Trzech Krzyży odcięto im drogę. Jednym z nich był Jaworowski, który z pobliskiej apteki zadzwonił po pomoc.

Łokietek objął komendę nad gromadzącymi się grupami robotników. Podzielił ich na dwie kolumny i ruszył na odsiecz posłom. Na PPS-owski pochód posypały się kamienie i butelki, padły również strzały. Śmiertelnie ranny został niosący sztandar Jan Kabaszewski, robotnik z rzeźni na Solcu. Wówczas Łokietek przejął chorągiew, a jego ludzie odpowiedzieli napastnikom ogniem. Uwolnieni posłowie dotarli pod eskortą Łokietka do gmachu parlamentu, gdzie w końcu doszło do zaprzysiężenia Narutowicza.

W KIERUNKU PÓŁŚWIATKA

Wszystkie relacje z tych czasów zgodnie podkreślają niezwykle opanowanie Łokietka. Unikał gwałtownych ruchów, mówił niewiele, nigdy nie okazywał emocji. Sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, „spokojnego, zimnego awanturnika”, który „nigdy nie denerwował się, gdy był trzeźwy”. Na dodatek

„potrafił każdego wysłuchać, był dostępny, ambicji wygórowanych nie miał, nikim nie pogardzał”. Nigdy „nie afiszował się ze swoją inteligencją”, ale z drugiej strony „miał świadomość roli, jaką spełniał”. A gdy okoliczności tego wymagały, wykazywał wręcz niespożytą energię. I nie bez powodu porównywano go do przyczajonego tygrysa.

Ubierał się również w niezwykle charakterystyczny sposób. Bardzo często nosił mundur oficera Strzelca z baretkami odznaczeń na piersi, a do tego błyszczące buty z cholewami, nigdy też nie rozstawał się z bronią. Gdy zaś zakładał cywilne ubranie, zawsze dbał o szyk.

„[...] prezentuje się elegancko, a nawet wytwornie – relacjonował sprawozdawca »Wieczoru Warszawskiego«. – Jest to wysoki mężczyzna ubrany w czekoladowy garniturek, zapięty z fasonem na jeden guzik, bez kamizelki, uczesany w formie pożyczki, zasłania sobie bocznymi włosami interesującą łysinę. Wytwornością manier odcina się od zakazanych twarzy towarzyszy partyjnych [...]”[52].

Prywatnie towarzysz Łokietek miał gust niespecjalnie pasujący do socjalisty. Lubił zachodnie krawaty i koszule, a podobno także bieliznę. Nosił złotą bransoletę, złoty szwajcarski zegarek i używał wyłącznie wiecznego pióra, które oczywiście też było złote. Nic zatem dziwnego, że niektórzy uważali go za bezideowego karierowicza.

Mimo to regularnie okazywał się niezwykle przydatny dla PPS-u. Na czele milicji partyjnej, a właściwie uzbrojonych bojówek, rozbijał komunistyczne demonstracje, jego ludzie toczyli też boje z endeckimi zadymiarzami. W 1925 roku został przewodniczącym PPS-u w warszawskiej dzielnicy Śródmieście, a rok później, podczas przewrotu majowego, po raz kolejny okazał się bardzo potrzebny. PPS poparła zamach, a Łokietek stanął na czele

batalionów robotniczych wspomagających oddziały Józefa Piłsudskiego. Ale już wówczas pojawiły się zarzuty, że jego partyjna aktywność stanowi jedynie kamuflaż dla działalności przestępczej. Podobno defraudował składki, a jego podwładni wymuszali haracze. Ponadto duże zastrzeżenia wzbudzało jego życie prywatne, a szczególnie niezwykle upodobanie do alkoholu. Powszechnie debatowano także na temat źródeł jego dochodów, prowadził bowiem życie godne zamożnego rentiera.

FACHOWIEC OD ZADAŃ SPECJALNYCH

Każdy reżim potrzebuje ludzi od mokrej roboty – specjalistów, którzy realizują bezprawne zlecenia i nie zadają przy tym zbędnych pytań. Takim człowiekiem stał się właśnie Łokietek, i to nie tylko dla PPS-u. Jego nazwisko pojawiło się bowiem przy okazji afery związanej z zaginięciem osobistego wroga Piłsudskiego, generała Włodzimierza Zagórskiego. Oficer ten, zwolniony z więzienia w Wilnie, pod eskortą przyjechał do Warszawy – i tam zapadł bez wieści. Podejrzewano, że został zgładzony przez stronników marszałka, a byli też tacy, którzy twierdzili, że egzekucji osobiście dokonał Łokietek. Widziano go bowiem na dworcu w towarzystwie belwederskich oficerów tuż przed przybyciem pociągu z Zagórskim. Istnieje hipoteza, że wsiedli oni razem z generałem do samochodu i pojechali do mieszkania Walerego Sławka, a następnie do lokalu Strzelca przy Dobrej. A gdy generał odmówił wydania dokumentów kompromitujących Piłsudskiego, przewieziono go do Fortu Legionów i tam zamordowano, przy czym zbrodni tej miał dokonać właśnie Łokietek. Następnie ciało generała obciążono ponoć kamieniami i wrzucono do Wisły.

Nie wiadomo, ile w tym prawdy, nigdy bowiem nie udało się wyjaśnić ostatnich chwil życia Zagórskiego. Ło-

kietek był jednak zdolny do podobnej zbrodni, zawsze też czuł się zwolennikiem marszałka i otrzymywał liczne dowody zaufania ze strony czynników rządowych. W 1929 roku, a więc dwa lata po sprawie Zagórskiego, został nawet jednym z członków Komitetu Zjazdowego byłych członków Organizacji Bojowej PPS. Było to niezwykle wyróżnienie, ponieważ obok niego w skład komitetu weszli: Aleksandra Piłsudska, Walery Sławek i Aleksander Prystor.

Chwilami mogło się wydawać, że znajomości Łokietka zapewnią mu całkowitą bezkarność, tym bardziej że z jego usług korzystała nawet policja. W 1930 roku poproszono go o pomoc w wyeliminowaniu groźnego pospolitego bandyty o nazwisku Zieliński. Przeszypca okazał się bowiem znakomitym strzelcem i dotychczasowe zasadzki kończyły się ofiarami wśród funkcjonariuszy. Do dalszego pościgu brakowało zresztą chętnych.

Łokietek przyjął zlecenie, jego ludzie otoczyli Zielińskiego w jakimś podwarszawskim młynie, a następnie go zastrzelili. Policjanci byli zafascynowani osobistą odwagą Łokietka, który podczas akcji „nie wiedział w ogóle, co to znaczy bać się”.

CZŁOWIEK O DWÓCH OBLICZACH

Jego słynne opanowanie kończyło się jednak po alkoholu. Łokietek pił dużo i często, a będąc pod wpływem trunków, zachowywał się jak człowiek niepoczytalny. Zdarzyło się, że strzelał na wiwat w kabarecie Morskie Oko, a w restauracji Wiktoria zabawiał się dziurawieniem żyrandoli z dwóch rewolwerów jednocześnie. Wezwana policja bała się interweniować, bo Łokietek krzyczał, że jeśli ktoś ośmieli się wejść, to go „zabije jak psa”. A wiadziano przecież, że nie rzuca słów na wiatr.

„Były wypadki i takie – wspominał Jan Balcerzak – że

Łokietek, będąc w nastroju ochoczym, wchodził do lokalu gastronomicznego ze swą świtą: na jego widok orkiestra restauracyjna na powitanie grała *Pierwszą Brygadę*, na co wszyscy goście podnosili się z siedzeń i w pozycji stojącej musieli odczekać do końca grania orkiestry, co dla nieobeznanych gości było nowością i niektórzy nie dostosowali się do tego nastroju. Wówczas, spostrzegłszy to, Łokietek podchodził do każdego z tych [ludzi], wymierzał każdemu silny policzek, a gdy to nie poskutkowało, świta jego powtarzała razy zapoczątkowane przez Łokietka do momentu, aż delikwenta odwieziono karetką pogotowia z wybitymi zębami, ociekającego krwią do szpitala urazowochorych, a właściciel zakładu i służba bezradni chwyтали się rękami za głowy i z rozpaczą, i z bezradności nie wiedzieli, co im w tym wypadku należy czynić, gdyż goście siedzący na widok tego zajścia, każdy gdzie mógł uciekał, zapominając o uregulowaniu rachunku, narażając zakład na duże, niepowetowane straty. Takie wypadki powtarzały się dość często, a z tego był też Łokietek znany, że w wypadku powtórnego przyjścia do restauracji, gdy na jego widok wszyscy tam znajdujący się goście stawali na baczność, musieli stać w tej postawie tak długo, aż zezwolił im zająć miejsca siedzące. I gdy była interwencja policji, kończyła się tym, że Łokietek na widok jej przybycia rozkazał wszystkim stanąć na baczność, kazał odliczyć raz, dwa i zakomenderował, na prawo czy lewo ma odmaszerować z miejsca przybycia do swego oddziału, skąd wysłani zostali wezwani w tej sprawie” [53].

Policja rzeczywiście kompromitowała się swoimi interwencjami, bo funkcjonariusze doskonale wiedzieli, że Łokietek (trzeźwy czy pijany) będzie bezkarny. Po tym, jak został aresztowany za strzelaninę w Morskim Oku, błyskawicznie go zwolniono, a policjanci biorący udział w tej akcji mieli duże nieprzyjemności.

„[Pijany Łokietek] bił każdego i wszystkich – kontynuował Balcerzak – nie wyłączając nawet swych dobrych przyjaciół, którzy zachowaniem swoim dali jemu błahy powód do zaczepki, nie wyłączając i członków Związków Zawodowych znajdujących się w Związku Żydowskim Administratorów i Rządców, Kupców, Żwirazy, Transportowców czy Tragarzy. Jak coś który zawinił, ustawiał wszystkich w szeregu, wśród nich winnego i bił go do krwi ręką w twarz i to niejednokrotnie; okrwawiony zmuszony był potem jeszcze go przeprosić i przysiąc, że to mu się więcej nie powtórzy i więcej tego nie robi. Po zaistniałym takim wypadku na zebraniu członków, gdy Łokietek zamierzał przeforsować coś w danym związku, nie śmiał nikt wnieść żadnego sprzeciwu z bo- jaźni na skutki, jakie go dotknąć mogą w złym humorze Łokietka. Po zebraniach tych związków uczestnicy zwykle prosili Łokietka do restauracji na kolację, gdzie pobity i pokancerowany fizycznie musiał do swojej krzywdy zapłacić duży rachunek bez dąsów i z miłą miną, przy ogólnym dobrym nastroju biesiadujących uczestników libacji, z dodatkową karą pieniężną na cel zakładu charytatywnego biednych sierot lub starców bezradnych” [54].

Pijany Łokietek często kończył libacje w szynku U Jolska na Gnojnej, gdzie nad ranem spotykali się wszyscy niedopici imprezowicze z całej Warszawy.

Niejednokrotnie bawił się tam w towarzystwie Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, gdyż obaj panowie znali się od wielu lat i pozostawali w znakomitych stosunkach.

Obowiązkowe datki na cele charytatywne nie były jego przypadkowym pomysłem – Łokietek naprawdę lubił dzieci. Chociaż z reguły wspomagał je z cudzej kieszeni, to zdarzyło się również, że wykazał się wręcz nieprawdopodobną odwagą i altruizmem, ryzykując życie podczas po-

żaru kamienicy. Przeszedł wówczas po zewnętrznym gzymsie między oknami, aby dostać się do mieszkania, z którego dobiegał płacz dziecka! Inna sprawa, że był wówczas trzeźwy, inaczej zapewne nie przeżyłby tej interwencji.

Józef Łokietek był dwu- lub trzykrotnie żonaty, nie doczekał się jednak własnych dzieci i dlatego swoją drugą małżonkę nakłonił do adopcji. W chwilach pijackiego zamroczenia regularnie bił partnerkę, traktując ją jak wszystkich ludzi ze swojego otoczenia. Bez alkoholu był zupełnie innym człowiekiem. Hodował w domu kanarki i papugi, a do tego znakomicie grał na skrzypcach. Tej ostatniej pasji oddawał się bez reszty, ale sam dla siebie nie grywał *Pierwszej Brygady*.

SZEF GANGU

Nie sposób ustalić, kiedy Łokietek ostatecznie skoncentrował się na działalności przestępczej. Zapewne nigdy nie prowadził życia całkowicie zgodnego z prawem, tym bardziej że w pierwszych latach niepodległości dość trudno było stosować się do wszystkich przepisów. Polską wstrząsały zaburzenia wewnętrzne, na ulicach urządzano demonstracje i dochodziło do starć partyjnych bojówek, a komunistów eliminowano jako agenturę Kremla. W tej sytuacji większość działaczy terenowych (bez względu na przynależność partyjną) poruszała się na granicy prawa, często ją przekraczając.

9 kwietnia 1927 roku Łokietek został wybrany do Warszawskiego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS, a po rozłamie w partii znalazł się w PPS dawnej Frakcji Rewolucyjnej. Wszedł do Centralnej Rady Organizacyjnej partii i objął komendę nad partyjną milicją. Rok później wybrano go na członka Rady Głównej, a następnie na prezesa Centralnego Związku Zawodowego Pracowników

Transportu Rzecznego w Polsce, który odtąd płacił mu stałą pensję.

Nie miała ona dla niego większego znaczenia, bo już wtedy osiągał znaczne dochody z nielegalnej działalności. Pobierał pieniądze za „ochronę”, a od tragarzy i piaskarzy wymuszał opłaty za dopuszczanie ich do pracy. Jego ludzie słynęli z brutalności, a on sam w maju 1930 roku został aresztowany pod zarzutem zabójstwa. Co prawda szybko go wtedy zwolniono, ale nadal prowadzono przeciw niemu dochodzenie. Policja, choć czasem korzystała z jego pomocy, wyjątkowo go nie lubiła. Łokietek bowiem, w odróżnieniu od Taty Tasiemki, zachowywał się wobec policjantów pogardliwie i zawsze dawał im do zrozumienia, że uważa się za kogoś lepszego. A tego nie lubią funkcjonariusze żadnej państwowej służby.

O jego losach zadecydowała sytuacja polityczna w kraju. Sanacji zależało na działaniach pokazowych, toteż po likwidacji bandy Tasiemki przyszedł czas i na Łokietka. Na początku grudnia 1932 roku wraz ze swoimi kompanami stanął on przed sądem oskarżony o pobicie tragarzy, którzy odmówili płacenia haraczu. Zarzut był stosunkowo błahy i można odnieść wrażenie, że władzom nie chodziło o całkowite wyeliminowanie Łokietka, lecz raczej o zdyskredytowanie go w oczach opinii publicznej i o wzmocnienie autorytetu policji. Nie postawiono mu przecież innych, znacznie poważniejszych i dobrze udokumentowanych zarzutów. Najwyraźniej uznano, że gangster był bardziej zasłużonym działaczem niż Tata z Kercelaka.

Proces ten nie wzbudził większego zainteresowania. Gangsterzy nie przyznali się do winy, a na korzyść Łokietka zeznawał nawet jeden z komisarzy policji. Obrońcy twierdzili natomiast, że gang wprowadził terroryzował opornych tragarzy, ale tylko tych, którzy byli komunistami.

Józef Łokietek został ostatecznie skazany na rok wię-

zienia, a na mocy amnestii skrócono mu karę o połowę. Ale i tego wyroku nie odsiedział, bo w areszcie przebywał podobno tylko kilka dni. Co prawda stracił wpływy w partii, lecz zachował swoją pozycję w stołecznym półświatku. Nadal prowadził nielegalną działalność, w czym nikt mu specjalnie nie przeszkadzał, pozostał również członkiem Związku Strzeleckiego (w stopniu podpułkownika!). Inna sprawa, że od tej pory doktor Łokietek nie afiszował się już tak bardzo ze swoimi gangsterskimi metodami. W dalszym ciągu pobierał haracz od handlarzy, rzeźników, targarzy i piaskarzy, ale robił to nieco bardziej dyskretnie. Podejmował się też ochrony obiektów handlowych i przemysłowych, których właściciele obawiali się działań konkurencji. Szczególnie dochodowe okazało się wymuszanie kontrybucji na organizatorach walk cyrkowych, które cieszyły się w tamtym czasie ogromną popularnością. Nie zapominał także o lokalach gastronomicznych, chociaż zachowywał się w nich już znacznie spokojniej.

GANGSTERZY PATRIOCI

Całego wyroku nie odsiedział również Tata Tasiemka. Jego obrońcy wnieśli apelację, dzięki czemu zmniejszono mu karę więzienia do dwóch lat. Niebawem zresztą został ułaskawiony przez prezydenta Mościckiego i znalazł się na wolności.

Co prawda jego reputacja bardzo ucierpiała, ale dawni koledzy z czasów PPS-u o nim nie zapomnieli – w 1937 roku został uhonorowany Krzyżem Niepodległości! Wówczas podniosły się głosy oburzenia i ostatecznie na kilka tygodni przed wybuchem wojny odebrano mu to odznaczenie.

Tasiemka i Łokietek oczywiście byli gangsterami, ale po ataku Niemiec na Polskę nie zapomnieli o swoich patriotycznych obowiązkach. Łokietek brał udział w obronie

Warszawy we wrześniu 1939 roku, a po kapitulacji pozostał w stolicy. Wprawdzie był żydowskiego pochodzenia, lecz miał przecież szwajcarski paszport – uznał więc, że ten dokument zapewni mu bezpieczeństwo. Razem z Tatą Tasiemką powrócili do dawnego procederu, nakładając haracze na warszawskich kupców, tym razem jednak większość zysku przeznaczali na pomoc aprowizacyjną dla najuboższej ludności miasta, a ich klientami były głównie osoby pochodzenia żydowskiego. Tasiemka i Łokietek zaangażowali się również w akcję wyrabiania aryjskich dokumentów dla swoich podopiecznych.

Jako pierwszy w ręce Niemców wpadł Łokietek, który został aresztowany i osadzony na Pawiaku. Podczas śledztwa zachowywał się dzielnie – później opowiadał, że bicie „boli tylko na początku”. W grypsach przemyconych rodzinie prosił jednak o przysłanie cyjanku potasu, obawiając się, że z czasem może się załamać.

Tym razem dopisało mu szczęście, bo hitlerowcy nie wiedzieli o jego żydowskim pochodzeniu, zaś pewne znaczenie miał dla nich jego szwajcarski paszport. Rodzina przekupiła odpowiednie osoby i po kilku tygodniach Łokietek był na wolności. Założył wówczas lokal z wyszynkiem, który stał się głównym źródłem jego utrzymania.

„Byłem zaskoczony spotkawszy go na ulicy – wspominał członek PPS-u Zygmunt Zienc. – A Łokieć powiada: »Przyjdź do mnie, pogadamy, prowadzę teraz knajpę na Ogrodowej 39, naprzeciw Domu Ludowego, razem z żoną«. Dałem się namówić i wstąpiłem do tej knajpy, ale nie bardzo się tam dobrze czułem. Prawdę mówiąc, bałem się trochę. Zapytałem: »Dlaczego nie pryskasz?«. »Mnie nic nie zrobią, bo ja jestem obywatel szwajcarski«. Nie przekonało to mnie. Przecież Łokietka znała całą Warszawę, i z lewa, i z prawa miał mnóstwo wrogów, naraził się tysiącom ludzi. Rozejrzałem się po lokalu, niewielkim, dwuizbowym, w jednym pokoju był bufet. Knajpa miała

powodzenie, tym bardziej że bimber był znakomity, miał w sobie coś z koniaku. Wolałem jednak prędko pójść”[55].

Łokietek nigdy nie należał do ludzi bojaźliwych i nie zamierzał się ukrywać. W związku z tym, że jego lokal znajdował się na granicy warszawskiego getta, być może prowadził jakieś interesy handlowe z żydowską dzielnicą albo brał udział w przemyśle ludzi na aryjską stronę. Nie wykluczone również, że wykonywał jakieś zlecenia polskiego podziemia, nic jednak na ten temat bliżej nie wiadomo. Wiosną 1941 roku został ponownie aresztowany, podobno tym razem zadenuncjował go jako Żyda właściciel konkurencyjnego lokalu. Od tej chwili nic pewnego o jego losach już nie wiemy. Według niesprawdzonych do końca wiadomości miał zostać

zamordowany przez hitlerowców na Pawiaku, ale można też spotkać się z wersją, że we wrześniu 1941 roku zwolniono go i zmarł z przyczyn naturalnych kilka miesięcy później.

Tata Tasiemka początkowo miał więcej szczęścia, a poza tym był po prostu bardziej ostrożny. Krytykował nawet Łokietka za jego brawurę.

„Łokieć jest głupi - twierdził - czego się on tak wygłupia? Mówiłem mu, żeby się schował. A bo to idiota posłucha? Wielki doktor! Ja z tym wariatem nie mogłem mówić. Poszedłem do jego żony, ale to też nie pomaga...”[56].

W okupacyjnej rzeczywistości Tasiemka zarabiał na życie grą w trzy karty, a następnie zorganizował grupę specjalizującą się w kradzieżach niemieckiej broni.

„[...] prowadził pewną robotę - tłumaczył Zienc - a mianowicie: na bocznicę między Dworcem Gdańskim a Dworcem Zachodnim robił napady na niemieckie wagony

55 – Za: *ibidem*, s. 457.

56 – Za: *ibidem*, s. 460.

z bronią, jak to się wówczas nazywało »skoki na wagony«. Mogę się domyślać, znając Tatę, że część tej broni szła również dla celów zarobkowych: na Kercelaku można było kupować niemieckie pistolety, a nawet automaty. Ale część szła zapewne na bliżej mi nieznane cele organizacyjne”[57].

Na pewno współpracował z dawnymi kolegami z PPS-u – to właśnie on zbierał pieniądze na pogrzeb Rajmunda Jaworowskiego, który zmarł w kwietniu 1941 roku.

Półtora roku później Siemiątkowski i jego syn zostali aresztowani, a po pobycie na Pawiaku obaj trafili na Majdanek. Tatę Tasiemkę przydzielono do obieralni ziemniaków. Trzymał się bardzo dzielnie i uważał, że nie wszystko jeszcze stracone.

„Był pełen optymizmu – wspominał inny więzień Majdanka Zygmunt Ładkowski – wynosił kartofle i dzielił się nimi, podtrzymywał na duchu płacznego i załamane go syna”[58].

Siemiątkowski spędził na Majdanku półtora roku, a kres jego życiu położyła choroba, której organizm tego 68-letniego mężczyzny nie był w stanie pokonać.

„Zachorowałem w styczniu 1944 roku na tyfus plamisty – opowiadał inny więzień obozu Wojciech Wojewoda. – Przeniesiono mnie na barak tyfusowy, gdzie skazani byliśmy na wykończenie. Zabrano nam całą odzież i leżeliśmy w zimie w nieopalanym baraku, nago, przykryci tylko kocami. Jako jednemu z nielicznych udało mi się przetrzymać kryzys. Gdy wracałem z baraku tyfusowego na blok ogólny, boso i nago, spotkałem po drodze prowadzonego na blok tyfusowy Tatę Tasiemkę. Był to początek lutego. Mróz. Choć Tasiemka fizycznie i psychicznie dotychczas trzymał się nieźle, tym razem był załamany. »Ja już nie

57 – Za: *ibidem*, s. 460–461.

58 – Za: *ibidem*, s. 462.

wrócę» – powiedział. I tak też się stało. Z początkiem lutego Łukasz Siemiątkowski w baraku tyfusowym na Majdanku zakończył swoją drogę życiową” [59].

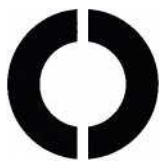
Jego „płaczliwy i załamany” syn Jan kilka miesięcy wcześniej miał być przewieziony do innego obozu – udało mu się jednak zbiec podczas transportu. Powrócił do stolicy, dzielnie walczył w Powstaniu Warszawskim, po czym dostał się do niewoli. Ponownie uciekł i przez jakiś czas pod przybranym nazwiskiem pracował u pewnego bauera. Zmarł kilka miesięcy później w efekcie nieudanej operacji wrzodu żołądka.

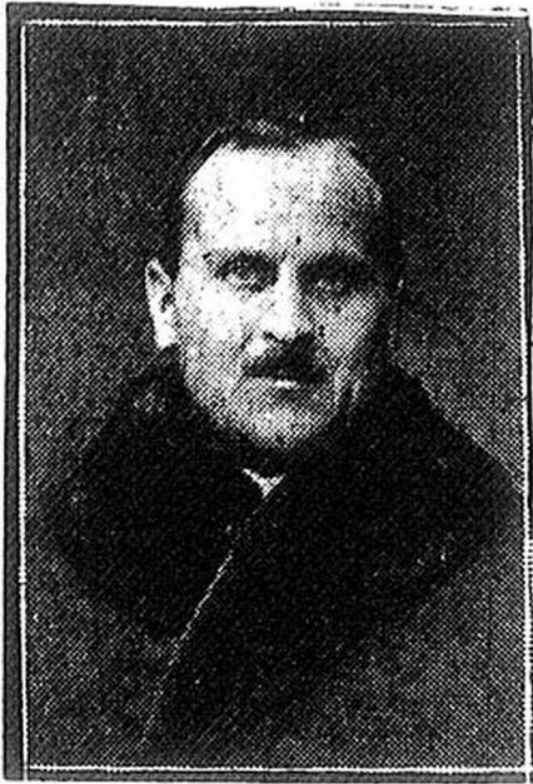
Targowisko na Kercelaku istniało do wybuchu Powstania Warszawskiego. Po wojnie jego rolę przejął bazar Różyckiego na Pradze, ale Tata Tasiemka i jego kamraci nie zostali zapomniani. Ich historie przewijały się w wielu wspomnieniach, a o legendarnym szefie gangu śpiewał również w jednej ze swych piosenek Stanisław Grzesiuk (*Rum Helka*), którą po latach przypomniał zespół Szwa-gierkolaska.



Rozdział III

Szpicbródka i kasiarze





STANISŁAW CICHOCKI
pseudo „Szpicbródka“.

„Stanisław Cichocki, Szpicbródka, piękny mężczyzna, głos miły, wyjątkowo bogaty w timbre, o bardzo subtelnym sposobie opowiadania. Król włamywaczy polskich. Powiedziałem: »Powinniście wysłać go na jakąś placówkę, dobrego ambasadora wam mogę polecić, człowiek o absolutnie nieskazitelnym manierach, bardzo inteligentny, niezwykle ujmujący, Szpicbródka«”.

Aleksander Wat

O ile wśród innych złodziei zawodowych przeważa typ recydywistów, którzy nie wyobrażają sobie innego życia – pisała »Gazeta Polska« na początku czerwca 1931 roku – o tyle kasiarz ma jasno sprecyzowany cel: zrobić majątek i dokonać życia jako bogaty i uczciwy obywatel”[60].

ELITA ZAWODU

Jak świat światem potencjalne ofiary złodziei starały się jak najlepiej zabezpieczyć swój majątek, natomiast przestępcy doskonalili metody rabunku. Pierwsze kasy pancerne („skrzynki zabezpieczające od kradzieży i ognia”) zaczęto wprowadzać w połowie XIX wieku, szybko jednak uznano, że nie stanowią one wystarczającego zabezpieczenia przed złodziejami. Dlatego pojawiły się systemy alarmowe, które miały zawiadamiać o próbach rabunku, zanim przestępcy przystąpią do prucia kas. Początkowo nie były one specjalnie skomplikowane, stanowiły jednak dodatkowe zabezpieczenie przed włamaniem.

„U jednego z panów przedsiębiorców – opisywał Bolesław Prus – widziałem dwie następujące maszynki antyzłodziejskie: pierwsza była szufladką bez zamka, która

60 – Za: S. Milewski, *Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy*, Warszawa 2009, s. 92.

(jeżeli otworzy ją osoba nieznająca sekretów właściciela) ogłasza fakt ten dzwonieniem zdolnym obudzić umarłego; drugą jest przyrząd, który umieszczony przy drzwiach w razie otwierania takowych przez złodziei ogłasza fakt ten dzwonieniem zdolnym zabić żyjącego” [61].

Zamożni obywatele mieli prawo obawiać się włamywaczy, uczciwie trzeba bowiem przyznać, że ówczesni złodzieje działali z niezwykłym tupetem. Jedną z najbardziej ich bezczelnych akcji było włamanie przez dach do ekskluzywnego składu futer, w którym – zanim przystąpili do rabunku – zjedli elegancką kolację i dopiero zaspokoiwszy głód, wzięli się do pracy i opróżnili sklep z najcenniejszego towaru.

Natomiast w styczniu 1882 roku dokonano głośnej kradzieży w „składzie wyrobów złotych i srebrnych J. Arszagi w domu hr. Krasieńskiego przy ul. Wierzbowej”. Złodzieje wykorzystali fakt, że placówkę zamknięto z okazji Święta Trzech Króli, i bez pośpiechu dokonali rabunku.

„O ile przypuszczać można – relacjonowano na łamach »Kuriera Warszawskiego« – złodzieje bawili w sklepie dwie noce i jeden dzień. Zakradli się do sklepu w nocy z czwartku na piątek. W piątek sklep był zamknięty. Sklep otwarto w sobotę rano i wówczas dopiero kradzież sprostżeszono. Złodzieje ci byli, zdaje się, wykwalifikowanymi specjalistami, dobrze obeznanymi z kasami ogniotrwałymi. Wiedzieli oni, że pierwsze ściany w kasach są śrubowane, odszukali tedy śruby ukryte i takowe wyjęli. Drugie ściany są lutowane i o tym [też] wiedzieli złodzieje. Za pomocą świdrów i piłek gustalowych [do cięcia stali – S.K.] wycięli te ściany, smarując świdry i piły oliwą dla usunięcia pisku i skrzypu” [62].

Łupem przestępców padły wyroby jubilerskie i gotówka o łącznej wartości aż 60 tysięcy rubli (księgowy w

61 – Za: *ibidem*, s. 94.

62 – „Kurier Warszawski”, 09.01.1882.

dobrej firmie zarabiał wtedy nieco ponad 800 rubli rocznie!), był to największy złodziejski skok w dotychczasowej historii stolicy. Nic zatem dziwnego, że poszkodowany ufundował wysoką nagrodę za pomoc w ujęciu sprawców, a policja przystąpiła do energicznych działań. W efekcie trzy dni później włamywacze zostali aresztowani.

Okradanie kas pancernych wymagało poważnych nakładów finansowych. Konieczne były specjalistyczny sprzęt, duża wiedza techniczna oraz współdziałanie osób pracujących w instytucji mającej być celem rabunku. Najistotniejsze znaczenie miała informacja o typie kasy i systemach dodatkowych zabezpieczeń, toteż nie bez powodu tzw. nadawcy pobierali wysoką prowizję sięgającą 40 proc. wartości zrabowanych przedmiotów.

„To wszystko, co mówi »nadawca« – wspominał pension emerytowany kasiarz – trzeba jeszcze sprawdzić z własnym wywiadem, na poczcie, w banku, przez śledzenie pewnych osób. Następnie musi być przeprowadzone doskonałe rozeznanie w terenie: czy można wejść przez piwnicę, sklep czy sufit. Trzeba też sprawdzić, co się będzie przebijało, bo betonu nie warto ruszać”[63].

Doświadczeni złodzieje doskonale orientowali się w słabych stronach różnego rodzaju sejfów. Wiedzieli, do których modeli można dostać się z boku, a do których wyłącznie od strony ściany tylnej. Czasami wystarczała nazwa producenta i już wówczas wiadomo było, czy kradzież „da się zrobić zwykłym sposobem, to jest rakiem, czy też nie”. Prawdziwi fachowcy nigdy nie włamywali się bez dobrego rozpoznania, a od doboru odpowiednich narzędzi zależało powodzenie całego przedsięwzięcia.

Gdy tylko była taka możliwość, kasiarze unikali skomplikowanych metod otwierania sejfów. Próbowano nawiązać kontakt z osobą mającą dostęp do kluczy w celu sporządzenia ich odcisków. To znacznie przyspieszało

pracę i gwarantowało, że na miejscu przestępstwa pozostanie o wiele mniej śladów. Z tego powodu niechętnie korzystano z palników (wymagało to dodatkowego sprzętu) czy materiałów wybuchowych powodujących znaczny hałas i zagrożenie dla samych włamywaczy.

Dobrzy specjaliści praktycznie nigdy nie pracowali wyłącznie w jednym miejscu. Były to czasy powolnego przepływu informacji, zatem częste zmiany terenu działania zwiększały skuteczność kradzieży. Dzięki dużej mobilności najlepsi fachowcy mogli więc bez większych przeszkód rabować przez długie lata.

„W kronice kryminalnej – informował w marcu 1902 roku »Kurier Warszawski« – od lat kilku dobrze był znany niejaki Jegor Korolew, który brał udział przynajmniej w dziesięciu faktach wyłamywania kas, nie tylko w Warszawie, lecz też w Moskwie, Niższym Nowogrodzie i innych miastach, a jak stwierdzono, łotrowi temu udawało się nieraz zrabować w ten sposób sumy po 40 tysięcy rubli, jak to było na przykład w Moskwie. Korolew wszakże potrafił wszelkie ślady zacierać po sobie i od lat kilku uchodził bezkarnie, aż wreszcie w dniu wczorajszym pochwycony został w mieście naszym”[64].

Kasiarza zgubiła zbyt duża rutyna i brak dokładnego rozpoznania terenu. Nie najlepiej dobrał też współnika, bo miejscowy złodziej nie tylko mu nie pomógł, ale po aresztowaniu przekazał wszystkie informacje policji. Dzięki temu odnaleziono ukryte narzędzia kasiarza, co okazało się decydującym dowodem przeciwko niemu. Złodziejskie wyposażenie zaprezentowano dziennikarzom, którzy nie kryli swojego podziwu.

„Komplet narzędzi, jakie używał Korolew do wyłamywania kas, zasługuje na uwagę świetnym wykonaniem i prostotą pomysłu. Są to majstersztyki w swym rodzaju, jakich zbiór osobliwości i narzędzi złodziejskich przy tu-

tejszym wydziale śledczym jeszcze nie posiada. Zwłaszcza dowcipnie pomyślany jest lewar z regulatorem mechanicznym, któremu najgrubszy pancierz kasowy nie oprze się i zostanie skruszony na miazgę. Inne narzędzia prujące blachy kasowe są z pysznej stali [...] z ostrzami różnych kształtów, stosownie do miejsca, skąd należy rozbić kasę”[65].

W ostatnich dekadach XIX stulecia prasa regularnie informowała o wyczynach kasiarzy. W 1874 roku na łamach „Kłósów”.pisano, że „w ostatnim czasie coraz częściej słyhać o kradzieżach dokonywanych z dużą znajomością sztuki ślusarskiej”. Ćwierć wieku później uznano, że sytuacja stała się alarmująca, gdyż przestępcy „doprowadzili do artyzmu technikę swego fachu”. Wydawało się, że nie ma sposobu na powstrzymanie złodziei, albowiem gdy system alarmowy okazywał się zbyt skomplikowany, potrafili oni wywiercić otwór w ścianie i dostać się do sklepu albo firmy od strony sąsiednich budynków. Pojawiły się również pierwsze podkopy, które miały zapewnić swobodę działania w wybranym czasie. Inna sprawa, że nadal przeważały włamania „w starym stylu”, a złodzieje zadowalali się stosunkowo niewielkim łupem.

„Wczoraj rano – informował »Kurier Warszawski« w połowie czerwca 1908 roku – kiedy otwierano skład wyrobów metalowych Kornbluma i Gepnera w domu nr 27 przy ulicy Grzybowskiej, spostrzeżono, iż znajdująca się w składzie kasa ogniotrwała jest rozbita. Złodzieje, dostawszy się do składu od podwórza, po wyłamaniu kasy zabrali z niej 693 ruble, kupon na 2 ruble 50 kopiejek, 10-markową monetę złotą i sumę 200 rubli papierów procentowych”[66].

Kilka dni później celem włamania kasiarzy stała się... redakcja tegoż „Kuriera”, o czym gazeta uczciwie poinformo-

65 – *Ibidem*.

66 – „Kurier Warszawski”, 12.06.1908.

mowała swoich czytelników.

Największym zainteresowaniem opinii publicznej i dziennikarzy cieszyli się jednak bohaterowie spektakularnych rabunków, podczas których łupem padały duże sumy pieniężne lub kosztowna biżuteria. Było wtedy o czym pisać i o czym dyskutować w biurach i kawiarniach. Dziennikarze lubili też relacjonować sprawne działania policji. Oceniano wówczas pozytywnie stróżów prawa, nie wchodząc zanadto w powody ich sukcesów. Wzmacniało to poczucie bezpieczeństwa wśród zamożnych obywateli i właśnie dlatego w prasie codziennej wiele miejsca poświęcano na opisy skutecznych akcji policyjnych.

„Tak niedawno donosiliśmy o całym szeregu wykrytych wielkich kradzieży i ujętych sprawców stanowiących doskonale zorganizowaną bandę włamywaczy kas ogniotrwałych, której przewodził słynny już herszt, grabieżca i zabójca Krasiński, że dziwnym może się wydać istnienie obok tamtej drugiej spółki złodziejskiej do rozbijania kas ogniotrwałych, których właśnie w sobotę i wczoraj udało się znów wydziałowi śledczemu tutejszemu odkryć i wyłowić. Są to sprawcy i uczestnicy rozbicia kasy tramwajowej w biurze jej zarządu, skąd skradziono 8 tysięcy rubli, kasy w fabryce zegarków przy Grzybowskiej, gdzie zrabowano około 5 tysięcy rubli, tudzież, według otrzymanych bardzo silnych poszlak, rozbicia kasy w biurze administracji żeglugi parowej M. Fajansa, skąd także skradziono 5 tysięcy rubli. Po ostatniej kradzieży w biurze dyrekcji tramwajów policja śledcza z jej naczelnikiem pracowała kilkadziesiąt godzin bez przerwy, ale zabiegi te uwieńczyły rezultaty nadspodziewanie pomyślne” [67].

Triumfalnie informowano, że w rękach policji znalazł się „niebezpieczny zbój, poszukiwany od dawna przez władze sądowe Jastrzębski”, mający na sumieniu rozbicie kas „w fabryce zegarków i biurze dyrekcji tramwajów”.

Szczegółowo też wyjaśniono, że w tym ostatnim włamaniu wziął udział siedmioosobowy gang, którego dwóch członków było nadawcami, a jeden pełnił rolę wartownika podczas akcji. Podobno złodzieje przygotowywali się do skoku przez kilka dni, powoli gromadząc na strychu budynku potrzebne narzędzia, w czym pomagał im kolejny współnik – jeden z pracowników biura. On też zaopatrzył przestępców w plan sytuacyjny terenu, co znacznie ułatwiło im działanie.

„Pozwoliło to złodziejom zaraz po zamknięciu biur o godzinie szóstej wieczorem umieścić się na strychu w pozycji obserwacyjnej, a o godzinie dziewiątej wieczorem wdrzeć się do biura, gdzie stała kasa i złamać ją przy pomocy specjalnych cęgów krających pancierz, co trwało do godziny trzeciej rano” [68].

Złodziei zdradziły jednak błędy w sztuce. W budynku dyrekcji tramwajów porzucili bowiem „rękojeść narzędzi do rozbicia kasy służących w kształcie rury zakończonej gwintem, w którą wśrubowywano odpowiednie kleszcze, nożyce i ostrza, oraz latarki, którymi złodzieje przyświecali sobie przy »robocie«”. Natomiast podczas włamania do fabryki zegarków „pozostawili porzucone parasol i laskę”, a policja miała rozpoznać ich właścicieli. Niewykluczone jednak, że wpadła na ich trop dzięki donosowi jednego z członków bandy, jako że jej szef podzielił się łupami ze swoimi współpracownikami „nie nazbyt hojnie”...

Kasiarze byli znienawidzeni przez bankierów, przemysłowców i zamożnych kupców, jednak szerokie kręgi społeczeństwa traktowały ich z pewną dozą sympatii. Nie potępiano zbyt surowo rabowania najbogatszych (z reguły dobrze ubezpieczonych), a czasami wręcz kibicowano złodziejom. Kasiarze stanowili bowiem elitę zawodu – unikali brutalnych metod, a uszczuplając majątek zamożnych obywateli, stawali się swego rodzaju egzekutorami

„sprawiedliwości społecznej”. Społeczeństwo doceniało również pomysłowość, tupet oraz bezczelność włamywaczy i często – wbrew oficjalnemu nastawieniu prasy – z sympatią komentowało ich poczynania...

ABECADŁO KASJARZA

„Zawód kasiarski, który jest koroną zawodów złodziejskich – pisano w przedwojennym podręczniku *Służba śledcza*– rekrutuje się z przestępców wykwalifikowanych we wszystkich gatunkach roboty włamywacza. Muszą to być osobnicy silni, mający pewne wiadomości z dziedziny mechaniki, a czasem, jak na przykład przy robieniu podkopów, muszą posiadać pojęcie o górnictwie. Kasiarze działają stale grupami, ponieważ robota ich przedstawia znaczne trudności i wymaga udziału większej ilości osób i znacznego nakładu pracy, a czasami i kosztów”[69].

Te ostatnie sprawiały, że pruciem kas mogli się zajmować wyłącznie dobrze sytuowani złodzieje. „Klienci” kasiarzy wciąż udoskonalali zabezpieczenia, konstruowano bardziej skomplikowane i trwałe sejfy, coraz trudniejszy był również dostęp do nich. W nowo powstających budynkach, gdzie otwierano placówki bankowe czy sklepy jubilerskie, montowano podwójne, opancerzone sufity, które uniemożliwiały dostanie się do wnętrza przez dach, a w skarbcach pojawiła się całodobowa straż. Przez pewien czas używano nawet kas pancernych o podwójnych ścianach, pomiędzy które włączano trujący gaz. Ostatecznie zrezygnowano jednak z tego pomysłu, uznawszy go za niehumanitarny.

69 – Za: P. Rzewuski, *Pierwszy wśród kosiarzy-Stanisław Cichocki, „Szpicbródka”,*
<https://www.wprost.pl/494946/Pierwszy-wsrod-kasiarzy-Stanislaw-Cichocki-Szpicbrodka>

Do sforsowania nowszych sejfów potrzebne były specjalistyczne narzędzia, stosowano również materiały wybuchowe i palniki acetylenowe. Złodzieje dostawali się do skarbców na różne sposoby, najczęściej przygotowywali podkop, a więc rozwiązanie drogie i czasochłonne. Dla dobrych fachowców nie stanowiło to jednak przeszkody – warszawski kasiarz Szmul Wardecki podczas gościnnych występów w szwajcarskiej Bazylei okradł skarbiec jednego z banków, wykonując podkop o długości... 80 metrów.

Przygotowanie odpowiedniego tunelu często wymagało posiadania legalnego sklepu, zakładu usługowego czy wręcz kamienicy w pobliżu miejsca planowanego rabunku. Najczęściej wynajmowano odpowiedni budynek i prowadzono w nim pozorną działalność, czasami jednak efekty takiego kamuflażu potrafiły zaskoczyć samych złodziei. I właśnie taką sytuację opisał w jednej ze swoich powieści Sergiusz Piasecki.

„Zameldował się jako kupiec i rzeczywiście założył sklep przy ulicy Pietropawłowskiej obok kina »Lux«. Był to sklep dziecinnych zabawek. Ażur [główny bohater powieści – S.K.] z ogłoszenia w gazecie znalazł sobie ekspedientkę. [...] Ekspedientka zrobiła bardzo gustowną wystawę. Ładnie urządziła wnętrze, sama sprowadziła na kredyt i brała w komis zabawki i sklep zamiast spodziewanego deficytu zaczął dawać zyski” [70].

Najważniejszy etap pracy rozpoczynał się z chwilą, gdy złodzieje dotarli już do skarbcza i przystępowali do rozbicia kasy. Pomimo postępu w technice budowy sejfów podstawowym narzędziem kasiarzy nadal pozostawał tzw. rak.

„Jest to rodzaj dużego noża typu noży do rozcinania pudełek z sardynkami, konserwami itp. – tłumaczono w podręczniku *Służba śledcza*. – Rzecz naturalna, że nóż taki

wykonany jest z najlepszej stali i przez dodanie długiego ramienia, jako dźwigni, prucie rakiem nawet grubych stalowych ścian kas nie przedstawia dla człowieka silnego, a tym bardziej kilku osób, żadnych trudności. Aby zacząć prucie pancernej blachy, należy wprzód zrobić otwór odpowiedniej wielkości, który by umożliwił włożenie raka. Otwór taki robi się specjalnym świdrem, [...] z kolei otwór ten powiększa się przy pomocy borów większych, a następnie przy pomocy specjalnego ostro zakończonego łomu, który blachę pancerną rozrywa, nadając otworowi formę podłużną. Do tak przygotowanego otworu wprowadza się raka i dalej już łatwo tnie się płyty stalowe”[71].

Gdy jednak uznano, że rozprucie kasy za pomocą raków może być zbyt czasochłonne, używano palników przetapiających ściany sejfu. Oczywiście było to możliwe wyłącznie po wcześniejszym dokładnym rozpoznaniu warunków terenowych i rodzaju kasy.

„Tak zwani kasiarze współcześnie używają często do prucia kas płomienia o wysokiej temperaturze, który daje połączenie acetylenu z tlenem. Temperatura takiego płomienia dochodzi do 600°C i topi z łatwością najgrubsze ściany pancernej kasy ogniotrwałej. Sposób ten jednak wymaga znacznych przygotowań i przedstawia trudności polegające na zdobyciu balonów z tlenem i acetylenem, które są rejestrowane, oraz na transporcie tych ciężkich balonów na miejsce”[72].

Nauka zawodu była długa i żmudna, nie zrażało to jednak młodych adeptów złodziejskiego rzemiosła. Odpowiadając na „społeczne zapotrzebowanie”, niejaki Stefan Szewczyk z Dąbrowy założył w 1935 roku Akademię Kasiarzy kształcąca przyszłych specjalistów od prucia sejfów. Ciekawym dokumentem był regulamin uczelni, któ-

71 – Za: P. Rzewuski, *op. cit.*

72 – Za: *ibidem.*

rej słuchacze zobowiązywali się do przekazywania części swoich dochodów na potrzeby placówki, w zamian za opiekę w przypadku pobytu w więzieniu. W godzinach popołudniowych w domu Szewczyka odbywały się zajęcia, podczas których zapoznawano „studentów” z metodami otwierania różnych modeli sejfów. W sali ćwiczeń „rozstawiano butle z tlenem i acetylenem, stalowe narzędzia z hartowanej szwedzkiej stali, rękawice gumowe, węże, przyrządy do robienia odcisków kluczy, wytrychy, modele zamków i wiele jeszcze innych potrzebnych do opanowania zawodu kasiarza narzędzi” [73].

Podczas zajęć uczono również fachowego wykonywania podkopów oraz zapoznawano słuchaczy ze sposobami wykuwania dziur w ścianach i sufitach. Szewczyk nie zapominał też o teorii złodziejskiego procederu i organizował lekcje z zakresu fizyki, chemii czy daktyloskopii.

Akademia nie działała jednak zbyt długo, bo policja zainteresowała się dziwnymi spotkaniami w domu „rektora” i aresztowała go. Podczas rewizji znaleziono dziennik ocen, w którym figurowały nazwiska słuchaczy łącznie ze stopniami z poszczególnych przedmiotów. W efekcie niemal wszyscy „studenci” rozpoczęli ferie w ośrodkach zamkniętych.

ZŁOTA EPOKA

„Rok 1927, który kasiarze rozpoczęli rozbiciem kasy ogniotrwałej w »Orbisie« – podawał Stanisław Milewski – zamknął się dla nich – według danych opublikowanych w jednym z pierwszych numerów »Gazety Warszawskiej« z 1928 roku – bilansem 68 rozprutych kas. Nie był to bynajmniej jakiś rekord, bo z policyjnych źródeł wynika, że »przeciętna liczba włamań do kas pancernych na terenie

73 – Za: M. Piątkowska, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce. Grandesy, kosiarze, brylanty*, Warszawa 2012, s. 34.

Polski w latach 1926–1929 wynosiła 271, zaś w latach 1935–1938 osiągnęła 483 włamania rocznie» [74].

Nie wszystkie udane włamania przynosiły przestępcom zyski. Czasami zawodziło rozpoznanie, innym razem o niepowodzeniu decydował przypadek. Złodzieje, którzy rozbili pewną kasę gminną na Kresach, znaleźli w niej tylko 35 złotych, gdyż z niewiadomych powodów wypłacono urzędnikom wynagrodzenie dzień wcześniej niż zwykle. O dużym pechu mógł mówić rzeszowski włamywacz o nazwisku Rajchaman, który po rozpruciu sejfu w eleganckiej drogerii znalazł tam tylko... dwa złote. Ale zdarzali się jeszcze więksi pechowcy – w przestępczym świątku opowiadano historię o nieszczęśnikach, którzy po kilku godzinach prucia kasy znaleźli w niej jedynie 40 groszy.

Do najbardziej spektakularnych włamań dochodziło przede wszystkim w dużych miastach, jednak na prowincji także można było zdobyć godny łup. Złodzieje, którzy za pomocą podkopu przedostali się do skarbcza Miejskiej Kasy Oszczędności w Krośnie, zrabowali tam ponad 47 tysięcy złotych. Na obfitość łupów nie mogli także narzekać autorzy najśłynniejszego włamania w dziejach II Rzeczypospolitej, którzy latem 1933 roku rozpruli kasę w kancelarii na Zamku Królewskim w Warszawie i z biura znajdującego się pod bokiem prezydenta Mościckiego wynieśli ponad 22 tysiące złotych, papiery wartościowe oraz biżuterię.

Inicjatorem tego skoku był „pochodzący z rodziny złodziejskiej” woźny zamkowy Henryk Jasiński, który dobrał sobie do współpracy dwóch doświadczonych kasiarzy: Józefa Misiaka i Wincentego Strychalskiego. W dniu włamania złodzieje w strojach robotników budowlanych (towarzyszył im jeszcze szwagier woźnego Piotr Piskorski) dostali się do Zamku, gdzie korzystając z zamieszania spowodowanego przebudową gmachu, bez przeszkód

rozpruli kasę i uciekli z łupem.

Władze uznały tę kradzież za największą kompromitację sił porządkowych w dziejach II Rzeczypospolitej, w związku z czym cała stołeczna policja została poderwana do akcji. Szybko ustalono, że woźny Jasiński „spotyka się na tyłach cmentarza Powązkowskiego z włamywaczami” i niebawem aresztowano całą przestępczą czwórkę. Zapadły surowe wyroki: kasiarze dostali po sześć lat więzienia, woźny – cztery, a jego szwagier – rok. Nigdy jednak nie wyjaśniono, co stało się ze zrabowanymi na Zamku pieniędzmi.

Prucie kas stawało się tak popularnym procederem, że prasa często donosiła o kilku włamaniach naraz. Na pierwszej stronie „Expressu Wieczornego Ilustrowanego” z lipca 1931 roku opisano nieudaną akcję łódzkich włamywaczy, a relacja ta sąsiadowała z informacją o „nowym występie kasiarzy w Warszawie”.

„Dziś około godziny 6.30 rano nocny dozorca domu przy ulicy Piotrkowskiej 58, Kozłowski, usłyszał podejrzane szmery rozlegające się z kantoru wymiany walut Samuela Weinberga znajdującego się na parterze tej kamienicy. [...] Przed dom przy ulicy Piotrkowskiej 58 po kilkunastu minutach nadszedł oddział policyjny. Policjanci stwierdzili, że drzwi wejściowe kantoru: frontowe i od podwórza są zamknięte. Ze względu jednak na to, że w kantorze w dalszym ciągu rozlegały się jakieś ciche szmery, policjanci zdecydowali się wyważyć tylne drzwi.

Gdy dostali się wreszcie do wnętrza lokalu, zastali trzech kasiarzy przy pracy. Złoczyńcy na widok luf rewolwerowych wzniesli ręce do góry.

– Poddajemy się – zawołał jeden z nich. – Trudno, nie udało się.

Jak się okazało, włamywacze zdołali już przy pomocy raka niemal całkowicie rozpruć dużą ogniotrwałą kasę, w której znajdowało się przeszło 150 tysięcy złotych, listy

wartościowe i 300 dolarów”[75].

Natomiast stołeczni policjanci dzień wcześniej ponieśli porażkę, gdyż nie potrafili zapobiec włamaniu do kantoru Stefana Górskiego przy ulicy Grójeckiej.

„Kasiarze przedostali się przez płot od ulicy do kantoru, gdzie rozpruli kasę ogniotrwałą rakiem, zabierając stamtąd przeszło 21 tysięcy złotych. Weksle i papiery wartościowe znaleziono porzucone pomiędzy pudełkami w kasie. Kasiarzom widocznie bardzo się spieszyło lub zostali spłoszeni, gdyż nie rozpruli dolnej części kasy, gdzie znajdowało się 4 tysiące złotych”[76].

Jednak nie zawsze policja łódzka radziła sobie lepiej od warszawskiej. Rok wcześniej dokonano w Łodzi jednego z najgłośniejszych włamań okresu międzywojennego – kasiarze weszli do skarbcza Banku Handlowego, rozcięli sejf palnikami i zrabowali około 300 tysięcy złotych.

Jeden z dyrektorów wrócił wieczorem do biura i nie mógł odnaleźć woźnego mającego w tym czasie dyżur. Niebawem do banku przyjechała też żona drugiego woźnego, który już dawno powinien być w domu, ale jeszcze nie wrócił z pracy. Dyrektor, chodząc po banku, zauważył, że zamki od skarbcza zostały naruszone, drzwi są zaryglowane, a ze środka dobiegają dziwne odgłosy. W tej sytuacji natychmiast wezwał policję.

Skarbiec otwarto drugim kompletem kluczy, a wewnątrz znaleziono innego z dyrektorów oraz obu woźnych uwięzionych przez kasiarzy. Śledztwo wykazało, że złodziejom pomagał goniec pracujący w tym banku już od kilku lat. I to ustalenie było właściwie jedynym sukcesem policji, gdyż po rabusiach, ich współniku i wyniesionych pieniądzech wszelki ślad zagaął...

75 – „Express Wieczorny Ilustrowany”, 21.02.1931.

76 – *Ibidem*.

STANISŁAW CICHOCKI

Doświadczeni kasiarze cieszyli się wielkim szacunkiem w środowisku, a ich nazwiska i pseudonimy wypożyczano z prawdziwą czcią. Gdy policja Wolnego Miasta Gdańska zastrzeliła jednego z największych specjalistów z tej branży, niejakiego Birnbauma, kompani zabitego na własny koszt sprowadzili jego zwłoki do Warszawy. W pogrzebie na warszawskim Bródnie wzięło udział podobno aż pięć tysięcy osób, a cała impreza przypominała uroczystości żałobne amerykańskich rodzin mafijnych. Pomimo tego rola ikony kasiarskiego fachu miała przypaść w udziale nie Birnbaumowi, lecz Stanisławowi Cichockiemu, zwanemu Szpicbródką.

O jego pochodzeniu wiadomo niewiele. Prawdopodobnie wywodził się z dawnych Kresów Rzeczypospolitej i z zawodu był fryzjerem, a karierę przestępcy rozpoczął w dalekiej Odessie. Jego mentorem miał być Wincenty Brocki, który zasłynął włamaniem do skarbcza na Jasnej Górze. Zdarzyło się to w tym samym roku, w którym ojciec Damazy z kompanami okradli cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Najwyraźniej 1909 nie był dobrym rokiem dla zakonu paulinów...

Samodzielną karierę Cichocki rozpoczął na początku XX stulecia, a już w 1904 roku był sądzony za obrabowanie banku w Moskwie. Podobno zawartość sejfów była tak bogata, że Cichocki ze współnikami zignorowali pieniądze i złoto, koncentrując się wyłącznie na brylantach.

Zasłynął również podkopem pod bank w Rostowie. Z piwnicy piekarni wynajętej po sąsiedzku on i jego kompani przekopali pod ulicą tunel, którym dostali się do skarbcza i wynieśli stamtąd ogromny łup.

Niedługo później Cichocki został aresztowany. Nie wiadomo, ile czasu spędził w rosyjskim więzieniu, ale podobno dość szybko wyszedł na wolność, bo zainteresowa-

ła się nim carska Ochra. W zamian za przedterminowe zwolnienie Cichocki miał się zająć rabowaniem przeciwników politycznych rodziny Romanowów. Jeżeli była to prawda, to zapewne przekazywał policji dokumenty przechowywane w sejfach opozycjonistów.

W Odessie przebywał ponoć jeszcze po zakończeniu I wojny światowej, nie zamierzał jednak pozostać pod władzą bolszewików i niebawem przeniósł się do Warszawy. Był już wówczas człowiekiem wyjątkowo zamożnym. Nabył willę w Świdrze, kamienicę w Warszawie, bar na Marszałkowskiej, a poza tym został współwłaścicielem kabaretu Czarny Kot i kinematografu przy ulicy Hożej. Wkroczył na warszawskie salony, co ułatwiły mu duża kultura osobista i ujmujący sposób bycia. Bardzo dbał o wygląd zewnętrzny, zawsze był nienagannie ubrany, a fryzjer codziennie pielęgnował jego słynną brodę, od której Szpicbródką wziął swój przydomek.

„Raz tylko byłem na spacerze ze Szpicbródką-Cichockim – wspominał więzień polityczny, poeta Aleksander Wat, który razem z nim siedział w więzieniu. – »Król włamywaczy« polskich, a zatem i europejskich, bo polscy włamywacze byli uważani w tym czasie za najlepszych w Europie. Potem, gdy wyszedłem z więzienia i spotkałem jakiegoś znajomego MSZ-etowca, powiedziałem mu: »Wie pan, że powinniście jednak wysłać go na jakąś dobrą placówkę, dobrego ambasadora wam mogę polecić, człowiek o absolutnie nieskazitelnych manierach, bardzo inteligentny, niezwykle ujmujący, Szpicbródką« [77].

Po przybyciu do stolicy Szpicbródką sam zgłosił się na policję i. oznajmił, że skończył już z przestępczym procederem oraz zamierza odtąd prowadzić życie praworządneho obywatela. Prosił, by „nie niepokojono go po każdym włamaniu do jakiejś kasy” i zobowiązał się do dobrowolnego przybycia „na każde wezwanie”. Funkcjona-

riusze nie uwierzyli mu jednak i mieli rację, gdyż niebawem Cichocki znów trafił na ławę oskarżonych.

Szpicbródka razem ze swoim mistrzem Brockim przygotował skok na stołeczną Kasę Przemysłowców. Zdradził ich nadawca, który sprzedał plan napadu towarzystwu ubezpieczeniowemu i policji, inkasując w zamian wysoką nagrodę. Przygotowano pułapkę na kasiarzy i aresztowano ich zaraz po tym, gdy weszli do skarbcza.

Jednak funkcjonariusze chyba za bardzo się pośpieszyli, gdyż kasiarze w chwili aresztowania nie przystąpili jeszcze do pracy i w sądzie opowiadali, że w skarbcu znaleźli się wyłącznie w celu obejrzenia go. Wprawdzie przeczyły temu narzędzia, jakie mieli przy sobie, jednak rzeczywiście sejf jeszcze nie rozpruli. Sąd nie dał wiary ich tłumaczeniu, ale wydany wyrok nie należał do najsurowszych.

„Późnym wieczorem – relacjonowano na łamach »Rzeczpospolitej« – Sąd Okręgowy przy szczelnie zapełnionej sali (a była ogromna, bo kiedyś balowa!) ogłosił wyrok skazujący wszystkich oskarżonych na 4 lata więzienia z zaliczeniem aresztu prewencyjnego (14 miesięcy) i zasądzeniem od nich solidarnie powództwa cywilnego na rzecz Kasy Przemysłowców w sumie 5 tys. marek i kosztów procesu”[78].

Za kratami Szpicbródka nie tracił czasu, tylko opracowywał plany nowych rabunków. Na współwięźniach wywierał znakomite wrażenie, powszechnie uważano go za dżentelmena włamywacza. Aleksander Wat nie potrafił się oprzeć nie tylko jego manierom, ale także urokowi:

„[...] piękny mężczyzna, lat około czterdziestu, mówił ślicznie po francusku, pięknie po włosku i chyba bardzo dobrze po angielsku. [...] Głos miły, wyjątkowo bogaty w timbre, o bardzo subtelnym sposobie opowiadania”[79].

78 – Za: S. Milewski, *op. cit.*, s. 97-98.

79 – Za: A. Wat, *op. cit.*, s. 219-220.

Nie wiadomo, czy do dalszych rabunków zmuszała go sytuacja finansowa (prowadził bardzo wystawne życie), czy też nie potrafił wycofać się z branży. Gdy wyszedł na wolność, to już jesienią 1926 roku przygotował kolejny skok, którego rozmach wprowadził policję w osłupienie. Co więcej, Cichockiemu nigdy nie udowodniono udziału w nim, nie znaleziono też zagrabionych pieniędzy.

Łupem padła wtedy zawartość skarbcza Banku Dyskontowego przy ulicy Fredry w Warszawie, a złodzieje dostali się tam 80-metrowym podkopem z sutereny domu przy ulicy Niecałej. Tunel był wykonany w sposób profesjonalny: zaopatrzono go w sztolnie i wózki do wywożenia urobku. Największym zaskoczeniem było jednak to, że rabusie przedostali się do skarbcza przez podłogę zalaną betonem.

„Przez otwór w podłodze można było wejść do jamy znajdującej się pod betonową, jednometrowej (!) grubości podłogą skarbcza. W jamie leżał metrowy blok cementu wycięty z podłogi, obok cztery lewary samochodowe do podnoszenia ciężarów oraz sześć rurek metalowych służących do przebijania muru. Podłogę betonową skarbcza podstemplowano podkładami kolejowymi, jak widać w tym celu, żeby nie zapadła się wskutek wybicia tak dużego otworu. W jednej ze ścian piwnicy natrafiliśmy na wejście do tunelu o wymiarach 75 na 75 centymetrów. Tunel był oszalowany deskami jak korytarz kopalni” [80].

Policja dołożyła wszelkich starań, aby odnaleźć sprawców, okazało się to jednak niemożliwe. Lokal (przy Niecałej?) został wynajęty na magazyn zabawek, ale mężczyzna firmujący tę transakcję zniknął, a jego nazwisko i rysopis nic nikomu nie mówiły. Wprawdzie znaleziono stolarza, który wykonywał skrzynie, w których wywożono ziemię, ale w tym wypadku również nie udało się ustalić zleceniodawcy. Zdesperowani funkcjonariusze przesia-

li nawet ziemię pozostawioną przez złoczyńców – nic jednak nie znaleźli.

Policję pocieszało tylko to, że łupem rabusiów padły wyłącznie depozyty przechowywane w skarbcu – nie zdołali oni bowiem się dostać do głównego sejfów, w którym spoczywał aż milion dolarów (odpowiednik dzisiejszych 15 milionów). Powodem tego niepowodzenia była awaria wentylacji, przez którą włamywacze nie mogli przepalić palnikiem grubej stalowej płyty, nie narażając się przy tym na uduszenie...

ZAKŁADY GRAFICZNE

Szpicbródce nic wprawdzie nie udowodniono, jednak cały czas pozostawał pod obserwacją, przez co nie mógł prowadzić normalnego życia. W tej sytuacji, chcąc przygotować nowe włamanie, musiał uciekać się do podstępów. Miał też świadomość, że w każdej chwili może trafić do aresztu.

„[...] obserwacja mówi, że zamierza wyjechać z Warszawy – relacjonował szef warszawskiej »brygady antykradzieżowej« Henryk Lange z warszawskiego Urzędu Śledczego. – Delegowani wywiadowcy idą w ślad za Szpicbródką na Dworzec Wileński. Myli ich nieco okoliczność, że słynny kasiarz przed udaniem się na dworzec wstępuje do sklepu i kupuje piękny bukiet kwiatów. Czy »Szpic« wyjedzie, czy też... Pociąg stoi przy peronie. Szpicbródką zatrzymuje się przed oknem wagonu, zamienia kilka słów ze znajdującą się wewnątrz wagonu damą. Oboje uśmiechają się. Szpicbródką wręcza pani bukiet, kłania się jej, odchodzi. A więc fałszywy alarm. Szpicbródką po prostu żegnał na dworcu jedną ze swych pięknych znajomych, a powodzenie wśród kobiet miał niemałe. Pociąg rusza i nagle Szpicbródka zaczyna biec, wskakuje na stopień ostatniego wagonu, odjeżdża. Wywiadowcy nie chcą dekonspi-

rować się otwartym pościgiem, zresztą jest już za późno. Pociąg odjechał. Szpicbródka zniknął jak kamfora, prawdopodobnie wysiadł na najbliższej stacji. Udało się jedynie odnaleźć panią, której wręczył bukiet. Pani ta wcale go nie знаła. Podszedł do okna wagonu z bukietem w rękę i powiedział: »Pociąg uwożący moją znajomą, której miałem wręczyć ten bukiet, już odszedł. Wobec tego może pani zgodzi się przyjąć kwiaty od nieznanego...« [81].

Policjanci nie bez powodu deptali Cichockiemu po piętach, po Warszawie krążyła bowiem plotka, że rozpoczął on przygotowania do nowego dużego włamania. Sprawdzano każdy trop. Wreszcie ustalono (zapewne ktoś doniósł), że celem miały być Zakłady Graficzne w pobliżu placu Starynkiewicza.

Policja rozpoczęła obserwację okolicy i już wkrótce jej uwagę zwróciło to, że w bezpośredniej bliskości zakładów wynajęto niewielki ogrodzony domek. Wprawdzie powstał tam warsztat wytwarzający koszyki z wikliny, ale przy bliższej obserwacji stwierdzono, że zajmujący się tym osobnik jest niedawno zwolnionym z więzienia recydywistą. Inna sprawa, że podczas odbywania kary rzeczywiście nauczył się on wyplatać koszyki...

„»Kierownik placówki koszykarskiej« – wspominał Lange – miał powierzone zadanie »świecy«, bez pośpiechu wyplatał koszyki i dawał baczenie na wszystko, co się dzieje dookoła. Dla ułatwienia obserwacji osadził jeszcze dodatkową »świecę« w postaci przekupki, która siedziała przed furtką na ulicy i sprzedawała łakocie» [82].

Policyjna obserwacja przynosiła dalsze efekty. Ustalono, że do zakładu trafiają również duże partie gotowych już koszy, które następnie po kilka sztuk wywożono na furmankach. Podejrzewano, że w ten sposób kasiarze po-

81 – Za: *ibidem*, s. 100.

82 – Za: R. Dzieszyński, *Szpicbródka i inni. Historie świata przestępczego*, Warszawa 1994, s. 131.

zbywają się ziemi z podkopu.

Jak się później okazało, miał on około 60 metrów długości, a na jego budowę Szpicbródka nie żałował pieniędzy. Pracującym na dwie zmiany kopaczom płać dniówki w wysokości 300 złotych (odpowiednik ówczesnej miesięcznej pensji). Organizacja pracy mogła wzbudzać podziw – na posesję dostarczono butle z tlenem i maski dla pracujących pod ziemią, a także instalację elektryczną i żarówki. Najwyraźniej w tunelu zamierzano zamontować oświetlenie.

„Znaliśmy na pamięć wszystkich uczestników podkopu – wspominał Lange. – Nie tylko koszykarza, ale i czterech »górników« podkopu oraz innych jeszcze złodziejasków spełniających funkcje pomocnicze. Co ważniejsze, udało się nam rozpoznać »nadzorcę« roboty. Był to ptaszek nie lada, od dawna poszukiwany przez policję. Nazywał się Bielicki. Podczas ubiegłej wojny służył w żandarmerii polowej, następnie przerzucił się na bandytyzm. Był to mężczyzna o budowie atletycznej, o niezwykłej sile fizycznej i odwadze. Znalazł się już w rękach policji, podczas transportu jednak zerwał kajdanki, zabił konwojenta i zbiegł. Przez dłuższy czas wszelkie poszukiwania nie dały rezultatu. Niebezpieczny przestępca ukrywał się umiejętnie. I oto teraz znów go mamy. I to przy jakiej robocie! Ale Bielicki nie mógł być organizatorem tak wielkiej imprezy. Nie miał ani dostatecznych kwalifikacji, ani środków materialnych. Był po prostu wykonawcą, »dyrektorem« działającym z czyjegoś polecenia”[83].

Śledczy mieli pewność, że za całą sprawą stoi Szpicbródka, i tylko czekali na jego wizytę na terenie posesji. Atmosfera robiła się coraz bardziej nerwowa, więc gdy Cichocki wreszcie się pojawił, popełniono fatalny błąd, który zaważył na przebiegu późniejszego procesu. Nie czekali, aż Szpicbródka wejdzie do podkopu, tylko niezwłocz-

nie przystąpiono do akcji. W chwili aresztowania Bielicki wyciągnął pistolet, jeden z policjantów okazał się jednak szybszy i bandyta został śmiertelnie postrzelony.

Szajka stanęła przed sądem, a jej proces wzbudzał wielkie zainteresowanie. Gazety prześcigały się w sensacyjnych tytułach, wszyscy uważali, że nieuchwytny król kasiarzy powędruje do więzienia.

„Podkomendni Szpicbródki – relacjonował jeden z reporterów – wynajęci do pracy w podkopie złodziejasz-kowie nie odznaczyli się niczym szczególnym. Powszechną uwagę skupiał na sobie pan siedzący w samym rogu ławy oskarżonych. Można by go wziąć za wziętego lekarza, solidnego handlowca – bo ja wiem – może profesora? Na zapytanie sądu o zawód odpowiedział z powagą: – Złodziej-włamywacz. – Po czym zaprzeczył swego związku z kradzieżą. Wyjaśnień nie składał, jedynie w ostatnim słowie powiedział: Jestem niewinny i to wszystko” [84].

Cichocki utrzymywał, że na posesji znalazł się przypadkowo i taką linię obrony przyjął również jego adwokat Jerzy Parlenda. Prawnik powiedział wprost, że ma za zadanie bronić złodzieja, ale w tym przypadku policja i prokuratura nie udowodniły jego winy. Sąd był jednak innego zdania i wszystkim oskarżonym wymierzył po pięć lat więzienia.

Cichocki i jego prawnik nie rezygnowali – odwołali się od wyroku i we wrześniu 1928 roku Szpicbródka został uniewinniony z braku dowodów. Niebawem też wyszedł na wolność.

„Zresztą rzadko zdarzało się – konstatował Lange – żeby Szpicbródka rzeczywiście całkowicie »wpaść«. Wynikało to z systemu jego pracy. [Prawie] nigdy osobiście

nie znajdował się na miejscu przestępstwa. [...] Wyrećzał się fachowcami, występując jako menadżer i kapi-

talista”[85].

NAJWIĘKSZY WYSTĘP KRÓLA KASJARZY

Po tym wyroku słuch o Cichockim zaginął na kilka lat, podejrzewano nawet, że wycofał się z branży. Prawdopodobnie jednak w tym czasie kasiarz był na gościnnych występach, udzielając się jako konsultant. Ponoć to według jego projektów okradano banki w Czechosłowacji, Austrii i na Łotwie, nic jednak bliższego na ten temat nie wiadomo. Jednocześnie planował duży skok krajowy, który miał być jego pożegnaniem z zawodem. Z tego też powodu zdecydował się na akcję mającą zapewnić mu luksusowe życie na wiele lat.

Tym razem Szpicbródka za cel obrał skarbiec Banku Polskiego w Częstochowie, gdzie czasami znajdowało się nawet 20–30 milionów złotych! Ze względu na skalę przedsięwzięcia i poziom ochrony placówki przygotowania trwały prawie rok i były wyjątkowo pracochłonne.

„Złoczyńcy szykowali włamanie do skarbcza z całą precyzją – informował »Tajny Detektyw«. – [...] Mieszkanie, z którego robiono wyłom w murze, odkupili włamywacze przez podstawioną osobę w marcu 1929 roku za 5 tysięcy złotych. Początkowo kupili oni mieszkanie przy ulicy Panny Marii 42, planując zwykłe włamanie do banku przez drzwi. Ponieważ jeden ze współników wycofał się z bandy, włamywacze obawiali się »wsypy« i dlatego wynajęli drugie mieszkanie przylegające do banku”[86].

Koszty przygotowania akcji były ogromne. Cichockiemu i jego współnikom kończyły się pieniądze, toteż w celu zdobycia środków na dalszą działalność dokonali oni

85 – Za: R. Dzieszyński, *op. cit.*, s. 132.

86 – *Tajemnica koperty „Kr. N. Wog”*, „Tajny Detektyw”, 33/1932.

napadu na sklep jubilerski w Warszawie. Prasa określiła włamanie mianem „bezczelnej kradzieży na sposób zagraniczny”, bo i rzeczywiście tupet przestępców nie miał granic. W biały dzień, w niedzielę weszli do sklepu przy ulicy Nowy Świat, czyli w samym centrum Warszawy.

„[...] zajrzawszy do magazynu, [...] zauważył w sklepie gęsty dym i brak kratki na drzwiach wejściowych. Dozorca przekonał się, że drzwi są otwarte. Początkowo przypuszczał, że w sklepie wybuchł pożar, następnie zorientował się, że musieli tam być złodzieje, i momentalnie pobiegł po policjanta.

W krótkim czasie okazało się, że w magazynie dokonano niezwykle śmiałej kradzieży, której sprawcą musiała być dobrze zorganizowana szajka [...] kasiarzy. Dym w sklepie powstał podczas rozpruwania frontu kasy specjalnym aparatem przy pomocy acetyleny. [...] Okazało się, że kasiarze pracowali w rękawiczkach, gdyż brak jakichkolwiek śladów palców. Łupem włamywaczy stało się 10 tysięcy złotych gotówką oraz bardzo cenna biżuteria złota i platynowa z drogocennymi kamieniami. Jubiler [...] Jagodziński już po raz drugi pada ofiarą zuchwałych złodziei. Przed kilku laty, niespełna rok po otwarciu magazynu na Nowym Świecie również okradziono Jagodzińskiego na sumę 50 tysięcy złotych. Ogólnie wartość skradzionej wczoraj biżuterii i gotówki dochodzi do 200 tysięcy złotych”[87].

Na wieść o rabunku nieszczęsny jubiler „omal nie zemdlał”, a gdy wreszcie zrozumiał, że został zrujnowany, postanowił popełnić samobójstwo. Kilka dni później rzucił się na bruk z okna na czwartym piętrze i poniósł śmierć na miejscu...

Sukces włamywaczy stał się jednak przyczyną ich późniejszej klęski. Policja wdrożyła energiczne śledztwo, rewidowano przestępcze kryjówki, przeszukano lokale

paserów. W jednym z takich mieszkań, usytuowanym przy ulicy Pańskiej i należącym do niejakej Kazimiery Kozłowskiej, zatrzymano kilku kasiarzy, a policjanci nie mogli wprost uwierzyć, gdy wśród nich rozpoznali Szpicbródkę. Aresztowano też jego najbliższego współpracownika Mariana Brzezińskiego, będącego kochankiem właścicielki mieszkania.

„Okoliczność ta mocno zastanowiła policję – relacjonowano na łamach »Tajnego Detektywa«. – Szpicbródkę poddano dokładnej rewizji, która dała sensacyjny wynik; znaleziono przy nim zalakowaną kopertę z napisem: »Kr. N. Wog«. Gdy otworzono kopertę, znaleziono w niej mosiężną blaszkę w kształcie ósemki i kilka arkuszy papieru z rysunkami urządzenia sygnalizacyjnego z napisami w różnych miejscach. Jeden z rysunków przypominał kształtem blaszkę znajdującą się w kopercie. W szufladzie znaleziono pilniki, piłki, linijkę i inne narzędzia, którymi Szpicbródka piłował tę blaszkę” [88].

Równie interesujące okazały się efekty rewizji Brzezińskiego. Ten kasiarz także miał przy sobie plany nieznanych obiektów z zaznaczonymi urządzeniami alarmowymi oraz rachunki za ładowanie butli tlenem i acetylenem. To wszystko wystarczyło, aby śledczych postawić w stan najwyższej gotowości.

Analiza znalezionych rysunków sugerowała, że chodzi o instalację alarmową jednego z oddziałów Banku Polskiego. Dalsze śledztwo wykazało ponad wszelką wątpliwość, że celem kasiarzy miała być filia w Częstochowie.

„[...] rysunki odebrane od Cichockiego przedstawiały schematy instalacji alarmowych z wprowadzonymi do nich różnymi zmianami połączeń oraz szkice przełączników służących do unicestwienia ostrzegawczego działania instalacji, różne ich części składowe i sposoby ich wyłączenia. Blaszka mosiężna była częścią składową jednego

z przełączników i wetknięcie jej w innym miejscu unieruchamiało całą aparaturę alarmową” [89].

Podobną blaszką posługiwał się w filmie *Vabank* kasiarz Henryk Kwinto. Drobiazg ten pozostawiony na miejscu przestępstwa, a dzięki sprytnej akcji włamywaczy noszący odciski palców dyrektora banku Kramera, stał się jednym z dowodów przeciwko Kramerowi i ostatecznie zaprowadził go do więzienia...

Szpicbródka był profesjonalistą, toteż zawsze dokładnie rozpoznawał teren. Podstawą sukcesu miało być skuteczne wyłączenie instalacji alarmowej i dlatego król kasiarzy zaprosił do współpracy specjalistę z tej właśnie branży.

„Dla ułatwienia sobie zadania kasiarze weszli w porozumienie z monterem Banku Polskiego Władysławem Dąbrowskim, który miał w czasie włamania unieszkodliwić instalację alarmową. W firmie, gdzie Bank Polski zakupił tę instalację alarmową, Dąbrowski zakupił taką samą instalację, zdobywając w ten sposób cały schemat. [...] Na zakupionej aparaturze czynione były eksperymenty, po których znaleziono sposób na jej unieszkodliwienie. Teraz Dąbrowski miał dostać się do centrali sygnalizacyjnej, aby przygotować instalację do zepsucia. W tym celu dwóch członków bandy udało się do banku i przecięło drut. Powstał defekt, który spowodował wezwanie Dąbrowskiego w celu dokonania naprawy. Zamiast poprawić aparaturę, Dąbrowski całkowicie ją zdemontował” [90].

Wszystko było już przygotowane, pozostawało tylko wybić otwór w ścianie oddzielającej mieszkanie od banku, a sejfy miał osobiście rozpruć Szpicbródka. Jak się później okazało, wyznaczonego dnia w skarbcu było znacznie mniej pieniędzy niż zwykle, ale kwota sześciu milionów złotych zapewne również zadowoliliby przestępców.

89 – *Ibidem*.

90 – *Ibidem*.

„Członkowie bandy nieustannie podróżowali i przeczucali się z miejsca na miejsce i z miasta do miasta, ażeby do czasu dokonania włamania nie wpaść w oczy policji. Wspólnicy porozumiewali się przy pomocy szyfrowanych depeesz”[91].

Proces kasiarzy miał być wielką sensacją, a prokuratura i policja przygotowywały się do niego niezwykle starannie. Jednak sprawa musiała zostać odroczone, gdyż Szpicbródka okazał się całkiem zdolnym uciekinierem. Pewnego dnia uznał, że atmosfera więzienia przestała mu służyć, i zniknął z aresztu bez pożegnania.

„Gdy cała banda znalazła się już pod kluczem – emocjonował się reporter »Tajnego Detektywa« – zaszedł sensacyjny wypadek, który znów wykazał spryt Szpicbródki. Oto w więzieniu zdołał on zdobyć sobie przebranie i niezatrzymywany przez nikogo spokojnie je opuścić. Naza jutrz po ucieczce z więzienia dokonał włamania do Spółdzielczego Banku Kredytowego w Pabianicach. Puszczono w ruch cały aparat śledczy, lecz zbiegłego kasiarza nie udało się schwytać. Minął długi czas, zanim specjalnie przydzieleni wywiadowcy tropiący zbiegłego więźnia, zdołali ująć »króla kasiarzy« [...], co było niewątpliwym sukcesem warszawskiego urzędu śledczego [...]”[92].

SŁYNNY PROCES

Wizja lokalna w Częstochowie wykazała, że włamanie faktycznie zostało udaremnione w ostatniej chwili. System alarmowy już nie działał, a oględziny mieszkania użytkowanego przez gang Szpicbródki wskazywały na to, że wszystkie przygotowania zostały ukończone. Pod tapetą odnaleziono zamaskowany wyłom w ścianie, a gdy wezwany murarz uderzył w to miejsce drągiem, odpadł

91 - *Ibidem*.

92 - *Ibidem*.

stamtąd kawał muru, ukazując wnętrze bankowego archiwum, które bezpośrednio przylegało do skarbcza. W lokalu znaleziono również skrzynie z gruzem, butle z tlenem, rękawice i ubrania robocze. Przy okazji okazało się, że za wynajęcie tego mieszkania bandyci zapłacili z góry horrendalną kwotę dziesięciu tysięcy złotych...

Nie wiadomo jednak, do czego Szpicbródce była potrzebna słynna blaszka w kształcie ósemki, skoro system alarmowy banku został już wyłączony. Czyżby kasiarz nie miał zaufania do umiejętności Dąbrowskiego? A może była to opcja rezerwowa, na wypadek gdyby obsługa placówki zauważyła przedwcześnie awarię systemu ostrzegawczego?

Na ławie oskarżonych zasiadło łącznie 11 osób. Wśród nich był inny warszawski kasiarz Adam Stempel, przed laty prowadzący razem z Cichockim kabaret Czarny Kot. Jednak niemal całą uwagę publiczności przykuwał główny oskarżony, który w ostatnich miesiącach bardzo się zmienił.

„Zgolił sobie swą słynną bródkę – zauważył sprawozdawca »Kuriera Polskiego« – i wygląda obecnie zupełnie inaczej niż na sprawie o podkop pod Zakłady Graficzne. [...] Jest to łysawy osobnik z orlim nosem i mocno wysuniętym podbródkiem” [93].

Na sprawozdawcy „Tajnego Detektywa” Cichocki zrobił znacznie lepsze wrażenie. Reporter uznał go za przykład włamywacza z wyższych sfer, który po zakończeniu przestępczego dnia pracy znakomicie odnajduje się w eleganckim świecie.

„[...] jest człowiekiem o zupełnie gładkich manierach i prezencji, absolutnie nieprzypominającej przedstawiciela świata przestępczego, a w dodatku tak niebezpiecznego. Gdy jest na wolności, umie znaleźć się w najlepszym towarzystwie, niczym nie zdradzając swej haniebnego po-

zycji. Znana jest historia zażyłych stosunków Szpicbródki z pewnym posłem, który przez długi czas znajomości z kasiarzem uważał go za porządnego handlowca. Podobną przygodę z Cichockim miał znany w Warszawie dyrektor teatru rewiewego”[94].

Większość członków gangu nie przyznawała się do winy, twierdząc, że pozostałych oskarżonych poznali dopiero w sądzie. Oczywiście żaden z nich nic nie wiedział o planach rabunku, nikt też nie znał adresu częstochowskiego mieszkania. Kilku oskarżonych przyznało się natomiast do napadu na sklep jubilera na Nowym Świecie, mając nadzieję, że to zadowoli oskarżycieli. Wszystkich zaskoczył jednak Szpicbródka, który przyjął nietypową linię obrony. Wziął całą winę na siebie, przyznając, że faktycznie przygotowywał włamanie, ale w ostatniej chwili z niego zrezygnował. Przy okazji dość oryginalnie motywował swoją decyzję.

„To prawda, że zamierzałem okraść bank w Częstochowie – oświadczył w drugim dniu procesu. – I to nie raz, ale dwukrotnie. Za każdym razem odstępowałem od tego zamiaru. Zdaję sobie bowiem sprawę, że policja szukałaby nas po całym kraju, rzucając do sprawy wszystkich najlepszych agentów. Nie daliby nam spokoju ani na chwilę. Ale nawet nie to mnie powstrzymywało, [lecz] po prostu myśl, że mielibyśmy ogromne kłopoty z wydaniem zrabowanych pieniędzy. Wiem bowiem, że w sejfie, który chciałem rozpruć, znajdowały się banknoty dopiero co wydrukowane w wytwórni papierów wartościowych, posiadające kolejne numery i serie, które władze, po zrabowaniu ich przez nas, mogły z miejsca unieważnić. A wtedy cała nasza praca poszłaby na marne”[95].

Cichocki pomniejszał też swoją pozycję w świecie przestępczym, twierdząc, że to prasa wykreowała go na

94 – *Ich ostatni sygnał...*, „Tajny Detektyw”, 37/1932.

95 – Za: R. Dzieszyński, *op. cit.*, s. 138.

króla kasiarzy, podczas gdy on zna osobiście znacznie lepszych specjalistów w tej branży. Dodawał, że z natury jest „skromnym człowiekiem” i nie lubi rozgłosu. W pewnym sensie potwierdzał to Henryk Lange, który zarzucał kasiarzowi, że z rozmysłem wykreował taki wizerunek.

„Podczas wytężonej pracy w postępowaniu osaczenia przestępcy, którego inteligencja mogła zaimponować, zadawałem sobie niejednokrotnie pytanie, kim był »Szpic« w rzeczywistości. Z jego różnych powiedzeń, z jego zachowania, sposobu bycia, choćby nawet podczas przesłuchań w Urzędzie Śledczym, doszedłem do wniosku, iż »Szpic« stworzył wokół własnej osoby jakieś wyobrażenie wielkiego przestępcy, dżentelmena włamywacza, bohatera własnej powieści kryminalnej, którą realizował w życiu”[96].

Cichocki konsekwentnie trzymał się swojej linii obrony i w ostatnim słowie stwierdził, że jest niewinny, gdyż „swoim wycofaniem się uniemożliwił robotę”. Podkreślił jednak, że „nie zrobił tego z patriotyzmu, jak to ironicznie mówił pan prokurator, ale dlatego, że obawiał się policji, która przede wszystkim jego by ścigała”. Poprosił też „nie o litość, ale o sprawiedliwość”.

Sąd miał jednak inną wizję całej sprawy, a poza tym na kasiarzu ciążyły jeszcze zarzuty ucieczki z więzienia i obrabowania banku w Pabianicach. Cichockiego skazano na sześć lat więzienia, przy czym w wyniku apelacji kara została zmniejszona do lat czterech.

KONIEC ŚWIATA KASIARZY

Szpicbródka wyszedł na wolność w kwietniu 1936 roku, a kilkanaście miesięcy później ponownie trafił na salę sądową. Jednak tym razem był tylko świadkiem w

procesie przeciwko swojemu byłemu współnikowi Marianowi Brzezińskiemu. Kasiarza oskarżono o to, że na warszawskim Targówku, podczas przyjęcia u kochanki jednego z przestępczych bossów, popełnił podwójne morderstwo w ramach złodziejskich porachunków. Faktycznie padły tam strzały, ale śmiertelnie ranni włamywacze nie chcieli ujawnić policji, kto był sprawcą zbrodni. Przestępczemu kodeksowi podporządkował się również Cichocki, zeznając, że w lokalu panował gwar, głośno też rozbrzmiewała muzyka i nie słyszał żadnych strzałów...

Niebawem miał zresztą znacznie poważniejsze kłopoty, gdyż nie powiodło mu się włamanie do skarbca banku PKO w Łodzi. Tradycyjnie próbował dostać się tam za pomocą podkopu, jednak znowu aresztowano go tuż przed rozpoczęciem właściwej akcji. Tym razem skazano go na cztery lata więzienia, a po zakończeniu odbywania kary miał trafić do „domu dla niepoprawnych przestępców” w Koronowie.

Po wybuchu II wojny światowej zwolniono go z więzienia w Białymstoku, a po klęsce wrześniowej znalazł się na ziemiach okupowanych przez Sowieców. Brakuje informacji o jego losach w tamtym okresie, wiadomo tylko, że po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej znalazł się przy armii Andersa. Razem z nią ewakuowano go do Iranu, a tam został podobno oddelegowany do jednego z afrykańskich obozów dla polskich uchodźców. Nie wiadomo jednak, czy dotarł na Czarny Ląd, bo jego późniejsze dzieje są całkowicie nieznane. Niewykluczone, że podzielił los tysięcy innych naszych uchodźców z „ojczyzny proletariatu” i zmarł z wyczerpania daleko od kraju. W chwili ewakuacji do Iranu miał już blisko 60 lat, a czas spędzony w więzieniach nie wpłynął pozytywnie na jego zdrowie. Nie wiadomo też, czy przebywając na terenach okupowanych przez Sowieców, nie zapoznał się z „urokami” bolszewickich łagrów.

Pozostała legenda, która do dzisiaj inspiruje filmowców, autorów książek i dziennikarzy. Znakomitym tego przykładem była świetna komedia muzyczna Janusza Rzeszewskiego i Mieczysława Jahody *Hallo, Szpicbródka*. Oczywiście film nie miał zbyt wiele wspólnego z rzeczywistą biografią kasiarza, ale ugruntował wizerunek dżentelmena włamywacza, który dla premiery kabaretu (i miłości do jednej z artystek) gotów był poświęcić plany włamania do bankowego skarbcza. Film cieszył się ogromnym powodzeniem, a Piotr Fronczewski w roli Szpicbródki przeszedł do historii polskiej kinematografii.

Na motywach biografii sławnego przestępcy oparł również scenariusz *Vabanku* Juliusz Machulski. Henryk Kwinto, z zawodu muzyk, był królem warszawskich kasiarzy, który po długim pobycie w więzieniu planował wycofać się z branży, ale chcąc zemścić się na swoim dawnym wspólniku Kramerze, powrócił na drogę przestępstwa. Znakomite kreacje Jana Machulskiego i Leonarda Pietraszaka, świetny scenariusz, doskonała muzyka i niezłe oddane realia okresu międzywojennego zapewniły filmowi ogromny sukces.

Ciekawostką natomiast jest to, że filmowy szwarcz charakter bankier Kramer miał swój pierwowzór w czasach II Rzeczypospolitej. Był nim niejaki... Stanisław Kwinto (!), którego dom bankowy w centrum Warszawy zbankrutował we wrześniu 1931 roku z powodu „kreatywnej księgowości”. Podejrzewano, że bankructwo miało na celu wyłudzenie pieniędzy klientów, ale pojawiały się też hipotezy o... zemście byłego wspólnika.

Świat kasiarzy odszedł wraz z II Rzeczpospolitą. W czasach PRL-u nie było już miejsca dla włamywaczy zdobywających ogromne sumy wyłącznie za pomocą inteligencji i sprytu. Kasiarzy zastąpili bandyci niecofający się przed użyciem broni, co potwierdzają najgłośniejsze rabunki tamtych czasów. Zresztą postęp techniczny znacz-

nie ograniczył możliwości bezkarnego obławiania się w bankowych skarbcach.

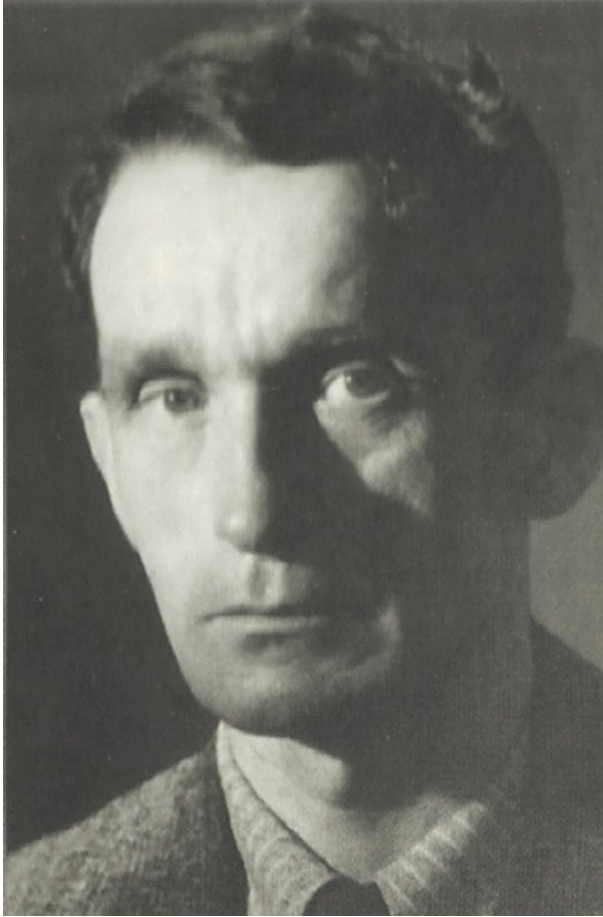
„Kasa ogniotrwała zawierająca nieraz bardzo poważne sumy ustępowała przed borem i rakiem kasiarza – podsumowywał Henryk Lange. – Ulepszona kasa pancerna musiała ulec palnikowi acetylenowemu w ręku przestępcy. Zwycięski »kasaor« stanął dopiero bezradnie wobec wprowadzenia kas betonowych. Odtąd zaczyna się cofanie świata przestępczego, który »nie nadaża« za postępem techniki zorganizowanego społeczeństwa” [97].

I rzeczywiście – bankowym rabusiom nowej epoki pozostały wyłącznie rewolwer i brak skrupułów moralnych, a dżentelmenów włamywaczy w rodzaju Szpicbródki można było zobaczyć już tylko w kinie.



Rozdział IV
Niezwykłe losy
Sergiusza Piaseckiego





„Życie Sergiusza Piaseckiego w przygranicznym Eldorado płynie w ciągłym niebezpieczeństwie i nadmiarze pieniędzy. Odważny i przedsiębiorczy rozporządza tysiącami dolarów.

Ma kochanki po obu stronach granicy, dyktuje swoje prawa. Przestaje nosić towar, zaczyna przeprowadzać ludzi. Aż wreszcie zasada się na wracających z zagranicy z dolarami i złotymi rublami”.

Melchior Wańkiewicz

Zyliśmy jak królowie – wspominał Sergiusz Piasecki przemytników z Kresów II Rzeczypospolitej. – Wódkę piliśmy szklankami. Kochały nas ładne dziewczyny. Chodziliśmy po złotym dnie. Płaciliśmy złotem, srebrem i dolarami. Płaciliśmy za wszystko: za wódkę i za muzykę. Za miłość płaciliśmy miłością, nienawiścią za nienawiść”[98].

SMUTNE DZIEJE POTOMKA POLSKIEJ SZLACHTY

Gdyby przeprowadzić konkurs na postać polskiego pisarza, którego losy były najbardziej dramatyczne i nieprawdopodobne, to właśnie Sergiusz Piasecki zająłby jedno z czołowych miejsc. Był on autorem bestsellerów tłumaczonych na wiele języków, oficerem polskiego wywiadu, współpracownikiem Armii Krajowej i wykonawcą wyroków na zdrajcach podczas okupacji niemieckiej, a jednocześnie przemytnikiem na ogromną skalę, bandytą napadającym na podróżnych, kokainistą i pensjonariuszem najcięższych więzień II Rzeczypospolitej. Pisał wyłącznie po polsku, choć nauczył się poprawnie posługiwać naszym językiem dopiero jako dojrzały człowiek.

Sergiusz był nieślubnym synem prawosławnego,

98 – Za: R. Tekieli, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*,
<http://gpcozdiennie.pl/33563-kochanek-wielkiej-niedzwiedzicy.html#.VieDnitthsk>

zrusyfikowanego szlachcica z Kresów, Michała Piaseckiego. Matki właściwie nie poznał nigdy, bo ojciec oddalił kochankę wkrótce po urodzeniu dziecka. Syna zatrzymał przy sobie, jednak ten z powodu nieprawego pochodzenia nie mógł nawet nosić nazwiska swojego ojca. Michał zaadoptował Sergiusza dopiero wtedy, gdy rosyjskie władze wydały odpowiednie zezwolenie.

„[...] ten chłopak urodził się w zaścianku Lachowicze – mówił białoruski pisarz Jazep Januszkiewicz – matka jego pochodziła z tutejszej dawnej szlachty, Kułakowiczów. Pokochał tę krainę nie dla pieniędzy, nie ze względów politycznych, ale dlatego, że tu żyli najbliżsi mu ludzie”[99].

Sergiusz dorastał na Kresach w wieloetnicznym środowisku. W jego rodzinnym domu mówiono po rosyjsku, jednak on w codziennych kontaktach z otoczeniem posługiwał się językiem białoruskim. Literaturę polską poznawał dzięki przekładom i nawet *Trylogię* Sienkiewicza po raz pierwszy przeczytał w rosyjskim tłumaczeniu. Książki były dla niego ucieczką od rzeczywistości, w której na pewno nie czuł się dobrze.

„W domu było mi bardzo źle – wspominał. – To bardzo źle polegało na tym, że byłem jedynakiem i że nie miałem legalnej matki, a kochanka ojca, kobieta piękna, którą długo i szczerze uważałem za moją matkę, poważnie i podstępnie mnie maltretowała. Pomimo dobrobytu w domu wiedziałem, co to jest głód, krzywda i podstęp, prześladowania i kłamstwa. Dlatego marzenia były mi ucieczką, a wierzchołek lipy lub strych domu bliższe niż ognisko domowe”[100].

99 – *Errata do biografii, Sergiusz Piasecki*, Telewizja Polska SA 2010.

100 – Za: E. Tomaszewicz, *Żywot człowieka uzbrojonego*, http://wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,11041706,Zywot_czlowieka_uzbrojonego.html

Jedyny kontakt ze swoją biologiczną matką zapamiętał na zawsze, bo gdy był małym chłopcem, Kławdia Kułakowicz usiłowała go wykraść.

„Nocą zbudził mnie pocałunek. W ciemności ktoś poderwał mnie z łóżeczka, wyniósł przez okno i po drabinie w dół, w otwarte pole. Kobieta, biegnąc pomiędzy bruzdami, przyciskała mnie mocno do piersi, oddech miała głęboki. Nad głową tańczyły mi gwiazdy. Musiała mnie kochać, bo czułem się bezpiecznie w jej ramionach i blisko jej mocno bijącego serca. Szlochała, a obfite łzy padały na moje policzki”[101].

Chłopak okazał się indywidualistą, co pociągało za sobą problemy w szkole. Był uparty, „nie liczył się z nikim i z niczym”, a to „narażało go na przykrość”. Nie przepadał za systematyczną nauką, wolał samotnie wałęsać się po lasach i polach. Dużo czasu poświęcał na ćwiczenia fizyczne, uwielbiał pływać w pobliskim Niemnie.

Gdy podczas I wojny światowej rodzina została ewakuowana w głąb Rosji, jego problemy adaptacyjne nasiliły się jeszcze bardziej, bo choć nie znał słowa po polsku, to dla rosyjskich uczniów gimnazjum we Włodzimierzu nad Kłazmą był „Lachem”. Z powodu licznych bójek przeniesiono go do innej szkoły, a edukację zakończył w... więzieniu. Przyczyną aresztowania był „zbrojny zamach na inspektora gimnazjum i gospodarza klasy”.

Z więzienia uciekł, a zbiegło się to w czasie z wybuchem rewolucji. Nie wrócił już do szkoły i od tej pory miał prowadzić życie awanturnika, który wolał sam wymierzać sprawiedliwość, zamiast oczekiwać jej od innych.

BIAŁORUSKI PATRIOTA

101 – Za: K. Polechoński, *Żywot człowieka uzbrojonego. Biografia, twórczość i legenda literacka Sergiusza Piaseckiego*, Warszawa-Wrocław 2000, s. 15.

Rosja, podzielona wtedy pomiędzy czerwonych i białych, a częściowo okupowana przez Niemców i Austriaków, była chyba najbardziej niebezpiecznym miejscem ówczesnego świata. Niepodległość ogłaszały kolejne narody podbite niegdyś przez reżim carski, wszędzie toczyły się walki. Brakowało jednolitej władzy centralnej, a kraj był sterroryzowany przez bandy zwykłych przestępców.

W bliżej nieznanych okolicznościach Piasecki dostał się do Moskwy, która znajdowała się wtedy pod władzą bolszewików. W odróżnieniu od wielu innych młodych ludzi nie dał się uwieść rewolucyjnej ideologii i nie potrafił zaakceptować tamtejszych porządków. Na własne oczy obserwował zagładę starego świata i krwawe narodziny sowieckiej dyktatury, a wszechobecny terror na zawsze zraził go do komunizmu.

Udało mu się opuścić Moskwę i po jakimś czasie dotrzeć do Mińska Litewskiego. Włączył się w antybolszewicką konspirację, został członkiem Białoruskiej Partii Chłopskiej „Zielony Dąb”. Po latach wspominał, że „należał do białoruskiej grupki partyzanckiej” i „był zastępcą dowódcy” oddziału. Uczestniczył w polsko-bolszewickich walkach o Mińsk, został tam nawet ranny.

Nie czuł się wówczas Polakiem – był białoruskim patriotą walczącym o niepodległość rodzinnych stron. Jednak zdążył się już przekonać, że Sowietci są znacznie większym zagrożeniem dla Białorusinów niż Polacy, dlatego też zgłosił się do polskiej armii. Trafił do szkoły podchorążych rezerwy i walczył w obronie Warszawy w 1920 roku. Następnie wszedł w skład elitarniej 1 Dywizji Litewsko-Białoruskiej, z którą dotarł do Wilna. Miasto wywarło na nim ogromne wrażenie – po latach opowiadał, że „był nim urzeczony” i nad Wilię „powracał zawsze, gdy mógł”.

Niebawem przekonał się jednak o niewdzięczności nowej ojczyzny, gdyż po demobilizacji z dnia na dzień stał się niepotrzebny i zdany na samego siebie. Podzielił los

tysięcy polskich żołnierzy, którzy najlepsze lata spędzili w okopach I wojny światowej, walcząc o niepodległość kraju. Trudno w to uwierzyć, ale odrodzona Rzeczpospolita nie zrobiła właściwie nic dla swoich obrońców. Kolejne gabinety rządowe nie potrafiły uporać się z problemem kombatantów – było wśród nich wielu młodych inteligentów, którzy na wojnę trafili po przerwaniu studiów albo jeszcze przed maturą. Na froncie stracili najlepsze lata, a po zdemobilizowaniu mieli ogromne problemy z adaptacją w nowej rzeczywistości. Nie mając wykształcenia albo wyuczonego zawodu, nie potrafili znaleźć pracy, a czasami odmawiano im zatrudnienia właśnie ze względu na ich wojenną przeszłość.

Na domiar złego kraj sparaliżowała hiperinflacja – w październiku 1923 roku ceny w sklepach wzrastały w ciągu dnia o 10, a nawet o 20 procent. Pracownikom wypłacano wynagrodzenie dwa razy dziennie i natychmiast umożliwiano im wyjście na miasto, aby mogli dokonać zakupów, zanim dojdzie do kolejnej podwyżki.

Wzrastało bezrobocie, banki nie udzielały kredytów, przedsiębiorstwa masowo bankrutowały. Czasami dochodziło do absurdalnych, tragikomicznych sytuacji.

„Padały warsztaty – wspominał Maciej Rataj – bo nie mogły zapłacić. Zdarzało się, że dostawca rządowy szedł na bęben za podatki, bo rząd nie płacił mu za dostawy. Milionowe fortuny ogłaszały plajtę, bo nie miały kilkudziesięciu tysięcy złotych na podatki” [102].

Piasecki nie zdobył żadnego zawodu, a do tego jeszcze uważano go za Białorusina, co w wieloetnicznej Rzeczypospolitej wprawdzie nie dyskwalifikowało, ale pracodawcy z reguły preferowali kandydatów dobrze mówiących po polsku. Ojciec pozostał w Mińsku Litewskim po sowieckiej stronie granicy i Sergiusz nie mógł liczyć na jego pomoc. Niedawny dzielny żołnierz Rzeczypospolitej

nigdy nie zapomniał tamtych miesięcy spędzonych w ubóstwie i poniżeniu.

„Nie mogę pogodzić się z tym, że jestem cywilem – pisał w *Żywocie człowieka rozbrojonego*. – W wojsku byłem niezbędną i ważną jednostką – jak ogniwo łańcucha, jak szyna toru kolejowego. W cywilu jestem niczym, nędznym łachmanem ludzkim, zawadzającym przechodniom. Noszę w piersi bunt. Razi mnie wszystko dookoła, rozmamłani cywile, nieporządny ruch na ulicach, ciągła nerwowość. [...] Ze zdumieniem spostrzegłem, że wszędzie dookoła toczy się nieustanna walka... Tu gorzej jak na froncie. Tu nawet rannych nie leczą, lecz zostawiają własnemu losowi”**[103]**.

Piasecki, podobnie jak tysiące innych byłych żołnierzy, nie potrafił przystosować się do życia w nowych warunkach. Nie miał pieniędzy, pracy, dachu nad głową. Żył z dnia na dzień, z coraz większą niechęcią obserwując otaczającą go rzeczywistość.

„Jestem młody, zdrowy, silny. Nie cofałem się przed wrogiem. Ale to »tam«, gdzie grały karabiny maszynowe. A tu z kim walczyć? Gdzie mój wróg? [...] Zrozumiałem przykrą dla mnie rzecz: walczyć tu mogą nie ci, którzy są silni i dobrze władają bronią, lecz ci, którzy mają pieniądze. Na froncie walczą uzbrojeni żołnierze. Tu wszyscy – nawet zupełnie bezbronni z dobrze uzbrojonymi. Na froncie akcje bojowe opracowują sztaby, tu – giełdy. Na froncie walką kierują generałowie, tu – spekulanci”**[104]**.

Porównywał swoją sytuację z losem więźniów i doszedł do wniosku, że skazanym wiedzie się lepiej niż jemu. Mają zagwarantowany nocleg pod dachem i minimum wyżywienia, podczas gdy on nie miał pewności, czy uda mu się przetrwać następny dzień.

103 – S. Piasecki, *Żywot człowieka rozbrojonego*, Łomianki 2013, s. 17.

104 – *Ibidem*, s. 17.

„Wychodzę na skraj rynku. Widzę kilku więźniów idących środkiem ulicy, z miotłami i łopatami w rękach. Obok nich człapią dozorczy z karabinami na paskach: [...] Powoli, sennie idą ulicą. Oczy mają martwe, ponure. Idą na obiad. [...] Pewnie jest im bardzo smutno i ciężko. Lecz tam dają jeść. Może mało i źle, ale dają. A ja... Czwartego dnia nic w ustach nie miałem. Tylko wczoraj trochę mleka”[105].

Piasecki demoralizował się w szybkim tempie. Ponieważ nie mógł znaleźć żadnej pracy, został złodziejem. Zaczynał od drobnych kradzieży, bo nie miał jeszcze wprawy w przestępczym rzemiośle, a przedmioty codziennego użytku najłatwiej było przywłaszczyć, a potem korzystnie sprzedać.

„Wczoraj po raz pierwszy w życiu dokonałem kradzieży. Późną nocą, po długim wałęsaniu się ulicami, wszedłem na dziedziniec jakiegoś domu. Tylnym wejściem zakradłem się do kamienicy i zacząłem wspinać się schodami. Znalazłem się na strychu. Było tam ciemno. Po omacku wyszukałem kupę łachmanów i ułożyłem się na nich do snu. Tu było lepiej spać niż na dworcu. Obudziłem się wcześniej. Dygotałem od chłodu. [...] Dostrzegłem w jednym przedziale suszącą się bieliznę. Pomyślałem, że mogę znaleźć tam coś dla siebie, bo bez bielizny było mi bardzo niewygodnie. Ubranie obcierało mi skórę aż do bólu. Drzwi były zamknięte na sprężynową kłódeczkę. Ła-two zerwałem ją i otworzyłem drzwi. Na sznurach wisiało kilka serwet, dwie niebieskie kapy na łóżka, powłoczki. Męskiej bielizny wcale nie znalazłem, natomiast było trochę kobiecej. Po zastanowieniu się zdjąłem ze sznura koszulę i majtki z dłuższymi nogawkami. Rozebrałem się i wdziałem wilgotną jeszcze bieliznę. Potem opuściłem po-spiesznie strych. Gdy szedłem schodami w dół, serce nie-

spokojnie tłukło mi w piersi”[106].

Wkrótce znalazł usprawiedliwienie dla złodziejskiego procederu. Wprawdzie zawsze uważał, że to przestępstwo, jednak uznał, iż do kradzieży zmusiły go okoliczności. Twierdził, że sam nie wybrał sobie takiej drogi życiowej.

„Ukraść: to przecież hańba, wstyd! Ale teraz uważam, że największy wstyd to nędza. Ludzie przecież pogardzają nędzarzem. A największym upodleniem jest głodowanie wśród ludzi sytych. Tamte zaś moralne bujdy o niezłomnej uczciwości wymyślili dla swego pożytku i bezpieczeństwa, »generałowie akcji cywilnych« i ich adiutanci. Dla mnie one umarły”[107].

WŚRÓD PRZEMYTNIKÓW

Drobne kradzieże nie mogły być sposobem na życie, więc już niebawem Piasecki zaczął się trudnić znacznie bardziej intratnym procederem. Przemyt przez polsko-sowiecką granicę zapewniał znaczne zyski, był jednak niezwykle ryzykownym zajęciem. Młody, silny, odważny i zdesperowany Piasecki idealnie nadawał się do tego rodzaju działalności. Doskonale znał tamte okolice i posiadał kontakty po obu stronach granicy.

„[...] po demobilizacji nie miał roboty – opowiadał jego znajomy Fiodor Dymitrow – to jego pułkowi koledzy z Rakowa – takie miasteczko pod Mińskiem – wciągnęli go, żeby chodził z nimi na handel, nosić towary na sowiecką stronę. Tym zajmował się [przez dłuższy czas]”[108].

Przemytnicy rekrutowali się ze wszystkich narodowości zamieszkujących Kresy Rzeczypospolitej – byli

106 – *Ibidem*, s. 18.

107 – *Ibidem*, s. 19.

108 – Za: K. Polechoński, *op. cit.*, s. 25.

wśród nich Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Żydzi i Litwini. Wielu z nich, tak jak Piasecki, weszło na drogę przestępstwa z konieczności, albowiem nie mogli znaleźć żadnego legalnego zatrudnienia. Po latach w książce *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* Piasecki przedstawił znakomity obraz tych ludzi.

„Józef Trofida był znany na pograniczu jako wytrawny i bardzo ostrożny przewodnik. Nie ryzykował nigdy. Szedł »na hura« tylko wtedy, gdy nie było innego wyjścia. Drogi za granicę znał doskonale i każdorazowo je zmieniał. Inną drogą szedł do Sowietów, inną wracał.

Z nim najchętniej chodzili chłopcy »na robotę« i jemu dawali kupcy najdroższy towar. Był znany jako szczęściarz, lecz szczęście jego zależało przede wszystkim od jego własnej ostrożności... Nie błędził nigdy. W najciemniejsze noce jesienne poruszał się po okropnych bezdrożach tak pewnie, jakby szedł we dnie po dobrze mu znanej drodze. Kierunek odnajdywał »węchem« [109].

Powieść Piaseckiego oparta została na autentycznych przeżyciach autora, a jej atutem był niezwykle sugestywny wizerunek środowiska przemytników. W niemal dziennikarskim stylu Piasecki opisywał kolejnych bohaterów, których pierwowzory poznał w rzeczywistości.

„Szczur wyglądał dziwacznie. Miał na głowie dużą, puszystą, amerykańską czapkę w kratę, a na szyi po apaszowsku zawiązaną czerwoną chustkę. Ręce trzymał stale w kieszeniach spodni. Idąc, przewalał plecami w prawo i w lewo. Był to rostowski złodziej, który miał ciemną i bujną przeszłość. Był cały pocięty nożami i sam nigdy z nożem się nie rozstawał. Nigdy nie opuszczał żadnej okazji do bójki, chociażby przewidywał z góry, że będzie przegrany” [110].

109 – S. Piasecki, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, Warszawa a 1994, s. 10.

110 – *Ibidem*, s. 27.

Piasecki znał z autopsji życie w małych miasteczkach po obu stronach granicy, dzięki czemu stworzył wierny reportaż z polskiej i sowieckiej prowincji, przekazał poruszający obraz tamtejszej beznadziei. Jediną rozrywką mieszkańców był alkohol, toteż pijano go dużo i przy każdej nadarzającej się okazji.

„Znaleźliśmy się na olbrzymim jak okiem sięgnąć zastawionym wozami placu. Środek rynku zajmował duży piętrowy prostokąt sklepów. Po brzegach placu były również żydowskie sklepy, herbaciarnie, zajazdy i restauracje. W pobliżu sklepów ustawione były stragany wędrownych kramarzy i szewców. Z trudnością torowaliśmy sobie drogę w gęstym tłumie.

Nad placem można by zawiesić olbrzymią chorągiew Bachusa. Pili wszyscy. Pili wszędzie. Pili stojąc, leżąc, siedząc. Pili na wozach, między wozami i pod wozami. Pili mężczyźni i kobiety. Matki poiły małe dzieci, żeby i one się zabawiły na kiermaszu, poiły i niemowlęta, aby nie płakały. Widziałem nawet, jak pijany chłop zadarł koniowi pysk i wlewał mu do gardła wódkę z butelki. Chciał wracać do domu i zamierzał popisać się przed »światem«
szybką jazdą”[111].

Przemytnicy nie narzekali na brak zajęcia. Granica podzieliła organizm gospodarczy funkcjonujący przez stulecia. A ponieważ życie nie znosi próżni, to tam, gdzie politycy postawili zasieki, obecnie rozwijał się pokątny handel, a kontrabanda wędrowała w obie strony.

„Granica wre życiem. Partia za partią noc w noc idą za granicę. Przemytnicy pracują wściekle. Ledwie starcza im czasu na przepicie zarobionych pieniędzy. Prawie nie widzimy światła dziennego, bo we dnie wysypiamy się po trudach długich nocy”[112].

W Rosji Sowieckiej brakowało praktycznie wszyst-

111 – *Ibidem*, s. 25–26.

112 – *Ibidem*, s. 50.

kiego, szczególnie towarów luksusowych, a ludzie dysponowali jeszcze zapasami złota i dolarów z dawnych, lepszych czasów. W Polsce natomiast nie było problemów z dostępem do dóbr materialnych, a przemysł na sowiecką stronę zapewniał godziwy zysk.

„Gdyby rzucić w głuchą, jesienną noc z granicy welon mroku, zobaczylibyśmy na dłuższym odcinku ciągnące ku granicy partie przemytników. Idą po trzech, po pięciu, a nawet po dziesięciu i kilkunastu. Większe partie prowadzą doskonale znając granicę i pogranicze »maszyniści«. Małe partie chodzą przeważnie »na swoją rękę«. Idą nawet kobiety, po kilka naraz, aby za złoto, srebro i dolary kupić w Polsce towary, które można sprzedać ze sporym zyskiem w Sowieciech. Są i partie uzbrojone, lecz ich bardzo mało. Przemycnicy broni nie noszą. A jeśli ktoś z nich i bierze ze sobą komin [rewolwer – S.K.], to w razie zatrzymania, jeśli widzi, że ma do czynienia z »chamami«, których *otriezów* [obryznów – S.K.] przemytnicy więcej się boją niżli wszystkiego innego, odrzuca broń od siebie”[113].

W tym fachu edukacja zawodowa przebiegała bardzo szybko. Kto się nie sprawdzał, natychmiast zniknął, a bardziej przydatni dostosowywali się do panujących warunków. Pociągały ich niebezpieczeństwo, duże dochody oraz życie bez zobowiązań. Nie zamierzali porzucić przestępczego procederu, mieli swój własny świat, w którym ich dawne problemy wydawały się zupełnie nierealne.

„[...] jestem o wiele zdrowszy i silniejszy niżli wtedy, gdy po raz pierwszy znalazłem się na granicy. Teraz dla mnie przebycie 30 kilometrów drogi w nocy, po manowcach, z 30–40 funtową noską [torbą – S.K.] na plecach jest bagatelką. Byłem już jedenaście razy za granicą. Kilkakrotnie ostrzelano nas... Gdy po raz pierwszy posłyszałem w ciemności gwizd kul w powietrzu, zrobiło mi się weso-

ło. Wiedziałem, że trafić mnie po nocy trudno, zresztą nie dbałem wcale o siebie”[114].

Liczyły się doświadczenie i szczęście, bo łapówki nie zawsze zapewniały bezpieczne przekroczenie granicy. Skuteczni szefowie gangów byli wysoko cenieni przez ludzi robiących interesy na kontrabandzie.

„Gdy wyruszaliśmy w drogę i w kilku lub kilkunastu zapadaliśmy w mrok, to zdawało mi się, że idziemy zanurzeni w wodzie. Jak żeglarzom groziły nam różne niebezpieczeństwa, lecz sprytnie wymijaliśmy je i docierali do przystani”[115].

WYWIAD I KOKAINA

Działalność przemytników monitorował polski wywiad wojskowy, który intensywnie poszukiwał informacji o warunkach panujących po sowieckiej stronie. Wschodnia granica Rzeczypospolitej była uważana za najbardziej niepewną, dlatego też II Oddział Sztabu Generalnego interesował się wszystkim, co działo się w jej pobliżu.

Na czynności przemytników z reguły patrzono przez palce. Zdawano sobie sprawę z faktu, że kontrabandy nigdy nie da się całkowicie wyeliminować, próbowano zatem sprawować nad tym procederem dyskretną kontrolę. A poza tym przemyt był specyficznym sposobem wspomagania nie najlepiej funkcjonującej gospodarki Wileńszczyzny – regionu słabo zurbanizowanego, niezamożnego i pozbawionego większego przemysłu. Ziemia wileńska, wciśnięta pomiędzy Litwę i ZSRR, odgradzona była od nich kordonem granicznym, podczas gdy Polska nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Litwą, a jej relacje gospodarcze z Sowietami były bardzo słabe.

114 – *Ibidem*.

115 – *Ibidem*, s. 57.

„Brak wymiany handlowej z Rosją – pisano na łamach »Przeglądu Wileńskiego« w listopadzie 1925 roku – oraz odcięcie przez Litwę kowieńską od najbliższych portów morskich (Lipawa, Kłajpeda, Królewiec) oddalonych o 300 kilometrów i konieczność korzystania z Gdańska oddalonego o 800 kilometrów spowodowały, że Wileńszczyzna okazała się zamknięta jak w worku na najbardziej oddalonym krańcu Rzeczypospolitej” [116].

Władze centralne pozostawały głuche na protesty przedsiębiorców i handlowców, uważając, że w dobie gospodarki rynkowej każdy musi radzić sobie sam. Poznań, Lwów czy Kraków leżały ponad 600 kilometrów od

Wilna, co osłabiało konkurencyjność miejscowych produktów. Wileńszczyzna pozostawała w tyle nie tylko za centralną Polską, ale również za województwami z Kresów Południowych.

Nic więc dziwnego, że wielu tutejszych kupców i przedsiębiorców, chcąc uratować się przed bankructwem, decydowało się na nielegalny handel z Sowiecami będący dla nich jedyną metodą zbytu towarów. Komunistyczna gospodarka ciągłego niedoboru stymulowała popyt na produkty wileńskiego rzemiosła i przemysłu. I chociaż przemysłowcy dysponowali ograniczonymi możliwościami transportowymi, to nawet ten towar, który potrafili przeszmuglować, stanowił źródło dużej części dochodów miejscowych przedsiębiorców.

„Skutki tego traktowania po macoszemu potrzeb gospodarczych Wileńszczyzny są bardzo opłakane. Sprawa odbudowy stoi w martwym punkcie. Przemysł i handel pozbawione kredytów i rynków zbytu, pozostawione własnym siłom natychmiast przy pierwszych objawach kryzysu gospodarczego utraciły z trudem odnowione pozy-

cje. Zniszczenia wojenne, brak kredytów i niepomierne wydłużenie naszych linii komunikacyjnych oraz zbyt wysokie obciążenie naszych linii komunikacyjnych wzmogły drożyznę. [...] Stagnacja w całym przemyśle i handlu powoduje wzrastające progresywnie bezrobocie i pauperyzację przemysłu”[117].

Wojskowa „dwójka” starała się mieć swoich ludzi wśród przemysłowców. Nie interesowały jej jednak szczególnie ich działalności, tylko informacje o znaczeniu wojuskowym i politycznym. Dla polskiego wywiadu istotne znaczenie miały wiadomości o warunkach życia i nastrojach ludności po sowieckiej stronie. Szczególnie mile widziane były informacje na temat instalacji militarnych oraz wyposażenia i metod funkcjonowania sowieckich oddziałów. I właśnie dlatego zwrócono uwagę na Piaseckiego.

Przyszły pisarz wydawał się idealnym kandydatem na współpracownika. Biegłe posługiwał się rosyjskim i białoruskim, pochodził z Kresów, odbył przeszkolenie wojskowe i miał za sobą nienaganną służbę w armii, a do tego szczerze nienawidził komunizmu. Dlatego też otrzymał ofertę od polskiego wywiadu.

Była to propozycja z gatunku tych nie do odrzucenia, bo chociaż wywiad starał się bezpośrednio nie ingerować w życie przemysłowców, to przecież był w stanie obrzydzić działalność każdej grupie szmuglującej kontrabandę. Współpraca z „dwójką” zapewniała również pewien poziom ochrony po polskiej stronie granicy.

„Duże pieniądze miałem, gdy w młodości prowadziłem wywiad wojskowy przeciwko Rosji – wspominał Piasecki po latach. – Były to moje pieniądze, bo Oddział II dawał bardzo mało, ja zaś utrzymywałem za granicą wiele

placówek wywiadowczych. Chciałem, żeby moi ludzie byli dobrze opłacani. Przemyciałem do Rosji kokainę, a stamtąd futra. W ciągu czterech lat przez moje ręce przeszło nie mniej niż milion funtów szterlingów. Nie zabezpieczyłem siebie, nie kupiłem nawet kamienicy, choć mogłem kupić ulicę”[118].

Faktycznie, najbardziej intratnym procederem okazał się przemyt kokainy. Różnica między jej cenami na czarnym rynku w Polsce i w Związku Sowieckim była ogromna i zapewniała co najmniej godziwe zyski. Wprawdzie za przemyt narkotyków groziła kara śmierci, ale wizja szybkich i dużych pieniędzy powodowała, że przemytnicy podejmowali to ryzyko.

„Lepiej kokainę nosić – tłumaczył jeden z bohaterów powieści Piaseckiego *Piąty etap*. – [...] Tu chociaż jest zysk. Koka w Polsce od 499 do 600 złotych chrustów [rubli – S.K.] za kilo. W Mińsku od 1200 do 1500. W Moskwie od 2000 do 2500. W parę miesięcy można majątek zrobić!”[119].

Piasecki szybko wykazał swoją przydatność, więc jego przełożeni z wywiadu mogli być z niego zadowoleni. Z opinii służbowej dowiadujemy się, że był on wywiadowcą „wyjątkowo wydajnym”, a informacje przez niego zdobywane „stanowiły poważną wartość”. Zadania „wykonywał, nie szczczędząc życia ani zdrowia” i wykazywał się przy tym „brawurową odwagą” oraz „oddaniem sprawie polskiej”[120].

Sprawnie łączył czynności wywiadowcze z obowiązkami przemytnika. Lubił swoje zajęcie, a współpraca z

118 – Za: K. Polechoński, *op. cit.*, s. 27.

119 – S. Piasecki, *Piąty etap*, Łomianki 2014, s. 191.

120 – Za: M. Wańkowicz, *Wielka Niedźwiedzica świeci w okna więzienne*, „Wiadomości Literackie”, 23/1937.

„dwójką” powodowała, że rozgrzeszał się z działań niezgodnych z prawem. Nie miał wyrzutów sumienia, bo uważał, że należy do wąskiej elitarnej grupy broniącej Polski przed komunizmem. Jednocześnie jednak odczuwał wyobcowanie z normalnego nurtu życia i porównując się z innymi, dostrzegał swoją odmienność.

„Stanowimy w społeczeństwie nieliczną grupę ludzi [...] znajdującą się poza wszelkimi prawami i nawet zwykłe pojęcia o rzeczach – o naturze nawet – mamy odrębne od innych ludzi. Na przykład państwo mówicie »dobra pogoda«, gdy jest sucho, nie ma dużego wiatru. A u mnie »dobra pogoda« jest wtedy, gdy deszcz pada, wichur dmie, gdy się sroży śnieżycą, gdy wiatr okiennice zrywa, gdy noc jest czarna jak smoła. Ludzie się boją cmentarza, trupa; my się obawiamy miasta i żywego człowieka. U wszystkich dobra droga to droga równa, bez przeszkód; a u mnie – taka, na której krzaki rosną, doły są i rowy...”**[121]**.

Chociaż określenie „szpieg” zawsze miało znaczenie pejoratywne, to Sergiusz uznawał tego rodzaju działalność za konieczną. Dorabiał do niej ideologię, dzięki czemu uważał się za członka elity sił zbrojnych – za jednego z tych, od których zależy los państwa.

„W życiu każdy z nas jest szpiegiem, naraz: wojskowym, handlowym i politycznym. Każdy węszy, waży, oblicza rezultaty spostrzeżeń. Przez całe życie się korzysta z tego, co się wyszperało wokoło siebie, i im lepszym kto jest szpiegiem, tym większa jest jego wartość dla ludzi i dla niego. Szpieg wojskowy dla każdego państwa jest konieczny. Odgrywa rolę jego oczu i uszu. To znaczy – najważniejszych organów naszego organizmu. Bo czymże jesteśmy bez tych organów? Klocami zdanymi na łaskę oto-

czenia i przypadku. Szpiegostwo jest (w obecnym stanie rzeczy) konieczne i jako konieczne wychodzi poza zwykłe reguły etyczne. W czasie wojny walczą pułki; w czasie pokoju – szpiegdy. W czasie wojny grzmą na froncie baterie armat, w czasie pokoju – na granicy (w razie pościgu) brauningi szpiegów. Trudno – tak jest i tak musi być długo jeszcze”[122].

Piasecki nie był zwykłym szeregowym przemytnikiem, bo już w czasach, gdy rozpoczął współpracę z wywiadem, stał na czele własnej grupy. Odważny i przedsiębiorczy odnosił duże sukcesy i był uważany za jednego z najsprawniejszych szefów gangów. Ale nawet ci najsprawniejsi ponosili duże ryzyko – w październiku 1925 roku Piasecki został ranny po sowieckiej stronie granicy. Jego przeciwnikami byli zresztą nie tylko pogranicznicy, ale również członkowie konkurencyjnych grup. Specyfiką pracy przemytników było to, że częściej strzelali oni do kolegów po fachu niż do żołnierzy. Krwawa konkurencja wymuszała też dużą mobilność. W ciągu kilku tygodni Piasecki potrafił przekroczyć granicę 30 razy, bywał też zatrzymywany po obu jej stronach. Sowieci jednak go zwalniali, a gorsza przygoda spotkała go po polskiej stronie. Po krwawej rozprawie z konkurencją został wydany policji i trafił do więzienia w Nowogródku. Polski wywiad nie mógł go od razu uwolnić, toteż wypuszczono go bez rozprawy dopiero po upływie blisko dwóch lat.

W tym czasie był już jedną z najbardziej znaczących figur w przemytniczym światku. Uważano go za prawdziwego króla granicy – podejmował się tylko najbardziej intratnych zadań, a zleceniodawcy posłusznie czekali, aż znajdzie czas na ich sprawy. Zarabiał ogromne pieniądze, ale żył wyłącznie dniem bieżącym.

„Życie w przygranicznym Eldorado – opisywał Melchior Wańkowicz – płynie w ciągłym niebezpieczeństwie i nadmiarze pieniędzy. Odważny i przedsiębiorczy [...] rozporządza tysiącami dolarów. Ma kochanki po obu stronach granicy, dyktuje swoje prawa. Przestaje nosić towar, zaczyna wodzić »figurki«, to znaczy przeprowadzać ludzi przez granicę. Aż wreszcie – wypływa na szerokie wody istnego korsarstwa – w komitywie z dwoma drugimi szalonymi pałkami zaczyna zasadzać się na wracających z zagranicy z dolarami i złotymi rublami” [123].

Każdy organizm ma swój indywidualny próg odporności i z czasem psychika Piaseckiego zaczęła szwankować. Próbując poradzić sobie ze stresem, zaczął zażywać kokainę i szybko popadł w uzależnienie. Nie wpłynęło to jednak na jakość jego pracy dla wywiadu. Działał tak energicznie i skutecznie, że w końcu stał się człowiekiem intensywnie poszukiwanym przez sowieckie służby. Wiedział, że gdy ponownie dostanie się w ich ręce, zapłaci za to życiem.

„W 1924 lub 1925 roku – opowiadał – słyszałem od jednego z oficerów Ekspozytury, że zostałem mianowany podporucznikiem. Wiadomości tej nie sprawdziłem i nią się nie interesowałem, bo przypuszczałem, że zginę na jednym z najbliższych wywiadów w Rosji, tak jak i wielu moich kolegów z wywiadu” [124].

BANDYTA

W Rosji co prawda nie zginął, ale z niewyjaśnionych przyczyn został zwolniony ze służby w wywiadzie. Do dzisiaj właściwie nie wiadomo, jakie były tego powody, czy

123 – M. Wańkowicz, *op. cit.*

124 – Za: K. Polechoński, *op. cit.*, s. 28.

wpływ na tę decyzję miało uzależnienie Piaseckiego od kokainy. Niewykluczone, że centrala nie tolerowała jego zaangażowania w porachunki z innymi bandami przemytników; możliwe również, że Piasecki zdobył pewne informacje kompromitujące jednego z jego przełożonych. Wiadomo także, że w tym czasie władze z Kremla znacznie uszczelniły granicę z Polską, przystępując jednocześnie do pacyfikacji miejscowości przygranicznych, co znacznie utrudniło działanie polskich wywiadowców.

Władze sowieckie uniemożliwiły również szmugiel kontrabandy i gdy w lutym 1926 roku Piasecki został zwolniony ze służby wywiadowczej, zaprzestał aktywności przemytniczej. Był ryzykantem, ale nie samobójcą – wiedział przecież, że jeśli wpadnie w ręce Sowietów, to zginie. Znał również metody pracy wywiadu polskiego i zdawał sobie sprawę z faktu, że dla „dwójki” stał się człowiekiem zbędnym, a może nawet niebezpiecznym. Nie mógł zatem wykluczyć, że straci życie w jakiejś „przypadkowej” granicznej rozróbie albo zostanie wydany Sowietom.

W wieku 25 lat znów zaczynał wszystko od nowa. Był bez pieniędzy, bo zdążył już przepuścić wszystko, co zarobił na kontrabandzie. Nie miał pomysłu na życie, przez pewien czas planował nawet zaciągnąć się do legii cudzoziemskiej, ale okazało się, że nie przyjmowano tam ludzi posiadających stopnie oficerskie w armiach innych państw.

„Sześć miesięcy bezowocnych starań i upokorzeń – wspominał – wszystkie te okoliczności złożyły się na to, aby mnie do zbrodni skłonić, natomiast nie było żadnych, które by mnie od niej powstrzymywały... W Rosji, obracając się w sferach urzędników i oficerów Krasnej Armii, nauczyłem się tam szeroko rozpowszechnionego nałogu [za-

żywania] kokainy”[125].

Poszukując rozwiązania swoich problemów, udał się do kuzyna do Grodna, a o jego determinacji świadczyło to, że gdy rozpadły mu się jedyne buty, kontynuował marsz boso. Miał jednak przy sobie broń i resztki kokainy, co okazało się niebezpiecznym połączeniem. Pod koniec lipca na drodze prowadzącej z Lidy do Grodna napotkał wóz konny, którym podróżowali dwaj żydowski kupcy. Błyskawicznie podjął decyzję, która miała zaważyć na jego przyszłości.

„[...] bandyta Piasecki – relacjonowała prasa – wałęsał się wówczas od kilkunastu dni w okolicznych lasach. W krytycznym dniu o godzinie 8 rano zauważył furmankę. Dokonując napadu na siedzących na niej dwóch Żydów: Jodela Boryszańskiego i Morducha Drazlina, i grożąc pistoletem, obrabował doszczętnie obu. Łupem bandyty stał się zegarek złoty, 1054 złote i cały szereg drobnych rzeczy”[126].

Po dokonaniu rabunku Sergiusz trafił do Wilna, gdzie odnalazł swojego dawnego kolegę z wojska i z czasów działalności przemytniczej – sierżanta Antoniego Niewiarowicza. Zamieszkał wraz z nim u jego kochanki, a gdy skończyły się pieniądze, wspólnie zaplanowali kolejny napad.

„Dnia 22 sierpnia w niedzielę o godzinie 5 po południu – relacjonowano na łamach »Dziennika Wileńskiego« – na wagonetkę konnej kolejki podjazdowej z miasteczka Wasiliszek do stacji Skrzybowce napadło w lesie o 4 km od majątku Wielkie Możejkowe dwóch uzbrojonych w re-

125 – Za: *ibidem*, s. 29.

126 – M. Zdanowicz, *Sprawcy napadu na kolejkę wąskotorową pod Lidą przed sądem doraźnym*, „Kurier Wileński”, 208/1926.

wolwery bandytów, zatrzymało kolejkę i ograbiło pięciu jadących pasażerów. Zabrano 15 dolarów, 120 złotych, zegarek, kolczyki i pierścionki. Przy grabieży jedną z kobiet bandyta uderzył rękojeścią rewolweru w głowę, po czym oberznął uprząż u koni i nakazał stać godzinę. Po dokonanym rabunku bandyci zbiegli do lasu”[127].

Sprawcy napadu nie pozostali długo na wolności. Podobno wydała ich kochanka Niewiarowicza, Wiera Bułhakowska. Rosjanka lubiła pieniądze, a poza tym była osobą bardzo zazdrosną, co może wyjaśniać motyw jej postępowania. Zapewne chciała zemścić się na znacznie młodszym partnerze, możliwe też, że liczyła na nagrodę za wskazanie sprawców napadu. Natomiast dziennikarze przypisali całą zasługę policji, uważając zresztą Piaseckiego i Niewiarowicza za sowieckich szpiegów.

„W Nowo-Wilejce mieszka od kilku lat niejaka Wiera Bułhakowska. Była ona żoną słynnego śpiewaka rosyjskiego Szalapina i od pewnego czasu do Bułhakowskiej zajeżdżało co kilka tygodni dwóch młodych ludzi, którzy w ciągu parodniowego pobytu wydawali po kilka tysięcy złotych. Rozrzutność tego towarzystwa zwróciła uwagę policji. Jednakże nie dało się zauważyć nic, co by wskazywało na nielegalne pochodzenie lekkomyślnie wydawanych sum”[128].

Policja wkroczyła do mieszkania Bułhakowskiej i aresztowała sprawców napadu. Miesiąc później stanęli oni przed sądem w Lidzie, a ich sytuacja nie była godna pozazdroszczenia. W związku z działalnością białoruskich i ukraińskich ekstremistów wspomaganych przez sowiec-

127 – *Napad bandycki na kolejkę podjazdową*, „Dziennik Wileński”, 192/1926.

128 – M. Zdanowicz, *Likwidacja sowieckiej bandy szpiegowskiej*, „Kurier Wileński”, 200/1926.

kie szajki, na Kresach obowiązywał stan wyjątkowy, co oznaczało sądownictwo doraźne. Każdy przejaw bandytyzmu traktowano niezwykle surowo, w związku z czym Piaseckiemu i Niewiarowiczowi groził najwyższy wymiar kary.

„[Oskarżeni] zachowują się spokojnie – relacjonowano przebieg procesu na łamach »Dziennika Wileńskiego« – a stosunek Piaseckiego do Niewiarowicza rycerski: stale go broni, twierdząc, że on układał plan napadu, on namawiał. Charakterystyczne, że oskarżeni cieszą się pewną życzliwością, a nawet sympatią obecnej na sali publiczności, wśród której neurasteniczne, krótkowłose faraonice [emancypantki – S.K.] prym trzymają. Przyznają się do wszystkiego, twierdząc, że do napadu popchnął ich brak pracy, gdy zostali z wojska zwolnieni. Po zdobyciu pieniędzy mieli jechać za granicę, by tam zacząć nowe życie. [...] Oskarżeni do winy się przyznali, przeto świadkowie na rozprawie nie wnoszą nic nowego. Podkomisarz Bijuc w zeznaniach oświadcza, że w czasie badania obiecał oskarżonym, że względu na ich młody wiek, przyznanie się i chęć poprawy prosić sąd o złagodzenie im kary” [129].

Sąd nie zwrócił jednak uwagi na obietnice podkomisarza ani na wnioski obrońców żądających rozprawy w zwykłym trybie. Piasecki i Niewiarowicz zostali skazani na karę śmierci przez rozstrzelanie.

ŚWIĘTY KRZYŻ

„W normalnych warunkach – twierdził adwokat Adam Pragier – jego przestępstwo, które wedle kodeksu karnego było »napadem rabunkowym połączonym z lek-

kim uszkodzeniem ciała», byłoby ukarane więzieniem chyba nie większym niż 3 lata. Gdyby sąd okręgowy wymierzył mu karę 5 lat, sąd apelacyjny najpewniej by ją zmniejszył. Ale w czasie, gdy Sergiusz Piasecki popełnił to przestępstwo, istniał na tym obszarze stan wyjątkowy i działały sądy doraźne. Każdy napad rabunkowy podlegał karze śmierci. Tylko dawne zasługi Sergiusza Piaseckiego, o których II Oddział pamiętał, sprawiły, że zamieniono mu karę śmierci na 15 lat więzienia. Okolicznością dodatkową, która to sprawiła, było, że nie był przedtem sądownie karany”[130].

Nie istniała możliwość apelacji, dlatego obrona niezwłocznie wniosła drogą telegraficzną prośbę o ułaskawienie. Następnego dnia prezydent Ignacy Mościcki ułaskawił obu skazańców. Dla Piaseckiego oznaczało to początek najtrudniejszego okresu w życiu.

Zaliczono go w poczet najgroźniejszych przestępców i osadzono w ciężkim więzieniu w Rawiczu. To był dopiero początek problemów, Piasecki nie był bowiem typem posłusznego skazańca. W efekcie jako „niebezpiecznego” przewożono go z jednego zakładu karnego do drugiego, a tam często trafiał do izolatek i karcerów.

„[...] byłem dziesięciokrotnie przenoszony z więzienia do więzienia – wspominał. – Odbyłem pięć lat w celach pojedynczych, sześć lat we wspólnych. Przesiedziałem w karnej izolacji prawie dwa lata. Jeden raz bez przerwy jedenaście miesięcy. Odbyłem wiele tygodni karcerów w wielu więzieniach. Jako przywódca buntu ludzkiego nosiłem trzy miesiące karne kajdany. Jako przywódcę buntu rawickiego wysłano mnie karnie do Koronowa. Jako przywódcę buntu koronowskiego wysłano mnie kar-

nie na Święty Krzyż. [...] Jako przywódcę buntu koronowskiego sądzono mnie w więzieniu w Koronowie. [...] Skazano mnie na dwa miesiące. To przekreśliło ostatecznie skrócenie mi kary”[131].

Piasecki nie buntował się bez powodu, albowiem warunki panujące w większości polskich więzień urągały normom cywilizowanego świata. Zatlócone cele, fatalne wyżywienie, brak opieki medycznej. Najgorsze było jednak brutalne traktowanie więźniów przez strażników, którzy uważali się za panów ich życia i śmierci. Czasami można było odnieść wrażenie, że do służby przyjmowano wyłącznie sadystów, by w ten sposób zaspokajali swoje najniższe instynkty.

Ostatnią placówką, do której trafił Piasecki, był zakład karny na Świętym Krzyżu, powszechnie uważany za najcięższe więzienie II Rzeczypospolitej. Metody tam stosowane przypominały te z Berezy Kartuskiej, a Sergiusz od razu stał się „ulubieńcem” naczelnika Mieczysława Butwiłowicza.

„Ja byłem traktowany przez Butwiłowicza jako wróg nr 1, bo miałem za sobą udział w buntach i głodówkach w wielu więzieniach. Więc byłem starannie izolowany od innych więźniów. Siedziałem długo w izolacjach – specjalnych – na I i III oddziale, przeważnie samotnie albo z kilku więźniami, niepoprawnymi”[132].

Pomimo to regularnie składał prośby o przedterminowe zwolnienie (łącznie cztery razy w ciągu sześciu lat). Wszystkie zostały odrzucone, a na decyzje sądów nie wpłynął nawet fakt, że u Piaseckiego zdiagnozowano gruźlicę.

131 – S. Piasecki, *Dlaczego? List otwarty do redaktora „Odrodzenia”, „Tygodnik Polski”* [Nowy Jork], 26/1946.

132 – Za: K. Polechoński, *op. cit.*, s. 34.

Warunki lokalowe na Świętym Krzyżu były straszne. Melchior Wańkowicz, który oglądał ten zakład w 1937 roku, pozostawił przejmujący opis życia skazanych.

„W celach, małych celach wielkości przeciętnego pokoju, siedzi po kilkunastu więźniów. Sienniki spiętrzone wysoko pod sufit. Nocą nie pozostaje pięćdzi ziemi. W celi po trzy taborety na kilkunastu ludzi. [...]

Cele są tak ciasne, że chodzić nie można. Więc wyrobili sobie technikę: ustawiają się w dwa rzędy w celi i chodzą, na komendę się odwracając. Tak chodząc, rozmawiają lub... myślą. Żaden nie może zmylić kroku ani wyłamać się w pół rytmu, boby się wszystko poplątało” [133].

Pomimo to Piasecki nie załamywał się. Za murami pilnie uczył się poprawnego języka polskiego, co umożliwiła mu bezpłatna prenumerata „Wiadomości Literackich”. Korzystał też z więziennej biblioteki, często prosił o przekazanie mu do celi Biblii, czego służba więzienna nie mogła odmówić. I chociaż zakład na Świętym Krzyżu wydawałby się najgorszym miejscem do rozpoczęcia kariery literackiej, sumienność Piaseckiego miała niebawem przynieść owoce.

„Mijamy teraz szereg ażurowych cel – kontynuował Wańkowicz – i w każdej widzimy po kilkunastu morderców, bandytów, kazirodców, szpiegów, alfonsów, truciciel, oprawców [...]. Jak chodzą, miotają się od ściany do ściany w rytmie wystukiwanym drewnem chodaków. Okropne twarze narastają, sunąc ku drzwiom, aby za chwilę wyrosnąć przed nami szeregiem wystrzyżonych karków. Więzienie miota się jak dzika bestia od kraty ku oknu, od okna ku kracie drzwi.

W którejś z tych cel pisze swoje powieści

Piasecki”[134].

KOCHANEK WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY

Pierwsze utwory Piaseckiego powstały podczas jego pobytu w więzieniu we Wronkach, choć pewne próby literackie podjął on już kilka lat wcześniej. Namawiał go do tego ojciec, który przysyłając mu jego młodzieńcze wprawki pisarskie, zachęcał Sergiusza do pracy nad „opowiadaniem o ludziach mających oryginalne charaktery i przeżywających niezwykle przygody”.

„[...] we Wronkach wielu jest więźniów politycznych – wspominał Piasecki – niejednokrotnie bardzo inteligentnych. Wielu w więzieniu pisało, toteż za ich przykładem zacząłem pisać i ja. Widocznie to, co pisałem, nie było takie złe, skoro jeden z towarzyszy więziennych, człowiek wybitnie inteligentny, po przeczytaniu moich płaodów pisarskich radził mi gorąco, aby poważnie zabrać się do literatury”[135].

Rękopis pierwszej powieści spalił, gdyż uznał, że była ona zbyt słaba, jednak podczas pracy nad nią wiele się nauczył. Dzięki temu już niebawem zaczęły powstawać utwory literackie z prawdziwego zdarzenia, a praca nad nimi stała się celem jego więziennego życia.

„»Wiadomości Literackie« przestały mi wystarczać – tłumaczył. – Znalazłem się w położeniu człowieka głodnego, przeglądającego menu wspaniałych potraw, o których wie, że są bardzo smaczne i pozytywne, lecz – niestety – dla niego niedostępne. Pragnąłem czytać, jak najwięcej czytać, ale zarówno warunki, jak i szczupłość biblioteki więziennej nie pozwalały mi na całkowite ziszczenie mo-

134 – *Ibidem*.

135 – S. Piasecki, *Auto denuncjacja*, Warszawa 2002, s. 72.

ich pragnień. Wszystko wywróciło się do góry nogami z przeniesieniem mnie na Święty Krzyż. Czułem się strasznie”[136].

Z pomocą przyszedł przypadek. Piasecki dowiedział się o konkursie literackim organizowanym przez jedną z gazet i postanowił wziąć w nim udział. Na dziedzińcu znalazł uszkodzoną stalówkę, natomiast atrament uzyskał, rozpuszczając ołówek kopiowy. Otrzymał pozwolenie władz więzienia i zgodnie z przepisami przekazano mu brulion o ponumerowanych kartkach. Pisał w przeludnionej celi na taborecie, na framudze okna lub wręcz na podłodze.

„Doba więzienna jest krótka – wspominał. – Od szóstej wieczór do szóstej rano trzeba leżeć i... spać. A w celi jest ciasno... Największą trudność miałem ze zdobyciem papieru. Wolno mieć tylko jeden brulion, który po zapisaniu należy oddać władzom więziennym, po czym wolno wziąć drugi. W ten sposób nie mogłem mieć przy sobie całości swojej powieści”[137].

Pierwszą jego książką z prawdziwego zdarzenia był *Piąty etap*. Napisał ją w 28 dni. Treścią powieści były przygody agentów polskiego wywiadu na granicy ze Związkiem Sowieckim. Władze więzienne uznały jednak książkę za „niebezpieczną” i odmówiły wysłania jej na konkurs. Uczciwie trzeba przyznać, że miały do tego prawo, gdyż *Piąty etap* był w dużym stopniu książką autobiograficzną, realistycznie oddającą stosunki na polsko-sowieckim pograniczu.

„Nie była to cenzura polityczna, lecz specyficznie »więzienna« – tłumaczył Adam Pragier. – Nie wolno było poza obręb więzienia podawać wiadomości dotyczących

136 – *Ibidem*.

137 – *Ibidem*.

sprawy, za którą piszący był skazany, żadnych wiadomości dotyczących warunków bytowania w więzieniu, wreszcie żadnych wiadomości, które mogłyby komukolwiek ułatwić ucieczkę z więzienia”[138].

Podobny los spotkał jego kolejną powieść (*Droga pod mur*). Mimo to Piasecki pisał coraz chętniej i lepiej, chociaż wciąż nie był pewny wartości swoich utworów. Wiele się już nauczył, obawiał się jednak, że zbyt późno wziął się do systematycznej nauki języka polskiego.

„Największą [...] trudnością w pracy był brak krytyki – opowiadał. – Nikt mi nie umiał wskazać błędów, jakże często popełnianych, nikt nie poradził, nikt rozumnie nie skrytykował. Krytyka współwięźniów, nawiasem mówiąc bardzo ostra, nie odnosiła się do języka, do stylu – na czym mi najbardziej zależało – lecz najwyżej do rozwoju akcji i do związanych z nią losów poszczególnych postaci”[139].

Piasecki był jednak zbyt surowy wobec siebie, bo gdy rękopis *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy* dotarł do Melchiora Wańkowicza, ten od razu się nim zainteresował. Sławny pisarz i dziennikarz, współwłaściciel wydawnictwa Rój nie mógł uwierzyć, że powieść napisał debiutant przebywający w ciężkim więzieniu. Książka całkowicie go pochłonęła, toteż nie ukrywał podziwu dla jej autora.

„Wczytałem się w rękopis – relacjonował. -[...] Jakaż to okropna rzecz – ślęcze długimi miesiącami, latami nad pisaniem w warunkach najstraszniejszych, nie mieć żadnej pomocy, żadnej wskazówki, żadnej zachęty, żadnej otuchy, upadać pod ciężarem zwątpień, posuwać się w zu-

138 – A. Pragier, *op. cit.*

139 – Za: J. Tutaj, *Nie słyszał radia, nie był na filmie dźwiękowym. Co mówi Sergiusz Piasecki po 11-letnim pobycie w więzieniu*, „Kurier Wileński”, 214/1937.

pełne niewiadome, obracać słowo – nowe narzędzie, które tak różni się od wytrycha i brauninga, w nieumiejętnej głowie, a potem wysyłać spęczniałą rzecz w daleki wyponderowany świat”[140].

Wańkowicz z miejsca zdecydował o wydaniu powieści, zasięgając jednocześnie informacji o autorze. Prawnicy zbadali sprawę Piaseckiego, bo pan Melchior już wówczas myślał o uwolnieniu Sergiusza z więzienia. Użył też zgodę na widzenie się z nim na Świętym Krzyżu.

Wizyta w więzieniu utwierdziła Wańkowicza w powziętej decyzji. Piasecki miał ogromny talent literacki i należało zrobić wszystko, aby jak najszybciej został zwolniony. Wańkowicz doskonale wiedział, że Sergiusz miał pecha, bo gdyby dokonał przestępstw w innym czasie, to już od dawna byłby na wolności. Pan Melchior uważał, że Piasecki odpokutował za swoje winy, a ze względu na stan zdrowia nie miał wielkich szans na przeżycie do końca kary.

Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy stał się bestsellerem, gdy Piasecki przebywał jeszcze na Świętym Krzyżu. Powieść wzbudziła prawdziwą sensację i niemal natychmiast pojawiła się jej kolejna edycja. Zainteresowali się nią również wydawcy z zagranicy. Rozmowa z Piaseckim wywarła na Wańkowiczu niezapomniane wrażenie.

„Pyta, pyta jednym ciągiem, jak należy pisać – wspominał – komunikuję mu, że na ręce naczelnika więzienia składam zaliczkę na honorarium. To go wiele nie obchodzi. Pyta gorączkowo, pyta, jak to się pisze. Mówi, co pisze. Że rozpoczął dylogię z życia świata przestępczego. Kupiłem dla niego wieczne pióro i flaszkę atramentu oraz libkę papieru. Ale papieru nie przyjmuje; przepisy więzienne nie pozwalają na papier luzem, musi być zbroszu-

rowany. Obiecuje przysłać bruliony. Napełniam pióro. Patrzy z zachwytem, jak wypełnia się przezroczystry rezerwuuar. Bierze z nabożeństwem do ręki i próbuje pisać”[141].

Rój zlecił sprawę Piaseckiego doświadczonemu adwokatowi Adamowi Pragierowi. Przy okazji przekazano mu rękopis *Kochanka* w rękopisie, Wańkowicz uznał bowiem, że w takiej formie książka zrobi na prawniku większe wrażenie. Nie pomylił się, bo więzienne bruliony oznaczone stemplami cenzury dodały prozie Piaseckiego autentyczności.

„Nigdy w życiu nie widziałem podobnego rękopisu – przyznawał Pragier – i sądzę, że nie istnieje w żadnej literaturze. Była to ogromna księga, mocno oprawiona. Wszystkie kartki były ponumerowane. [...] Jest rzeczą zdumiewającą, że w takich warunkach mogła powstać tak znakomita książka, świetnie zbudowana. Najwyraźniej Sergiusz Piasecki przed rozpoczęciem pisania musiał mieć w wyobraźni wizję ostatecznej jej postaci. A przecież rękopis zapełnił całą wielką księgę grubości co najmniej 4 centymetrów”[142].

Adwokat poprosił o rozmowę wiceministra sprawiedliwości Adama Chełmońskiego. Przekazał mu pismo z prośbą o ułaskawienie Piaseckiego, wręczył również *Kochanka*, prosząc o niewydawanie decyzji do czasu zapoznania się z książką. Dwa tygodnie później wiceminister sam zadzwonił do prawnika i zaproponował mu spotkanie.

„Sergiusz Piasecki już ósmy rok siedzi w najsroższym więzieniu – przekonywał Pragier. – Jeszcze go było stać

141 – Za: R. Demel, *Sergiusz Piasecki (1901-1964): życie i twórczość*, Warszawa 2001, s. 47.

142 – A. Pragier, *op. cit.*

na napisanie tej książki. Ale niech pan pomyśli, co będzie, gdy pozostanie tam przez następne siedem lat. Wyjdzie ruina człowieka. Dziś jest to już niewątpliwie pozycja w naszej literaturze. Niech pan się zastanowi, czy stać nas na to, żeby taką pozycję marnować”[143].

Chełmoński nie miał wątpliwości co do literackiej wartości *Kochanka*, jego niepokój budziła natomiast zupełnie inna sprawa. Uważał więźnia za „zawadiakę” i „awanturnika”, który za kratami „wcale się nie poprawił”.

„Wyjdzie z pewnością taki sam, jak wszedł – tłumaczył. – A przy tym jest on teraz zamożny. Jak sam pan wspominał, Rój wpłacił dotychczas na jego rachunek w banku za książkę i za tłumaczenia przeszło 15 tysięcy złotych [pensja urzędnika państwowego wynosiła około 350 złotych – S.K.]. Gdy z tymi pieniędzmi znajdzie się na wolności, z pewnością zaraz wróci na Kresy, pieniądze rozsypie i po jakimś czasie znowu wyląduje w więzieniu. Cóż ja mogę na taki obrót rzeczy zaradzić?”[144].

Pragier był przygotowany na podobny scenariusz i zaproponował rozwiązanie w praktyce penitencjarnej wcześniej niespotykane.

„Można zawrzeć z Sergiuszem Piaseckim *gentlemen’s agreement*, której z pewnością dotrzyma. Rój nie wypłaci mu jednorazowo całej sumy, jaka mu się należy, lecz będzie mu płacił pensję miesięczną po 500 złotych. Starczy mu to na dostatnie utrzymanie, ale nie na zbytki i awantury. Ponadto Sergiusz Piasecki zobowiąże się mieszkać w środkowej Polsce i nie być na Kresach, choćby chwilowo. Te oba warunki, gdy będą podpisane przez Sergiusza Piaseckiego i przez Rój, powinny zupełnie wystarczyć, by

143 – *Ibidem*.

144 – *Ibidem*.

usunąć skrupuły, jakie pan ma i które nie są bezzasadne”[145].

Rozmowa miała decydujące znaczenie dla losów literackiego debiutanta. Przy okazji wyklucza podejrzenie oszustwa, jakiego rzekomo miał się dopuścić Wańkiewicz wobec Piaseckiego przy krajowych edycjach jego pierwszych książek.

„[...] jednym z warunków wypuszczenia go z więzienia – przekonywała wnuczka Sergiusza, Ewa Tomaszewicz – było to, że on z tych swoich książek, które będą wydawane, nie będzie miał specjalnych dochodów. Czyli te dochody pójdą tak naprawdę do wydawców, nie do niego, on miał z tego dostawać skromną pensję”[146].

Nie było to do końca prawdą, albowiem ta „skromna pensja” przewyższała o kilkadziesiąt procent uposażenie urzędników państwowych, którzy w tamtych czasach zarabiali całkiem dobrze.

Pierwsze próby o ułaskawienie kierowane do prezydenta Mościckiego były jednak bezskuteczne, a efekty przyniosło dopiero poparcie środowisk literackiego i dziennikarskiego. Przez polską prasę przetoczyła się fala artykułów, których autorzy prosili o abolicję dla więźnia Świętego Krzyża.

„Najsuchszy sędzia od paragrafów przyzna, że ludzka sprawiedliwość jest ułomna – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz na łamach wileńskiego »Słowa«. – Że nie może zaglądnąć do dna duszy, do serca, do mózgu. To tylko Pan Bóg potrafi. I oto ta książka [*Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*] jest jakby lustrem rozświetlającym, co się w tym człowieku dzieje, jakby sondą jego myśli. Są organizmy amoralne, stępiełe, nieludzkie, niezasługujące na żadną

145 – *Ibidem*.

146 – *Errata...*

łaskę, które trzeba nogą wbijać w ziemię jak brzydkie, a jadowne pająki. A są bandyci, mordercy, zabójcy, jak ten Piasecki, którzy mają włókna i myśli rycerskie”[147].

Mackiewicz podkreślał niezwykle zdolności Piaseckiego, twierdząc, że jego powieść została napisana z „nadzwyczajnym talentem”, którego przyćmić nie zdołały nawet potworne warunki, w jakich powstawała.

„Oczywiście był winien – wtórował Mackiewiczowi Juliusz Kaden-Bandrowski. – Pokutuje. Iluż jednak ludzi nie pokutuje, chociaż może są podobnie winni jak Piasecki, a tylko mniej od niego impulsywni, a zatem ostrożniejsi, chytrzejsi, zręczniejsi. [...] Chodzi tu raczej o wyjątek, piękny, uzasadniony, wzruszający; chodzi o to, że winowajca, nie wiedząc nawet, iż może być to dla niego ocale niem, niejako mimowolnie, nieświadomie, pracując żarliwie w nieśmiertelnym materiale mowy ojczystej, znalazł się pod sklepieniem tej świątyni, w której można spodziewać się łaski dla każdego; że winowajca, pracujący duchem i sercem jak najżarliwiej, znalazł się niejako pod stropem pięknego piśmiennictwa polskiego”[148].

Sergiusz Piasecki został zwolniony z więzienia po 11 latach, wyszedł na wolność na początku sierpnia 1937 roku. Do końca właściwie nic nie wiedział o ułaskawieniu, zorientował się dopiero na dwa dni przed opuszczeniem Świętego Krzyża.

„O odzyskaniu wolności Piasecki dowiedział się w poniedziałek rano – relacjonował Eugeniusz Żytomirski – ale już w sobotę wieczorem miał – jak powiada – jakieś dziwne wewnętrzne przeczucie, że odzyska wkrótce wol-

147 – S. Cat-Mackiewicz, *Panie Prezydencie Rzeczypospolitej, wskrześ człowieka*, „Słowo”, 14.06.1937.

148 – J. Kaden-Bandrowski, *Człstka kultury*, „Gazeta Polska”, 18.07.1937.

ność. Zabrano jego bieliznę do prania. Tylko jego – wyjątkowo. Ten na pozór nic nieznaczący fakt utwierdził go w przekonaniu, że zbliża się przełom w jego życiu. Nie mógł od tej chwili zasnąć.

W poniedziałek rano został zawezwany do kancelarii, wprowadzony do gabinetu naczelnika więzienia [...], który osobiście zakomunikował mu, że jest wolny” [149].

Zwolnienie Piaseckiego spowodowało niezwykłą eksplozję więziennej grafomanii. Skazani nabrali przekonania, że jest to jedyna droga do wolności, w związku z czym wielu z nich zaczęło pisać. I już niebawem personel placówek penitencjarnych szczerze przeklinał Sergiusza i jego powieści...

„[...] władze więzienne zawałone są rękopisami więźniów – donosiła prasa – którzy wobec niedawnego zwolnienia Sergiusza Piaseckiego rzucili się masowo do produkcji »literackiej«, spodziewając się, że im to ułatwi przedterminowe zwolnienie. Grafomania szerzy się w więzieniach w sposób niebywały. Naczelnicy więzień, którzy z obowiązku służbowego muszą te rękopisy cenzurować, przeżywają obecnie te same udręki, które od lat są udziałem redaktorów i dyrektorów teatrów zmuszonych przeglądać znoszone im zwały grafomańskich rękopisów autorów przebywających na wolności” [150].

NA WOLNOŚCI

Zaraz po wyjściu z więzienia Piasecki wysłał do Wańkowicza telegram, w którym podziękował mu „za zdjęcie z krzyża”. Opieka wydawnictwa była mu w pierwszych miesiącach bardzo potrzebna, albowiem wieloletni

149 – Za: S. Piasecki, *Autodenuncjacja*, s. 63.

150 – Za: K. Polechoński, *op. cit.*, s. 53.

pobyt w więzieniu spowodował, że miał duże problemy adaptacyjne.

„Ten gwar, hałas, turkot kół – zwierzał się dziennikarzowi »Kuriera Porannego« – ta bezplanowość ulicznego ruchu po tylu latach życia w ciasnej celi więziennej, życia uregulowanego do najdrobniejszych szczegółów regulaminem i komendą strażnika, po bezgranicznej monotonii spacerów odbywanych na kilku zaledwie metrach kwadratowych powierzchni, kiedy jedynym punktem oparcia był wąty kark poprzednika – męczy, nie pozwala na skupienie, rozprasza myśli. [...] W pierwszym dniu wolności czuję się jakoś dziwnie... głupio. Wszystko jest nienaturalne, nielogiczne. Na przykład okno w moim pokoju hotelowym bez kraty i otwarte. Mimo woli chciałoby się wyskoczyć przez nie i... uciec”[151].

Wańkowicz i jego wydawnictwo zadbali o byłego więźnia. Piaseckiego umieszczono w podwarszawskiej willi, gdzie zapewniono mu opiekę lekarską. Piasecki miał dużą niedowagę (około 15 kilogramów), a ze względu na gruźlicę potrzebował zmiany klimatu. Przed wyjazdem w góry zdążył jeszcze odwiedzić swojego dobroczyńcę i zrobił wtedy na nim ogromne wrażenie.

„Kiedy żona weszła do salonu – wspominał Wańkowicz – uderzył ją oczami.

&- To pani jest żoną pana Melchiora? – złagodniała mu twarz. – Mam coś dla państwa.

Wybiegł do hallu i wrócił z zawiniątkiem.

&- Przyniosłem państwu Pismo Świąte, które nie opuszczało mnie przez jedenaście lat, i szalik zrobiony z wydzierganych z koszul więziennych nitek, który dla mnie zrobili współwięźniowie.

&- Niechże pan siada.

Siadł i zapanowało krótkie milczenie.

&- Wie pani – powiedział z trudnością – jeszcze się nie nauczyłem być między ludźmi, jeszcze mi ciężko.

&- Tak – powiedziała miękko – po stracie braci długi czas robiło mi przykrość wejście do oświetlonego pokoju.

Przy stole odłożył nóż i widelec:

&- Państwo wybaczą, ale będę jadł mięso łyżką. Przez jedenaście lat jadłem tylko łyżką i wolę pierwsze próby robić bez ludzi.

Ale i łyżką jeść nie mógł, siedział ze ściśniętą ze wzruszenia krtanią; odkorkowałem butelkę wódki.

&- Ale ja przywykłem pić wódkę wprost z butelki – uśmiechnął się blade.

King [Wańkowicz – S.K.] sięgnął po szklankę od piwa i napełnił ją po brzegi:

&- No, może na razie tak wystarczy.

Nastrój zrobił się »morne«. Przy lśniącem stole pokrytym nakryciami z koronek siedział człowiek łapiący powietrze innego ciśnienia”[152].

Niebawem Piasecki udał się do Zakopanego leczyć gruźlicę, a kuracja ta okazała się bardzo skuteczna. Natomiast jej ubocznym efektem była znajomość z Witkacym, który nie mógł sobie odmówić poznania dawnego przemytnika, oficera wywiadu, bandyty i kokainisty.

Panowie przypadli sobie do gustu – Witkacy określał Sergiusza jako „byczego chłopca” i malował jego portrety. Idylla nie trwała jednak zbyt długo, bo wkrótce Witkiewicz zauważył, że „pisarz bandyta” jest „ciekawym chło-

152 – M. Wańkowicz, *Dzieje domeczku. Goście w domeczku*, „Wiadomości”, 26/1948.

pem”, ale „ma już setnie przewrócone we łbie”. Przyznawał jednak, że to, „co przeżył, to jest »coś tak piekielnego«, że wierzyć się nie chce, że on jeszcze w ogóle istnieje”[153].

Potem było jeszcze gorzej. Najwyraźniej Sergiusz miał zbyt silną osobowość, by Witkacy mógł go na dłuższą metę tolerować. Witkiewicza szczególnie mocno zirytowała dedykacja na *Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy*, w której Piasecki przedstawił się jako „król granicy i bóg nocy, który stoczył się do poziomu literata polskiego”. W efekcie doszło do zerwania ich znajomości.

„Sierioża jest skończone bydlę – irytował się Witkiewicz – na kartkę z różnymi kwestiami istotnymi napisał list dający mi do zrozumienia, że niepotrzebnie ja, nędzny robak, wtrącam się w psychikę geniusza z moimi radami. Ani słowa o tym, co pisałem, umyślnie nie napisał”[154].

Tymczasem Piasecki na zawsze zapamiętał znajomość z „demonem Zakopanego” i nawet po latach nie potrafił się otrząsnąć spod jego wpływu.

„Nie był to mag, demon, zboczeniec, cynik... jak twierdziło wielu błaznów kawiarnianych. Był to wielki, wielostronny artysta o potężnym mózgu. [...] Kochał Sztukę, nie sztuczki jarmarczne. Dlatego był znieawidzony, poniżany, szkalowany. Syte psy nienawidzą głodnego wilka. Głodny wilk nie zamieni swej wolności spojrzenia na żadną sobaczą wygodę”[155].

W ŚWIECIE LITERATURY

153 – Za: J. Degler, *Witkacego portret wielokrotny*, Warszawa 2009, s. 124.

154 – Za: *ibidem*, s. 462.

155 – S. Piasecki, *Autodenuncjacja*, s. 39.

Po wyjściu z więzienia Piasecki nie marnował czasu. Dość szybko ukazał się *Piąty etap*, a następnie jego kontynuacja – *Bogom nocy równi*. Powieści zdobyły ogromną popularność, a Sergiusz stał się jednym z najbardziej poczytnych polskich autorów.

Unikał jednak spotkań autorskich oraz bezpośrednich kontaktów z czytelnikami. Preferował anonimowość, tłumacząc, że „przez wiele lat życia pracował w różnych »konspiracjach«” i „że nie wolno bez koniecznej potrzeby afiszować się publicznie”. Toteż gdy pojawił się na jednym z odczytów Wańkowicza, jego obecność wzbudziła prawdziwą sensację.

Nawiązał kontakt z grupą lewicowych lwowskich literatów, jednak najbliższe stosunki połączyły go ze środowiskiem artystycznym Wilna. Tamtejsze „Słowo” opublikowało kilka jego artykułów i przeprowadziło z nim wywiad. Piasecki spotykał się również z redaktorem naczelnym tego pisma Stanisławem Catem-Mackiewiczem. Przy okazji poznał jego młodszego brata Józefa, co będzie miało poważne konsekwencje w przyszłości.

„W Wilnie [...] zaprzyjaźnił się z księdzem Śledziewskim, kapelanem wojskowym, znakomitym znawcą sztuki – pisała jego znajoma Jadwiga Karbowska. – [...] Piasecki ufał mu bezgranicznie. Jeśli »Śledź« powiedział: »To opowiadanie jest słabe«, Piasecki darł kartki i wrzucał do kosza”[156].

Dużo czasu spędzał na wędrowniczkach po kraju, jednak zgodnie z dżentelmeńską umową unikał polsko-sowieckiego pogranicza. Pod koniec lata 1938 roku przebywał przez kilka tygodni nad jeziorem Narocz, blisko pół roku gościł też w majątku Wandy Rojcewiczowej w Rohotnej na Nowogródzczyźnie, gdzie pisał *Bogom nocy równi*.

W tym samym czasie zdobył międzynarodowe uznanie, gdyż *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* został przetłumaczony na 15 języków. Piasecki nie otrzymywał jednak z tego tytułu żadnych gratyfikacji, zgodnie bowiem z warunkami dżentelmeńskiej umowy nadal dostawał tylko miesięczną pensję we wcześniej ustalonej wysokości. Sprawa ta miała swój dalszy ciąg już po wojnie, gdy przebywający na emigracji Piasecki chciał skorzystać z należnych mu tantiem. Wówczas okazało się, że w więzieniu podpisał umowę pozbawiającą go praw autorskich do wydań obcojęzycznych. Było to powodem pretensji Piaseckiego pod adresem właścicieli wydawnictwa Rój.

Pisarz rzeczywiście mógł czuć się oszukany przez swoich dobroczyńców, choć z pewnością pamiętał, że gdyby nie Rój, do końca wyroku pozostałby w więzieniu. Wańkowicz nie był w stanie przewidzieć, że niebawem wybuchnie wojna i że za kilka lat obaj z Piaseckim znajdą się na emigracji. Zapewne planował, że jeszcze przez wiele lat będzie wypłacał swojemu podopiecznemu godziwe miesięczne wynagrodzenie. Z całą pewnością dużo na Piaseckim zarobił, a sprawę wydań obcojęzycznych być może potraktował jako rodzaj prowizji za pomoc w przedterminowym zwolnieniu Sergiusza z więzienia. Można go za to potępiać, ale jednocześnie nie wolno zapominać, że bez zaangażowania Wańkowicza Piasecki nigdy nie zdobyłby uznania jako pisarz i zapewne jeszcze przed końcem wyroku zmarłby na gruźlicę na Świętym Krzyżu.

SPRAWA JÓZEFA MACKIEWICZA

„Gdy wybuchła wojna 1939 [roku] – pisał Piasecki do Komisji Weryfikacyjnej Armii Krajowej – wysłałem podanie do MSW o przyjęcie mnie do wojska. Gdy bolszewicy

uderzyli na Polskę, wstąpiłem jako ochotnik do batalionu KOP-u [Korpusu Ochrony Pogranicza] w Rykontach, nad granicą litewską. Z batalionem dotarłem do Grodna, które było już opanowane przez bolszewików. Dowódca batalionu [...] skierował swoją formację na Druskienniki, by internować się na Litwie. Ja z dziesięcioma innymi oficerami i podoficerami oddzieliłem się i udaliśmy się w kierunku Warszawy, która się jeszcze broniła. [...] Gdy dotarliśmy do Białegostoku, dowiedzieliśmy się, że Warszawa skapitulowała. Wówczas rozproszyliśmy się” [157].

Piasecki wrócił do Wilna, które Sowietzi przekazali Litwinom. Choć załatwiono mu holenderską wizę, odmówił wyjazdu na zachód Europy, albowiem uznał, że nie może porzucić okupowanego kraju. Wkrótce rozpoczął działalność w strukturach Związku Walki Zbrojnej, przekształconego następnie w Armię Krajową. Nigdy jednak nie złożył przysięgi, uważając, że nie może się zobowiązać do bezdyskusyjnego wykonywania rozkazów. Przełożeni zaakceptowali tę decyzję Piaseckiego – uznali go bowiem za niezwykle cenny nabytek dla wileńskiego podziemia.

Sergiusz współpracował z Biurem Informacji i Propagandy, a następnie z Kierownictwem Dywersji (Kedyw). Cały czas posługiwał się fałszywymi dokumentami, często też zmieniał miejsce zamieszkania. Szczęście mu sprzyjało, bo nawet gdy został aresztowany przez okupantów, udało mu się zbiec z więzienia. W pierwszych miesiącach 1943 roku został dowódcą oddziału egzekucyjnego zajmującego się likwidacją szpiegów i zdrajców. Osobiście planował i nadzorował akcje, a zdarzało się nawet, że sam występował w roli egzekutora.

„[...] wykonanie wyroku śmierci na Ancerewiczu [redaktor miejscowej »gadzinówki«] zorganizowałem ja.

Wyrok wykonano w marcu 1943 roku w przedsionku kościoła św. Katarzyny, który wyzyskałem złośliwie jako pułapkę, bo Ancerewicz wykorzystywał go jako punkt obserwacyjny przed wejściem do domu. Wyrok wykonali »Fakir« [Sergiusz Kościółkowski] i T5 [Witold Milwid]. Kierownikiem Egzekutywy był »Drobinka«. Plan i rozpracowanie moje”[158].

Piaseckiego uważano za człowieka „bezwzględnie śmiałego, bezwzględnie odważnego”. Dostrzegano, że „cieszył się niejako ze swojego patriotyzmu i poświęcenia dla sprawy”, potrafił zorganizować i przeprowadzić akcje, których realizacji inni w ogóle by nie podjęli. Podległych sobie ludzi trzymał w żelaznej dyscyplinie, co stanowiło pewną nowość w obyczajach tego oddziału.

„[...] inaczej nie można było poradzić [sobie] z jego członkami, którzy uchylali się od kontaktów, składali fałszywe raporty, stawiali fantastyczne wymagania: auta, motocykle, karabiny maszynowe, duże pieniądze itp. Od marca zaczęto wykonywać zorganizowane przeze mnie akcje. W kilku z nich brałem udział. Jednego zamachu – nieudanego – dokonałem sam, bo nie chciałem ryzykować życia swych ludzi”[159].

Jednak Piasecki nie był wyłącznie bezwzględnym i bezdusznym wykonawcą wyroków, bo doskonale wiedział, że w warunkach okupacyjnych podziemne sądy skazywały również niewinnych ludzi. Trudno było przeprowadzić właściwe dochodzenie, liczył się czas, często decydowała intuicja sędziów. Czasami wchodziły w grę osobiste porachunki. Na Wileńszczyźnie głośnym echem odbiła się egzekucja Danuty Wyleżyńskiej, oskarżonej o kolaborację z Niemcami córki profesora Konserwatorium Wileń-

158 – Za: *ibidem*, s. 57.

159 – Za: *ibidem*, s. 56–57.

skiego. Dziewczyna prowadziła wyjątkowo rozrywkowy tryb życia, ale do gestapo nie donosiła. Uznano jednak, iż niezbite dowody nie są konieczne, pojawiło się jakieś „prywatne oskarżenie”, a następnie opinia, że „przecież całe miasto wie”.

Wyleżyńską próbowano zastrzelić trzy razy i w końcu zabito ją w czerwcu 1943 roku na oczach jej matki. Piasecki dobrze pamiętał tę sprawę, a po latach przytoczył ją w powieści *Dla honoru organizacji*, przypisując jej głównemu bohaterowi swoje własne rozterki.

„Często nawiedzała go myśl: »Czy to wszystko jest sprawiedliwe? I często odzywał się w jego wspomnieniach ów rozpaczliwy krzyk, który rozlegał się w murach Ostrej Bramy... krzyk matki, na której oczach zabito dziecko. »Aby chociaż tamto było słuszne«”[160].

W tym samym w czasie wileńska AK wydała wyrok śmierci na Józefa Mackiewicza, któremu zarzucono kolaborację. Pisarz miał współpracować z „Gońcem Codziennym”, którego szefem był wspomniany już Ancerewicz. Wyrok został przekazany do wykonania, jednak Mackiewicz znalazł swoich obrońców.

„[...] Ostro zaprotestowało kilku członków Organizacji – wspominał Piasecki – uważając, że wyrok nie jest oparty na ścisłych danych, lecz na osobistych animozjach pewnych ludzi ze względu na działalność polityczną, antysowiecką Józefa Mackiewicza. Sprawa zatoczyła szeroki krąg. [...] Udowodniono, że jeden z oskarżycieli Mackiewicza był »czerwony« i współpracował z pismem bolszewickim”[161].

Mackiewicz nie zamierzał biernie poddawać się loso-

160 – S. Piasecki, *Dla honoru organizacji*, Łomianki 2013, s. 76.

161 – Za: G. Eberhardt, *Pisarz dla dorosłych. Opowieść o Józefie Mackiewiczu*, Wrocław, b.d.w., s. 230.

wi. Wystosował „list do Sądu Tajnego” wskazując w nim na absurdalność oskarżenia i podkreślając, że cała sprawa jest komunistyczną intrygą. Jednocześnie zapowiedział, że nie będzie się ukrywać, tylko, jak na polskiego patriotę przystało, podda się decyzjom Państwa Podziemnego.

Piasecki w porozumieniu ze swoimi przełożonymi nie wykonał tego wyroku, dzięki czemu Mackiewicz ocalał. Niebawem zresztą Sergiusz miał go uratować po raz drugi, tym razem przed gestapo.

Mimo że na Mackiewiczzu nadal ciążył wyrok (jego wykonanie zawieszono do czasu zakończenia wojny), za zgodą władz podziemnych wszedł on w skład międzynarodowej komisji wysłanej do Katynia w celu obejrzenia mogił polskich oficerów pomordowanych przez Sowie-tów. Jego raport na ten temat był przechowywany przez Zygmunta Andruszkiewicza, szefa Biura Informacji i Propagandy wileńskiej AK (oficjalnie pracował w jednej z okupacyjnych instytucji). Gdy Andruszkiewicz został aresztowany przez gestapo, nad Mackiewiczem zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. I wtedy znów interwenio-wał Piasecki – włamał się do biura i wyniósł stamtąd całą dokumentację. Dzięki tej akcji ocalał nie tylko Mackiewicz, ale też wielu innych współpracowników podziemia. Sam Andruszkiewicz nie wydał nikogo, gdyż podczas śledztwa popełnił samobójstwo.

JADWIGA WASZKIEWICZ

W 1941 roku Piasecki po raz pierwszy pojawił się w majątku Barcie w pobliżu podwileńskich Zielonych Jezior. Poznał tam 31-letnią córkę właścicieli, Jadwigę Waszkiewicz. Absolwentka prawa Uniwersytetu im. Stefana Bato-rego w Wilnie miała za sobą burzliwą młodość. Przez kil-

ka lat była kochanką Czesława Miłosza, gdy jednak zaszła z nim w ciążę, poeta porzucił ją, nie interesując się losami dziecka. Aby uniknąć skandalu, dziewczynkę oddano do adopcji, a Jadwiga wyjechała do Łucka, gdzie podjęła pracę. Po wybuchu wojny powróciła w rodzinne strony i właśnie tam poznała Piaseckiego.

„Był bardzo wymowny – opowiadała wnuczka Sergiusza, Ewa Tomaszewicz – potrafił zainteresować, opowiadać, miał dużą fantazję. Śpiewał piękne dumki białoruskie. [...] Spędzał z babcią wiele czasu, wspólnie pracowali, spędzali wiele czasu na rozmowach”[162].

Dwoje rozbitków życiowych szybko znalazło wspólny język. Piasecki często bywał w Barciach, przez pewien czas pracował tam jako robotnik rolny. Jego znajomość z Jadwigą stawała się coraz bliższa.

„Pobrali się w 1942 roku – kontynuowała Tomaszewicz. – Wśród dokumentów pozostawionych przez Jadwigę [...] znajduje się wystawiony [...] w języku litewskim odpis aktu zawarcia małżeństwa pomiędzy Józefem Makarewiczem [takiego nazwiska używał wówczas Piasecki – S.K.] a Jadwigą Krystyną Waszkiewicz. [...] Jakiś czas później zamieszkał razem z Jadwigą w Wilnie. 17 czerwca 1944 roku urodził się ich syn – Władysław”[163].

W tym czasie Piasecki zmienił wyznanie z prawosławnego na katolickie, a wnuczka sugeruje, że uczynił to pod wpływem Jadwigi. Niektórzy mieli jednak na ten temat inne zdanie, doszukując się w konwersji Sergiusza jego ostatecznego przyznania się do polskości.

„Zdaje się był Rosjaninem i prawosławnym – tłuma-

162 – E. Tomaszewicz, *Gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy. Kobiety w życiu i twórczości Sergiusza Piaseckiego*, Warszawa 2003, s. 144.

163 – *Ibidem*, s. 121.

czył Józef Mackiewicz. – Teraz stał się Polakiem, katolikiem i patriotą. To potrójne zerwanie z przeszłością wycisnęło pieczęć na jego późniejszym życiu” [164].

Tymczasem wcale nie jest pewne, czy Jadwiga i Sergiusz zawarli małżeństwo, czy też złożyli tylko oświadczenie w tej sprawie w odpowiednim urzędzie. Badacze są podzieleni w opiniach na ten temat.

Nie zmienia to jednak faktu, że związek z Jadwigą był pierwszym poważnym związkiem w życiu Sergiusza. Jego mocno skomplikowana biografia i długi pobyt w więzieniu spowodowały, że ten 40-letni mężczyzna relacje z kobietami traktował dotąd czysto instrumentalnie. Teraz to się zmieniło i można podejrzewać, że Jadwiga była pierwszą kobietą, którą darzył uczuciem.

Zapewne stąd wzięła się jego późniejsza niechęć do Czesława Miłosza – nie potrafił wybaczyć mu skrzywdzenia kobiety, którą później sam pokochał. Poza tym mężczyźni dość rzadko lubią wcześniejszych partnerów swoich żon czy kochanek... Piasecki oczywiście nie ujawniał prawdziwych powodów swojej antypatii do Miłosza i wołał, by uważano, że jej przyczyny miały charakter czysto polityczny.

Znajomość z Piaseckim nie przyniosła Jadwidze szczęścia. W maju 1945 roku Sergiusz, legitymujący się wtedy dokumentami wystawionymi na nazwisko Tomaszewicz, wyjechał z Wilna w grupie przesiedleńców. Miesiąc później miasto nad Wilią opuściła Jadwiga z synem. Najpierw zatrzymała się w Toruniu, a potem przeniosła się do Krosna Odrzańskiego. W tym czasie jej partner ukrywał się przed Urzędem Bezpieczeństwa.

„W Polsce moje książki były przez bolszewików niszczone”

czony – wspominał. – Chowano je. Krążyły nawet w odpisach ręcznych. Były poszukiwane przez organy UB [...]. Aresztowano nawet ludzi, którzy mnie znali. Były przypadki aresztowania osób o identycznych z moim nazwiskach”[165].

Piasecki doskonale wiedział, że ukrywając się przed UB, nie będzie mógł pisać, a brak wznowień jego książek oznaczał katastrofę finansową. Zdawał sobie sprawę, że aresztowanie przez komunistów oznacza dla niego śmierć w kazamatach bezpieki. Dlatego też postanowił opuścić kraj.

Pod koniec kwietnia 1946 roku umieszczono go w konwoju ciężarówek UNRRA, które wiozły członków rodzin polskich wojskowych przebywających na Zachodzie. Podróż przebiegła bez większych komplikacji – czescy celnicy wzięli łapówkę, a Amerykanie nic nie sprawdzali. Piasecki był bezpieczny.

„[...] zmusiła mnie do ucieczki z Polski ta okoliczność – tłumaczył kilka lat później – że jako literat, który ceni wolność słowa, nie mogłem w Polsce wydrukować ani jednego własnego utworu. Zbiegłem do Europy, aby mieć możliwość pracować tu literacko i w miarę sił przyczynić się do uwolnienia od okupantów naszego nieszczęśliwego Kraju”[166].

Jadwiga pozostała w Polsce. Przyjęła ostatnie nazwisko Sergiusza (Tomaszewicz) – dlatego właśnie tak nazywają się jej syn oraz wnuczka. Osiedliła się wraz z dzieckiem i rodzicami w Giżycku, gdzie pracowała jako urzędniczka bankowa. Przez wiele lat nie zdradzała synowi, kto był jego prawdziwym ojcem. Korespondowała z partnerem, odmówiła jednak wyjazdu na Zachód, nie chcąc po-

165 – Za: K. Polechoński, *op. cit.*, s. 62–63.

166 – Za: *ibidem*, s. 64.

rzucać swoich rodziców. Wiele lat po śmierci Piaseckiego, gdy Miłosz dostał Nagrodę Nobla i przyjechał do kraju, wznowiła z nim kontakt. Wymieniali listy, myśleli nawet o spotkaniu na terenie Jugosławii. Przeszła jednak zawał serca i plany trzeba było odłożyć na później. Nigdy więcej nie zobaczyła swojego wiarołomnego kochanka, chociaż korespondowali z sobą do końca jej życia. Wybaczyła mu dawne grzechy i nawet go pocieszała, gdy pisał o swoich wyrzutach sumienia wobec niej. Zmarła w kwietniu 1989 roku.

NA OBCZYŻNIE

Piasecki trafił do Włoch do 2 Korpusu Polskiego generała Andersa. Spotkał tam wielu znajomych, a wśród nich Melchiora Wańkowicza i Józefa Mackiewicza.

„W Rzymie, po wojnie – wspominał Mackiewicz – gdzieśmy niemało wypili wspólnie grappy i wina, dumnie nosił swój mundur podporucznika. Choć żalił się, że panowie oficerowie czynią mu niejakię wstręty ze względu na jego przeszłość. Zdaje się też, było to jego osobistą tragedią, że miał trudności z weryfikacją swojego stopnia oficerskiego”[167].

Piasecki mógł nosić mundur podporucznika, jednak z powodu kryminalnej przeszłości nie został oficjalnie przyjęty do służby. Nie miał środków do życia, więc gdy zobaczył w księgarni włoski przekład *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*, skontaktował się z wydawcą. Dopiero wtedy dowiedział się, że jego książka jest w Europie bardzo popularna i tłumaczona na wiele języków. Udało mu się uzyskać niewielkie odszkodowanie, z którego żył przez kilka miesięcy, ale na poważną batalię sądową nie miał

pieniędzy. I właśnie w tym czasie jego stosunki z Wańkowiczem uległy gwałtownemu pogorszeniu. Sergiusz był wdzięczny Wańkowiczowi za uwolnienie z więzienia i umożliwienie startu literackiego, ale nie ukrywał, że czuje się wykorzystany. Ogłosił nawet oficjalnie, że Wańkowicza nie uważa już „za swojego przyjaciela” ani tym bardziej „dobrodzieja”. Oświadczył wręcz, że Wańkowicz jest „jego wrogiem”.

Razem z 2 Korpusem trafił do Glasgow, a następnie osiadł w Londynie. Z kraju przywiózł rękopisy książek, nad którymi pracował podczas okupacji, i teraz mógł oddać je do druku. Na rynku księgarskim pojawiła się *Trylogia złodziejska* (*Jabłuszko, Spojrzę ja w okno..., Nikt nie da nam zbawienia...*), a później następne tytuły. Sprzyjała mu sytuacja, bo polscy wydawcy na Zachodzie potrzebowali nowych utworów beletrystycznych, gdyż nie wszyscy emigranci chcieli czytać wyłącznie o polityce i historii najnowszej.

„[...] musieliśmy szukać kompromisu między naszymi pomysłami a oczekiwaniami nabywców – tłumaczył Jerzy Giedroyc. – Toteż wydaliśmy wiele książek w celach zarobkowych. Dotyczy to powieści historycznych Sienkiewicza i Sieroszewskiego, powieści Struga czy trzech powieści Sergiusza Piaseckiego, który, gdy przyjechał z Włoch, okazał się pisarzem bardzo popularnym w wojsku. Okazał się również bardzo zabawny jako człowiek i w jakiejś mierze zaprzyjaźniliśmy się z nim [...]” [168].

Instytut Literacki nie płacił jednak zbyt wiele, więc Piasecki ciągle miał problemy finansowe. Wielokrotnie prowadził z zachodnimi producentami rozmowy na temat ekranizacji *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*, ale nie za-

kończyły się one powodzeniem. Publikował w prasie emigracyjnej, jednak jego dochody były dalekie od zadowalających. Zapewne wpływ na to miały również cechy charakteru pisarza, który niespecjalnie nadawał się do promocji literackiej.

„Był skromny – przyznawał emigracyjny dziennikarz Janusz Kowalewski – nie pchał się nigdzie do zaszczytów, wyróżnień. Był nawet chorobliwie skromny. Prosiłem go kiedyś bardzo gorąco, by wziął udział w zbiorowym wieczorze autorskim, który organizowałem z ramienia związku pisarzy. Przysłał utwór, ale odmówił osobistego udziału. »Boję się – pisał – spojrzeń ludzkich, w których czytam tylko chęć zobaczenia byłego przestępcy, więźnia Świętego Krzyża«. Publicznie nie występował – o ile wiem – nigdy”[169].

POPUTCZIK MIŁOSZ

Piasecki nigdy nie zapomniał krzywdy Jadwigi, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, wyrównał rachunki z Miłoszem. W 1951 roku poeta poprosił o azyl polityczny we Francji, nie zamierzał jednak utożsamiać się z polską emigracją. Swoje poglądy przedstawił na łamach „Kultury”, wypowiadał się również w „Głosie Ameryki” i w radiu francuskim. Pomimo zerwania z PRL-em zadziwił otoczenie dość łagodnym stosunkiem do stalinizmu, wykazywał też poważne braki w wiedzy politycznej. Nic nie wiedział o stalinowskich zbrodniach w Polsce, kwestionował istnienie sowieckich łagrów, upierał się, że „marksizm wprowadził Polskę z zaścianka”.

„[...] dla Miłosza przez cały czas byliśmy dobrymi fa-

szystami – potwierdzał Jerzy Giedroyc. – [...] Pierwsze nasze z nim dyskusje dotyczyły artykułu *Nie!*, który przekreślał rolę i znaczenie emigracji jako takiej. Mój stosunek do niego wynikał z przekonania, że jest on wielkim poetą – zawsze byłem pod wrażeniem jego tomu *Ocalenie* – co sprawia, że jest naszym obowiązkiem zajęcie się nim, nie zważając na jego złośliwości i na wypowiedzi określające drukowanie na emigracji jako składanie skarbów do dziupli; ostatecznie ta dziupla okazała się całkiem skuteczna, i to nie tylko dla niego” [170].

Miłosz znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, bo emigracja uważała go za komunistę, natomiast władze PRL-u – za zdrajcę i sługusa imperialistów. Obie strony były natomiast zgodne co do tego, że jest znakomitym poetą – nie był to jednak zbyt duży kapitał początkowy dla człowieka zaczynającego życie za żelazną kurtyną.

Dla Piaseckiego było to idealną okazją do zemsty. Niebawem na łamach londyńskich „Wiadomości” ukazał się jego artykuł zatytułowany *Były poputczyk Miłosz*.

„Miłosz pisze, że służył Krajowi, chociaż służył Bierutowi. Pisze, że służył, bo »wszyscy służą«. Ale jak służą? Jeśli robotnik czy urzędnik nawet wstępuje do PPR-u, aby wyżyć, jeśli nawet w pochodach nosi portret Stalina – którego jeśliby mógł, udusiłby własnymi rękami – to jest to nieszczęście, w które miłosze go wtrącili. Za Niemców wielu ludzi też służyło, ale orientowaliśmy się doskonale w charakterze ich służby. Jest różnica między służbą, wysługiwaniem się, współpracą. A już zupełnie czym innym jest przynależność do aparatu rządowego, administracyjnego albo policyjnego. Wiele słów się pomieszało, wiele straciło znaczenie, wiele się wypacza. Ale czy możemy so-

bie wyobrazić Polaka, który by w razie zwycięstwa Hitlera i stworzenia przez niego przemocą w Polsce ustroju nazistowskiego reprezentował ten ustrój za granicą jako attache kulturalny i twierdził poważnie, że służy Polsce? Jakbyśmy nazwali takiego typu?"[171].

Piasecki twierdził nawet, że Miłosz jako emigrant jest bardziej niebezpieczny dla wolnego świata niż w czasach, gdy był dyplomatą z ramienia PRL-u. Wówczas bowiem wypełniał polecenia warszawskiej centrali, a teraz głosi swoje przekonania z własnej, nieprzymuszonej woli. Bagatelizuje zbrodnie reżimu, uważając je za produkt wrogiej propagandy, podnosi natomiast komunistyczne sukcesy w odbudowie kraju.

„Słyszałem, że Tuwim jest jeszcze gorszy niż Miłosz – podsumowywał Piasecki – bo występuje z histerycznymi wierszami na cześć Stalina, Armii Czerwonej, obecnej Rosji. Trudno się z tym zgodzić. Robota Tuwima jest prostacka. Taki »słowik« Stalina jest zrozumiałym dla każdego błaznem, nad którym można się jedynie litować.

A im głośniej i przesadniej będzie czkał i rzygał na cześć Stalina, tym więcej ośmiesza i siebie, i Stalina. Mimo wszystko jednak w galerii naszych poetów Tuwim będzie miał wielki portret, u którego stóp przytuli się maleńki portrecik Miłosza. Ale w galerii poputczików Miłosz będzie miał wielki portret, Tuwim zaś spocznie u jego stóp, nie dorastając mu do pięt"[172].

Wydaje się, że przewidywania Piaseckiego w kwestii literackiej przyszłości Miłosza nie do końca się sprawdziły, co zdaje się potwierdzać literacka Nagroda Nobla przyznana poecie 30 lat później. Inna sprawa, że jego poglądy

171 – S. Piasecki, *Były poputczik Miłosz*, „Wiadomości”, 44/1951.

172 – *Ibidem*.

polityczne jeszcze nieraz miały wzbudzać poważne kontrowersje, a wielu prawicowych publicystów uważało go i nadal uważa za zdrajcę sprawy polskiej. Wątpliwości wzbudzało również życie prywatne Miłosza, a wszystko to razem sprawiło, że po jego śmierci protestowano przeciw pogrzebaniu go w Krypcie Zasłużonych na krakowskiej Skalce.

Atak na Miłosza był właściwie jedynym przejawem publicznej aktywności Piaseckiego na emigracji. Niebawem ponownie wycofał się w cień, koncentrując się na pisaniu kolejnych powieści. Opublikował jeszcze kilka tytułów, z których największe zainteresowanie wzbudziły *Zapiski oficera Armii Czerwonej* – niezwykle ostra i celna satyra na stosunki panujące w sowieckim wojsku. Po latach książka ta stała się w kraju prawdziwym bestsellerem drugiego obiegu, a jej pierwsze zdania chętnie cytowali niektórzy złośliwi studenci:

„Noc była czarna jak sumienie faszysty, jak zamiary polskiego pana, jak polityka angielskiego ministra. Lecz nie ma siły na świecie, która by powstrzymała żołnierzy niezwykłej Armii Czerwonej idących dumnie i radośnie wyzwalać z burżuazyjnego jarzma swych braci: chłopów i robotników całego świata”[173].

Niestety, zagraniczne edycje powieści nie przynosiły większych pieniędzy, niewiele też płaciły redakcje emigracyjnych czasopism. Piasecki pracował fizycznie, a chcąc ograniczyć wydatki, zmieniał mieszkania na coraz tańsze i mniejsze, po czym ostatecznie wyprowadził się z Londynu.

„W roku 1952 przyjechałem do Hastings – wspominał – nie dlatego, że »nad morzem«, lecz dlatego, że znała-

173 – S. Piasecki, *Zapiski oficera Armii Czerwonej*, Łomianki 2002, s. 5.

złem (przez ogłoszenie w gazecie) pokoik na »topku« wielkości dużej szafy za 10 szylingów tygodniowo. Potem miałem wiele przygód z pokojami... zwiększano mi komorne, więc opuszczałem je. [...] Same przeprowadzki mnie rujnowały, zabierały czas i były kosztowne”[174].

Zdawał sobie sprawę z tego, że decyzja o poświęceniu się pracy pisarskiej była błędem z ekonomicznego punktu widzenia. Jednak gdy ją podejmował, nie wiedział jeszcze, że na emigracji nawet popularny pisarz skazany będzie na nędzę. Na Zachodzie działały zasady wolnego rynku, wydawnictwa nie otrzymywały dotacji, a grono odbiorców było dość ograniczone. Wielu polskich emigrantów żyło bowiem w biedzie i nie miało pieniędzy na zakup książek.

„Gdy przyjechałem do Anglii w 1946 roku – pisał Piasecki do znajomego – mogłem znaleźć dobrą pracę w ciągu pierwszych lat. Mogłem być nauczycielem języka rosyjskiego, który znam doskonale. Mógłbym uzyskać pracę w radio albo w redakcji pisma lub w drukarni. W każdym zawodzie byłoby mi lepiej niż w obecnym, ale się go trzymam – jak ranny żołnierz barykady”[175].

W 1962 roku z niewiadomych przyczyn urwał się jego kontakt z rodziną w kraju. Piasecki żył odtąd niemal całkiem samotnie. Jego jedynym bliższym znajomym był plastyk Ryszard Demel. Piasecki pomagał mu czasem w jego pracowni witraży, panowie spędzali razem wiele czasu. I to właśnie Demelowi przekazał w testamencie prawa autorskie do swoich książek, powierzając mu jednocześnie swoje prywatne archiwum. Dzięki temu mógł on w wolnej Polsce wydać wszystkie powieści Piaseckiego.

174 – Za: K. Polechoński, *op. cit.*, s. 74.

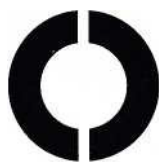
175 – Za: *ibidem*, s. 73.

Ostatnim dziełem Sergiusza była dwutomowa *Wieża Babel*, której akcja toczy się w okresie okupacji na Wileńszczyźnie. W jej pierwszej części (*Człowiek przemieniony w wilka*) opisał losy Jadwigi Waszkiewiczówny, przy okazji ukazując Czesława Miłosza w wyjątkowo ciemnych barwach. *Wieża Babel* miała być początkiem trylogii okupacyjnej, ale Piasecki nie zdążył już tego pomysłu zrealizować. Zmarł na chorobę nowotworową we wrześniu 1964 roku. Pochowano go na cmentarzu w Hastings, a na nagrobku wyryto wizerunek gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy, która niegdyś towarzyszyła mu podczas nocnych wypraw przemytniczych, patronując bodaj najszczęśliwszym latom jego życia.



Rozdział V

Przypadek Jerzego Kalibabki





Ofiarą Jerzego Kalibabki padały nie tylko dorastające panienki, ale również ich matki. „Gdy nie miałem ochoty ani na jedną, ani na drugą, spałem w pokoju przejściowym. A gdy obydwie były w pracy, przyprowadzałem sobie do domu różne dziewczyny”. Oczywiście porzucał swoje dobrodziejki bez pożegnania, wcześniej je okradając.

Moje życie nie może być oceniane przez zjadaczy chleba, którzy nigdy prawdziwie nie kochali, ani też przez naukowców, którzy brną w teorii – mówił Jerzy Julian Kalibabka przed rozpoczęciem swojego procesu. – [...] Ja nie jestem przestępcą. Chciałem tylko mieć wszystkie kobiety świata. Wszystkie naraz. Każde następne przeżycie, każda nowa miłość jest smaczniejsza. Dlatego musiałem uwalniać się od poprzednich”[176].

JUREK, SYN RYBAKA

Początki kariery największego „znawcy psychiki kobiet” w dziejach PRL były dość prozaiczne. Pochodził z Dziwnowa, gdzie jego ojciec posiadał własny kuter, a Jerzy miał po nim przejąć rodzinny interes. Edukację zakończył na szkole podstawowej, gdyż w rodzinie panowało przekonanie, że rybakowi więcej nie jest potrzebne. Problem polegał jednak na tym, że młody Kalibabka wcale nie zamierzał spędzić życia na łowieniu i oprawianiu ryb. Uważał, że jest predysponowany do osiągnięcia wyższych celów, i nie lubił pomagać ojcu w pracy. Co prawda po przedwczesnej śmierci rodzica próbował pod naciskiem otoczenia kontynuować rodzinną tradycję, ale zły stan

techniczny kutra posłużył mu za pretekst do zerwania z zawodem. Tłumaczył też, że astma, na którą cierpiał, uniemożliwia mu pracę fizyczną, w rzeczywistości jednak uważał, że „tylko chamy i motory pracują”.

W konflikt z prawem wszedł po raz pierwszy w 1974 roku, mając 18 lat. Został skazany na rok więzienia w zawieszaniu na trzy lata za pobicie oraz kradzież spodni i kurtki dżinsowej. Skłonność do przemocy i modnych ubrań miała mu zresztą pozostać na całe życie.

Matka nie akceptowała takiego zachowania syna, w związku z czym w domu często wybuchały awantury. Po jednej z nich Jerzy postanowił wyjechać z rodzinnej miejscowości.

„W tym momencie skończył się mój dom, który zawsze chciałem kojarzyć z ciepłem rodzinnym, z uczuciem – wspominał. – Gdy straciłem ojca, to zabrakło mi kogoś, kto kierowałby mną. [...] Pływałem na tym kutrze, ale każdego dnia czułem, że się duszę. Codziennie jedno i to samo. Były chwile, że chciałem krzyczeć: ja chcę żyć! To pragnienie życia było silniejsze od tego, co robiłem”[177].

Postanowił przenieść się do dużego miasta. Nie szukał daleko, bo Szczecin wydał mu się dobrym miejscem na rozpoczęcie nowego życia.

„[...] poznałem [tam] dwie prostytutki – zeznawał po latach. – Poznane kobiety wprowadziły mnie w środowisko miejscowych »cinkciarzy«. Zacząłem wtedy handlować obcymi walutami, [...] proceder ten uprawiałem przez okres jednego roku i z tego się utrzymywałem”[178].

Mieszkał u swoich opiekunek, sprzedawał dewizy, którymi płacili im cudzoziemcy, sam również handlował

177 – Za: J. Zajączkowska, *Pieniądze i seks. Uwodzicielski*

»Tulipan«, <http://wiadomosci.onet.pl/natropie/pieniadze-i-seks-uwodzicielski-tulipan/fw5p7>

178 – Archiwum Sądu Rejonowego w Nowym Targu, sygn. akt II K 315/83.

na niewielką skalę. Współlokatorzy zajęły się edukacją towarzyską młodzieńca – pokazały mu, jak należy się modnie ubierać, jaką nosić fryzurę. To właśnie wtedy przyłgęto do niego przezwisko „Tulipan”, bo szybko przestał przypominać niepozornego rybaka z Dziwnowa. W szarej peerelowskiej rzeczywistości zaczął zwracać uwagę swoim wyglądem:

„Był charakterystycznie ubrany – wspominała jedna z jego ofiar – nosił białe buty tzw. pikolaki, spodnie džinsy na zamek błyskawiczny oraz sweter szetland w szachownicę”[179].

Lecz tu pojawił się pewien problem – był tylko drobnym cinkciarzem i zyski z handlu walutą nie wystarczały mu na prowadzenie takiego życia, jakie sobie wymarzył. Okazał się jednak człowiekiem bystrym i na podstawie obserwacji klienteli szczecińskich lokali doszedł do wniosku, że świat jest pełen naiwnych kobiet, co można odpowiednio wykorzystać.

PIERWSZE OFIARY UWODZICIELA

Po latach trudno ustalić chronologię wydarzeń, gdyż sam Kalibabka plątał się w swoich zeznaniach, myląc fakty, nazwy miejscowości oraz imiona ofiar. Nie bez powodu podczas jego procesu posługiwano się dużą mapą Polski, na której zaznaczono jego kolejne przestępstwa. Swoją karierę złodzieja i oszusta erotycznego (o gwałtach nie było jeszcze mowy) rozpoczął w Międzyzdrojach. Poznał tam 25-letnią atrakcyjną kelnerkę, która zaprosiła go do swojego domu. Spędził u niej dwa dni, po czym okradł jej mieszkanie i zniknął. Przeniósł się do Świnoujścia, gdzie na pewien czas został utrzymankiem dwóch niemieckich sióstr, które przyjechały do Polski na wakacje. Musiał dobrze się sprawdzać w tej roli, gdyż układ przetrwał aż do

wyjazdu wczasowiczek. Gdy został sam, nie miał większych problemów ze znalezieniem kolejnej kochanki. Tym razem wybrał starszą od siebie o kilkanaście lat kobietę, u której na kilka tygodni zamieszkał. Znudziła mu się jednak rola żigolaka i wtedy na krótko wrócił do Dziwnowa, gdzie ukradł z turystycznego namiotu dwie pary dzinsów. Większe znaczenie miał jednak fakt poznania niejakiego Grzegorza Szymony. Wspólnie założyli przestępczą spółkę, której celem było okradanie znudzonych, szukających wrażeń urlopowiczek. Najwięcej uwagi zamierzali poświęcić młodym dziewczętom w wieku 15–17 lat, uważając je za najłatwiejszy cel. Zdawali sobie sprawę z tego, że ich potencjalne ofiary nie miały zbyt wielu doświadczeń życiowych i erotycznych, dzięki czemu będą mogli działać bezproblemowo i bezkarnie. Przewidywania te sprawdziły się, a oni szybko osiągnęli sukces w swoim przestępczym procederze. Naiwność ich ofiar była tak wielka, że czasem aż trudno w nią uwierzyć. Tak zdarzyło się w przypadku dwóch nieletnich kelnerek z Międzyzdrojów.

„Po wyjściu z Bursztynowej poszliśmy się przejść – opowiadała 17-letnia Ala – w pewnej chwili [Kalibabka] przewrócił mnie na ławkę i zgwałcił. Zrobił to siłą i po prostu po chamsku, nie dając mi żadnych szans obrony. W drodze powrotnej zaczął mnie przekonywać, że sam nie wie, dlaczego to zrobił – i przekonał mnie, że był to po prostu przypadek. Dlatego zgodziłam się na spotkanie z nim w dniu następnym”[180].

Gwałciciel nawiązał stałe kontakty seksualne również z drugą kelnerką, Haliną, a największą satysfakcję odczuwał wtedy, gdy jedna z nich asystowała przy tym, jak uprawiał seks z tą drugą. Nie dopuszczał możliwości odmowy, a jeśli któraś z kelnerek nie miała ochoty na seks lub asystowanie, zmuszał ją do tego biciem. Przemoc fi-

zyczna była stałym elementem ich współżycia – Kalibabka lubił doprowadzać partnerki do łez tuż przed zbliżeniem.

„On doznaje rozkoszy – potwierdziła Halina – gdy widzi, że kobieta płacze z jego powodu. Wydaje mi się, że ma skłonności sadystyczne, bo przed każdym stosunkiem bił dziewczyny”**[181]**.

Mimo to żadna z nich nie zamierzała rezygnować z życia u boku kochanka, w związku z czym obie ruszyły z nim w Polskę. Towarzyszył im Szymona, a także kolejny członek złodziejsko-erotycznego gangu – Zbigniew Jędrzaczak. Dziewczyny miały się rozglądać za bogatymi cudzoziemcami, których można by okraść, natomiast męska część grupy zajęła się wykorzystywaniem dziewczęcej naiwności.

„Poznaliśmy tam na zabawie dwie dziewczyny w wieku 20-25 lat – wspominał Kalibabka pobyt w Krynicy Morskiej. – Zaprosiliśmy je do siebie i uprawialiśmy miłość. Kochaliśmy się do rana. W trakcie tej nocy zamienialiśmy się dziewczynami. Rano dały nam do przymierzenia swoje pierścionki. Najpierw wyszedł Zbyszek, niby do toalety, która mieściła się na zewnątrz, potem ja poszedłem za nim. Zarówno on, jak i ja mieliśmy pierścionki. Już nie wróciliśmy”**[182]**.

Niebawem jednak przestępczy gang się rozpadł, gdyż Kalibabka pokłócił się z Jędrzakiem, a Szymona złamał nogę. Młodociane kelnerki nie nadawały się do uprawiania złodziejskiego procederu, zatem zostały odprawione. Jerzy postanowił działać wyłącznie na własny rachunek i wraz z przygodnie poznaną Mariolą G. ruszył w dalszą trasę.

SZALEŃSTWO I METODA

181 – Za: *ibidem*.

182 – Za: *ibidem*.

Kalibabka szybko się zorientował, że bezkarność może mu zapewnić tylko nieustanna zmiana tożsamości oraz miejsca pobytu. Nie stanowiło to dla niego problemu, bo w ówczesnych dowodach osobistych i legitymacjach studenckich łatwo było wymienić zdjęcie, a taksówki i pociągi pospieszne zapewniały mu odpowiednią mobilność. Jerzy nie rozstawał się z samochodowym atlasem Polski, w którym zaznaczał wszystkie miejsca swojej działalności, dzięki czemu minimalizował ryzyko rozpoznania i wpadki. Z tego samego powodu rzadko zatrzymywał się w hotelach, preferując kwatery prywatne, których właściciele ignorowali obowiązek meldunkowy, a poza tym z reguły byli ludźmi zamożnymi. Kalibabka obserwował rytm życia gospodarzy, po czym bez problemu ich okradał i zniknął bez pożegnania. Tupetu mu nie brakowało, gdyż wielokrotnie wynajmował pokoje w domach stojących bezpośrednio przy posterunku milicji, wyznając zapewne zasadę, że najciemniej jest pod latarnią.

Jednak najważniejsze było osobiste bezpieczeństwo, toteż wiele czasu poświęcał na zdobywanie nowych dokumentów. Okradając przygodnych znajomych, jak zwykle wykorzystywał ludzką naiwność.

„[...] byłem na obozie sportowym w Sobieszewie jako kierownik – zeznawał Franciszek Mateja. – Na wieczorku poznałem nieznanego mi mężczyznę, którego rozpoznaję jako oskarżonego Kalibabkę. Twierdził, że ma na imię Marek i że jest sportowcem. W czasie rozmowy powiedział, że nie ma gdzie przenocować i ja zgodziłem się na to, aby przenocował na naszym obozie. Gdzieś na drugi dzień umówiłem się z nim w jakiejś kawiarni, lecz on już nie przyszedł i więcej go nie widziałem. Po pewnym czasie zacząłem być wzywany na milicję w sprawie jakichś gwałtów i kradzieży, i płacenia mandatów. Okazało się, że ktoś na moje nazwisko dokonywał przestępstw. Zorientowałem się wówczas, że w tym okresie czasu, gdy byłem na obozie, to zginęły moje dokumenty, takie jak dowód oso-

bisty i chyba karta pływacka”[183].

Szybkość przemieszczania się Kalibabki nawet dzisiaj może wzbudzać uznanie. W ciągu sześciu dni potrafił odwiedzić kolejno: Kołobrzeg, Wrocław, Kraków, Darłowo, Gdańsk, przy czym wszędzie tam nocował i dokonywał nowych przestępstw. Jak zwykle wykorzystywał kobietą naiwność, choć teraz jego ofiarami były nie tylko bardzo młode dziewczęta, ale również te nieco starsze i bardziej życiowo oraz seksualnie doświadczone.

„Gdy nie chciałam pić wina – zeznawała ekspedientka z Żywca – to straszył mnie, że jak nie wypiję, to on całe wino wypije i nie odwiezie mnie do domu, bo będzie pijany. Obawiając się, wypiłam od niego szklanekę tego wina. Zażądałam, aby wypuścił mnie z tego pokoju i odwiózł do domu, ale on śmiał się szyderczo do mnie i oświadczył, że po pierwsze muszę rozebrać się do połowy, bo on musi zobaczyć mnie nagą. Ponieważ uważałam, że jak się rozbiorę do połowy, to faktycznie mnie odwiezie, wyraziłam na to zgodę i dobrowolnie rozebrałam się do połowy, to znaczy zdjęłam płaszcz, ściągnęłam do połowy górę sukni oraz zdjęłam biustonosz tak, że byłam do połowy naga. Wówczas on zażądał, abym rozebrała się do naga, bo inaczej w ogóle nie wypuści mnie i nie odwiezie. W związku z tym zdjęłam do reszty z siebie suknię, bluzkę i reformy tak, że byłam zupełnie naga. Uważałam, że to go zadowoli i więcej nie będzie ode mnie żądał”[184].

Okazało się, że jednak zażądał i zrobił to nad wyraz stanowczo. Spotkanie zakończyło się gwałtem, co dziewczyna niezwłocznie zgłosiła na posterunku MO. Kalibabka był tak pewny siebie, że następnego dnia pojawił się na umówionym spotkaniu i wpadł w ręce milicji. Jednak zbyt długo milicjantom się nie narzucał, bo niemal natychmiast uciekł z komisariatu i jak zwykle przepadł bez śladu.

183 – Archiwum Sądu Rejonowego...

184 – Za: L. Konarski, *Kochał...*

Gwałciciel rzeczywiście mógł być trochę zaskoczony, gdyż dotąd zawsze udawało mu się zmusić swoje ofiary do milczenia. Co więcej, można odnieść wrażenie, że niektóre z dziewcząt za wszelką cenę starały się ukryć intymne szczegóły swojej znajomości z uwodzicielem.

„Każdą dziewczyną by mu uwierzyła – opowiadała 19-letnia Grażyna. – Był sympatyczny i miły. Wziął mnie za rękę i powiedział: »Grażynko!«. Miał podejście do dziewcząt. Zaproponował mi, abym u niego zamieszkała, bo jego rodzice wyjechali. Nie mówił, że mnie kocha. Chciał, abyśmy zostali przyjaciółmi. Niech pan nie myśli, że ja z nim spałam. Całą noc byłam w sąsiednim pokoju. Rano powiedział, że idzie kupić coś na śniadanie. Jak już wyszedł, to nie wrócił. Zabrał kożuch, dwa pierścionki i zegarek” [185].

Po zakończeniu sezonu urlopowego Kalibabka grasował w małych miasteczkach, gdzie od razu stawał się atrakcją dla miejscowych przedstawicielek płci pięknej. Był obietnicą zmiany stylu życia, szansą na wydostanie się z dusznej, prowincjonalnej atmosfery albo co najmniej nadzieją na szaloną przygodę. I choć bezwzględnie wykorzystywał swoje ofiary, to niektóre z nich zachowywały o nim wdzięczną pamięć, stanowił bowiem odmianę w codziennej rutynie ich życia.

„Opowiadali mi pracownicy [...] Komendy Wojewódzkiej MO w Nowym Sączu – relacjonował dziennikarz Leszek Konarski – że wędrując »szlakiem Kalibabki«, przyjechali nysą do niewielkiego miasteczka. Po rozmowie z poszkodowaną i jej rodzicami dziewczyna podbiegła do nysy. Powiedziała: »Proszę, weźcie mnie ze sobą!«” [186].

Ofiarą Jerzego padały nie tylko dorastające panienki, ale również ich matki. Z tego powodu od czasu do czasu

185 – Za: *ibidem*.

186 – Za: *ibidem*.

tworzyły się międzypokoleniowe trójki erotyczne – kochankami uwodziciela bywały jednocześnie matka i córka.

„Gdy chciałem spać z matką – wspominał Kalibabka – to rozmawiałem z nią do późnego wieczora i wtedy Iwona szła spać sama. Gdy Iwona zasnęła, to szedłem do pokoju jej matki, choć z reguły spałem z Iwoną. Gdy nie miałem ochoty ani na jedną, ani na drugą, spałem w pokoju przejściowym. Gdy obydwie były w pracy, przyprawdzałem sobie do domu różne dziewczyny, gdyż Iwona i jej matka mi nie wystarczały” [187].

W następnym miasteczku ponownie nawiązał równoczesne kontakty erotyczne z matką i córką, tym razem jednak musiał zadowolić się znacznie gorszymi warunkami lokalowymi. W efekcie z młodszą partnerką „kochał się na ławce i w domu na tapczanie”, natomiast „z matką w samochodzie”. Oczywiście w obu przypadkach tych międzypokoleniowych trójek porzucił swoje dobrodziejki bez pożegnania, wcześniej je okradając.

BEZ SKRUPUŁÓW

„[...] informuję, że wymieniony [Kalibabka] – raportował Kazimierz Jaskólski z posterunku MO w Szklarskiej Porębie – został przez naszą jednostkę zatrzymany w dniu 01.09.1980 roku, a w dniu 02.09.1980 roku zbiegł z komisariatu w ten sposób, że wyskoczył przez okno pokoju na pierwszym piętrze. Wszelki ślad po nim zaginął. U nas zatrzymany został pod nazwiskiem Świątek” [188].

Nie był to pierwszy przypadek ucieczki w przestępczej karierze Kalibabki, albowiem nie wszystkie ofiary okazywały „wrozumiałość” i do organów ścigania napły-

187 – Za: *ibidem*.

188 – Archiwum Sądu Rejonowego...

wały zawiadomienia o gwałtach, kradzieżach i wyłudzeniach. Pierwszy list gończy wystawiono za nim już w marcu 1979 roku w Dąbrowie Górniczej, gdzie Kalibabka ukradł magnetofon szpulowy i biżuterię o łącznej wartości 15 tysięcy złotych (średnia krajowa wynosiła wówczas niecałe 5,5 tysiąca). Z czasem listów gończych przybywało, bo choć Kalibabka ciągle zmieniał tożsamość, to śledczym udawało się wiązać z sobą poszczególne sprawy.

Pod koniec jego przestępczej kariery był już poszukiwany dziewięcioma listami gończymi wystawionymi na terenie całego kraju. Inna sprawa, że musiał całkiem nieźle się charakteryzować, skoro czasem posługiwał się kradzionymi legitymacjami szkolnymi i nie wzbudzało to większych podejrzeń.

Po raz pierwszy został aresztowany w czerwcu 1979 roku w Dziwnowie. Popęłił wówczas poważny błąd, pojawiając się w rodzinnej miejscowości, gdzie bez problemu został rozpoznany. Osadzono go w areszcie w Kamieniu Pomorskim, skąd następnego dnia zbiegł przy okazji rutynowych badań lekarskich. Grupę aresztowanych przewieziono do miejscowej przychodni, skąd Kalibabka, pomimo asysty straży więziennej, w brawurowy sposób wy dostał się na wolność.

„W czasie wykonywania prześwietlenia – pisano w raporcie – zeskoczył z podestu aparatu i oknem wyskoczył na zewnątrz budynku w kierunku Zalewu Kamieńskiego. Podjęto natychmiast energiczną akcję pościgową z udziałem znacznych sił funkcjonariuszy Służby Więziennej i Milicji Obywatelskiej oraz psa tropiącego z Komisariatu Milicji Obywatelskiej w Kamieniu Pomorskim. Mimo wysiłków zbiega nie ujęto”[189].

Kalibabka wykorzystał położenie komisariatu nad brzegiem zalewu i uciekł wpław. Niebawem był już na drugim krańcu Polski, a do milicjantów z Dziwnowa wy-

słał pocztą wyrazy ubolewania, informując jednocześnie, że zapewne nie pojawi się zbyt szybko w rodzinnej miejscowości. W przyszłości miał jeszcze wielokrotnie wymyślać się milicyjnym obławom, wykazując przy tym dużo pomysłowości i determinacji. Sam twierdził, że zatrzymywano go aż 27 (!) razy, co było konfabulacją, gdyż uciekał z aresztów i komisariatów „zaledwie”... jedenastokrotnie. Ale i ten wynik robi wielkie wrażenie, przy okazji wystawiając ówczesnym organom ścigania jak najgorsze świadectwo.

Nawiasem mówiąc, Kalibabka nie bez powodu pojawił się wówczas w Dziwnowie. Był kompletnie „spłukany” i zdecydował się na desperacki krok – pod nieobecność matki włamał się do jej domu i okradł swoją rodzicielkę. Jego łupem padły kryształ, butle gazowe i bateria wanowna (!), a wszystkie straty oszacowano na kwotę niepełna 10 tysięcy złotych. Genowefa Kalibabka niewątpliwie kochała syna, ale zgłosiła tę kradzież na milicję.

ON I ONE

Jerzy cały czas zmieniał strategię działania, bo choć przekonał się, że uwodzenie i okradanie naiwnych dziewcząt ma przed sobą przyszłość, to jednak zrozumiał, że powinien wprowadzić w swych planach pewne korekty. Zdecydował, że więcej już nie będzie współpracować z innymi oszustami i postanowił działać samotnie. Wiedział, że potrafi zawrócić w głowie niemal wszystkim poznawanym nastolatkom. Bez większych problemów mógł je wykorzystywać seksualnie, a następnie okradać. Rzadko jednak zdarzało się, aby jego ofiary posiadały przy sobie większą gotówkę. Co prawda Kalibabka nie gardził również ekskluzywną garderobą (kożuchy, odzież skórzana i dżinsowa), ale tego rodzaju zdobycz sprawiała pewne problemy – utrudniała szybkie przemieszczanie się z

miejsca na miejsce, kłopoty zdarzały się również przy jej sprzedaży. Wobec tego postanowił skoncentrować się na kradzieżach biżuterii, co znacznie ułatwiało prowadzenie przestępczego procederu. Brakowało mu wprawdzie odpowiedniej wiedzy z zakresu złotnictwa, ale i tym razem los się do niego uśmiechnął.

W Zielonej Górze poznał pewną Elżbietę pracującą w zawodzie złotnika i od niej zdobył podstawową wiedzę z dziedziny jubilerstwa. Od tej pory potrafił już nieźle oceniać biżuterię, co było bardzo użyteczne przy kolejnych kradzieżach. Z czasem sam zaczął przedstawiać się jako złotnik, co wzbudzało duże zainteresowanie jego potencjalnych ofiar. Pobierał wysokie zaliczki na poczet realizacji zamówień jubilerskich, ewentualnie wyłudzał biżuterię, obiecując zamianę na korzystnych warunkach.

Z Elżbietą połączył go dłuższy romans, jednak gdy tylko uznał, że posiada już dostateczną wiedzę i może uchodzić za profesjonalnego złotnika, ponownie ruszył w Polskę. Zapewne właśnie wtedy wymyślił, że zyska na wiarygodności, jeśli towarzyszyć mu będą dziewczęta, które przedstawi jako swoje siostry. Wspólniczki miały mu pomagać w przestępczym procederze, a przy okazji dbać o jego życiowe potrzeby. Szybko też wcielił ten pomysł w życie.

Kalibabka lubił wszelkiego rodzaju hierarchie, uznał zatem, że u jego boku będzie miejsce dla oficjalnej metresy zwanej „damą” oraz dla tej drugiej, dla której przeznaczył rolę służącej. Oczywiście obie miały umilać mu noce i być od niego całkowicie zależne.

„Aby zostać służącą Jerzego Kalibabki – zauważył Leszek Konarski – nie wystarczyło dobrze sprzątać, smacznie gotować, umieć prać koszule i czyścić buty. Pomoc domowa powinna być młoda, ładna, modnie ubrana, a przy tym cicha i bezgranicznie zakochana w swoim pracodawcy. Musiała też wiedzieć, że w dzień będzie traktowana

gorzej niż pani domu, natomiast w nocy na równych prawach. Nie mogła też być zazdrosna ani o stałą towarzyszkę podróży swojego pana, ani też o żadne inne jego dziewczyny. Mało tego, gdy pan pokazał na ulicy dziewczynę, którą chciałby poznać, to do obowiązków służącej należało jej doprowadzenie”[190].

Jednak przez dłuższy czas system ten nie funkcjonował zgodnie z wszystkimi oczekiwaniami pomysłodawcy i Kalibabka regularnie wymieniał służące. Najwyraźniej nie mógł trafić na odpowiednią dla siebie dziewczynę i w ciągu kilkunastu miesięcy wymienił aż siedem pomocy domowych. Inna sprawa, że na brak chętnych nie narzekał.

„Cały czas trzymał mnie bardzo krótko – wspominała pierwsza z nich, 15-letnia Beata – nie pozwalał wychodzić, jedynie poza wspólnymi posiłkami w restauracjach. Za każde nieposłuszeństwo byłam bita. Nigdy nie zaprosił mnie do żadnego lokalu”[191].

Następna w kolejce była niejaka Agnieszka, którą poznał na dyskotecie. Bez problemu namówił ją na seks, dziewczyna zgodziła się przyjąć posadę. Niestety, okazało się, że zależało jej wyłącznie na zbliżeniach z pracodawcą i zaniedbywała wszystkie inne obowiązki. Podobno większość czasu spędzała na obmyślaniu nowych atrakcji erotycznych, aż wreszcie zdenerwowany Kalibabka uznał dziewczynę za całkowicie zdeprawowaną (!) i odesłał ją do domu.

Podobny los spotkał poznaną w Kielcach Dorotę. Błyskawicznie ją uwiódł, a do ich pierwszego zbliżenia doszło w parku. Przyszły pracodawca nie był jednak zadowolony:

„Moim zdaniem była zdemoralizowana – tłumaczył – ponieważ w czasie stosunku zachowywała się jak stara

190 – Za: L. Konarski, *Wierne służbie*, „Przegląd Tygodniowy”, 36/1983.

191 – Za: *ibidem*.

kurwa”[192].

Pomimo to przyjął ją na służbę. Zdecydował o tym fakt, że dziewczyna była do niego nieco podobna i śmiało mogła uchodzić za jego siostrę. Szybko uznał ją jednak za kłopotliwą, tym bardziej że jego oficjalna metresa zaczęła być o służącą zazdrosna.

„[...] zrobiła mi kiedyś w nocy awanturę – skarżył się Kalibabka – bo tak głośno zachowywaliśmy się. Dorota była niewyżyta. Byłem już bardzo zmęczony, a ona chciała jeszcze uprawiać miłość francuską”[193].

Dorota podzieliła los Agnieszki, podobnie jak dwie następne służące. Poznana w Krynicy „Pchełka” nie potrafiła właściwie nic zrobić, a jej aktywność życiowa ograniczała się wyłącznie do snu i erotyki. Jej następczyni nawet w sprawach seksu nie zdawała egzaminu, zatem Jerzy również się jej pozbył.

Właściwie tylko raz trafił na ideał, a była nim Małgorzata Mrozińska nazywana „Grzałką”. Ona najdłużej pełniła u jego boku rolę służącej, była bowiem małomówna, cicha i spokojna. Do tego nieprzytomnie kochała się w swoim panu i sprawnie realizowała jego polecenia przy oszustwach i wyłudzeniach. U boku Jerzego spędziła kilka miesięcy, a później razem z nim została oskarżona o liczne przestępstwa. Pomimo to zachowała dobre zdanie o swoim kochanku.

„Kalibabka to człowiek bardzo ciekawy – opowiadała przed rozpoczęciem procesu. – To facet z pomysłunkiem, czasem miał sto pomysłów na minutę. Można z nim było porozmawiać na każdy temat. Wszędzie ludzie byli nim oczarowani. Potrafił zagadnąć do właściciela kwatery i do taksówkarza, z każdym miał temat do rozmowy. [...] Był bardzo uparty. Jak sobie coś wymyślił, to musiał to zreali-

192 – Za: *ibidem*.

193 – Za: *ibidem*.

zować”[194].

Małgorzata sprawdzała się również w trakcie przygotowywania się pracodawcy do obowiązków służbowych. Szef musiał się przecież dobrze prezentować, by wzbudzić zachwyty swoich potencjalnych ofiar. Dlatego zawsze był elegancko i czysto ubrany, miał modną fryzurę, pachniał najlepszymi kosmetykami z Pewexu.

„Przed poderwaniem jakiegoś »towaru« – kontynuowała »Grzałka« – Kalibabka co najmniej półtorej godziny spędzał przed lustrem. Takiego pedancika to ja jeszcze w życiu nie widziałam. Na dziewczyny wychodził zrobiony jak pianista na występy”[195].

Tłem jego kreacji były metresa i służąca, które w przeciwieństwie do swego kochanka nie mogły zwracać na siebie zbyt dużej uwagi. Obowiązywały je ciemne spódniczki i białe bluzki, co miało wzbudzać zaufanie. Garderobę dziewczyn uzupełniały drogie sportowe buty, skórzane płaszcze oraz elegancka biżuteria, którą Kalibabka „wypożyczał” im przed wyjściem na miasto. Z reguły przynosiło to doskonałe efekty.

„Siedząc w kawiarni – wspominała Małgorzata -[...] dusiliśmy się ze śmiechu, widząc, jakie on miny robi do dziewcząt przy innych stolikach. To samo było na ulicy, w autobusie, w pociągu. Cały czas pracował. Mówił, że mając na utrzymaniu takie dziewczyny jak my, musi dużo zarabiać. Gdy mu akcja nie wyszła i nie znalazł jakiejś głupiej, to potem bił nas, zwalając na nas winę”[196].

Pomimo to już po aresztowaniu jej pracodawcy Małgorzata wyznała podczas przesłuchania, że chętnie wróciłaby do niego na służbę. Po pewnym czasie jednak nieco ochłoneła.

194 – Za: *ibidem*.

195 – Za: *ibidem*.

196 – Za: *ibidem*.

„Podróże po Polsce były naprawdę fantastyczne. Nigdy nie poznałabym tylu miast. On z jednej strony bardzo mnie bił, ale z drugiej okazywał dużo serca. Kupił mi czapkę na zimę, różne drobiazgi. Gdy zostawałam sama w domu, przynosił mi pizzę, obwarzanki lub jabłka. Czy bym do niego powróciła? Nie. Chcę ułożyć sobie życie, pracować, mieć rodzinę. To z nim było ciekawe, ale z tym już koniec. Nigdy też nie przypuszczałam, że można prowadzić takie łatwe życie, mieć tyle pieniędzy, nie pracując i żeby do jednego mężczyzny dziewczyny leciały jak pszczoły do ula”[197].

Małgorzata Mrozińska była sądzona razem z Kalibabką. Została uznana za winną wielu kradzieży i wyłudzeń oraz czynnej pomocy przy innych przestępstwach. W trakcie rozprawy była jeszcze osobą nieletnią, dlatego skazano ją na pobyt w zakładzie poprawczym, zawieszając wykonanie wyroku na dwa lata.

MIŁOŚĆ?

Pierwszą oficjalną nałożnicą Kalibabki była 20-letnia Jarosława Sz., którą poznał w październiku 1979 roku w kawiarni Moka (Mocea?) w Zielonej Górze. Jarosława ukończyła liceum ekonomiczne, pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny, a jej ojciec piastował dyrektorskie stanowisko w firmie mającej siedzibę niedaleko Zielonej Góry. Była cichą i spokojną dziewczyną, pracowała jako referent w państwowej firmie jubilerskiej. Jednak z chwilą poznania Kalibabki całe jej dotychczasowe życie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Po trzech dniach wyprowadziła się z domu rodziców, porzuciła pracę i wyruszyła z kochankiem w trasę. Na brak atrakcji nie mogła narzekać, bo w ciągu pierwszych wspólnych tygodni odwiedzili Wisłę, Szczyrk, Żywiec, Suchą Beskidzką, Rabkę, Zakopane,

Krynicy, Katowice, Polanicę, Duszniki, Świeradów oraz Łądek- Zdrój. To jednak nie wszystko, bo Jarosława stwierdziła, że kilku innych miejscowości po prostu nie zapamiętała[198].

Przestępca początkowo utrzymywał, że jest złotnikiem, i używał wówczas jednego ze swoich fałszywych nazwisk.

„Przez cały czas myślałam, że Kalibabka zajmuje się handlem biżuterią – zeznawała w śledztwie. – W związku z tym nie dziwił mnie fakt posiadania przez niego większej gotówki. Często obdarowywał mnie biżuterią, którą następnie mi odbierał. Robił mi również prezenty. Gdy byliśmy w Szczyrku, otrzymałam od niego kozuch. Dając mi go, oświadczył, że specjalnie kupił go dla mnie”[199].

Zapewne nie kupił, tylko ukradł, ale nie miało to większego znaczenia. Traktował ją bowiem bardzo brutalnie, zamykał w pokoju, gdy wychodził „do pracy”, bił za nieposłuszeństwo tak, że często „chodziła posiniaczona”. Cały czas utrzymywał kontakty seksualne z innymi dziewczętami i nie rozumiał zazdrości okazywanej przez partnerkę.

Jednak Jarosława nie zdecydowała się go opuścić i wiernie towarzyszyła mu w jego wędrówkach. Kilka miesięcy po wyjeździe z Zielonej Góry zaszła w ciążę, co Kalibabka uznał za wystarczający powód do zerwania. Pewnego dnia pozostawił ją na ławce na Dworcu Centralnym w Warszawie i odjechał. Przedtem zadzwonił jednak do jej rodziców, informując, gdzie mogą odnaleźć córkę.

Niedługo później oszusta zaczęły prześladować jednak wyrzuty sumienia. Ten bezwzględny przestępca, do tychczas bez większych emocji wykorzystujący liczne kobiety, nie potrafił przestać myśleć o Jarosławie i ich nienarodzonym jeszcze dziecku. Podobno dopiero po stracie

198 – Archiwum Sądu Rejonowego...

199 – *Ibidem*.

dziewczyny zrozumiał jej wartość i poczuł się kompletnie wypalony.

„Nawet jeszcze w tej chwili – skarżył się kilkanaście miesięcy później – serce mnie boli i płaczę. Po jej stracie przez długi czas nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Jeździłem pociągami, sypiałem czasami w krzakach, piłem alkohol na umór, szukałem jakiegoś wyjścia, aby zapomnieć. Jak się upiłem, to leżałem pod ścianą z bólem głowy, gdyż miałem wyrzuty sumienia w stosunku do niej. Sprawiałem sobie ból, uderzając głową o ścianę. Potem jeździłem i szukałem podobnej dziewczyny. Nigdy nie znalazłem takiego wzoru jak ona” [200].

Jednak już wkrótce zaczął odreagowywać stres we właściwy sobie sposób, czyli uwodząc i kradnąc. Przez pewien czas działał w duecie z pewnym osobnikiem o imieniu Marek, którego poznał w jednym z górskich kurortów. Był to szczyt sezonu zimowego, co znacznie ułatwiało podboje.

„W Szczawnicy – wspominał Kalibabka – mieliśmy stosunki ze wszystkimi tam pracującymi kelnerkami. Zaliczyliśmy wszystkie kelnerki z domów wczasowych i restauracji” [201].

W marcu 1981 roku postanowił odzyskać Jarosławę. Zatelefonował do dziewczyny i poprosił ją o spotkanie, tłumacząc, że chce zobaczyć syna. Jarosława zgodziła się, co pociągnęło za sobą poważne konsekwencje.

„[...] wyszłam z dzieckiem przed dom – zeznawała – Kalibabka podjechał taksówką i zaproponował wyjazd do Zielonej Góry, gdyż tu bał się, że może wpaść w ręce milicji. Zgodziłam się, gdy oznajmił mi, że przywiezie mnie do domu. Po wejściu do taksówki okazało się, że po pewnym czasie kierowca skręcił z drogi prowadzącej do Zielonej

200 – *Ibidem*.

201 – Za: L. Konarski, *Tysiące i ona jedna*, „Przegląd Tygodniowy”, 21/1983.

Góry. [...] Protestowałam, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Powiedział, że kocha mnie i dziecko. Chce, abyśmy byli razem. Nie zgodziłam się na to” [202].

Nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż Kalibabka nie zamierzała z Jarosławy zrezygnować. Na początku wszystko wyglądało całkiem nieźle – uwodziciel cieszył się z odzyskania dziewczyny, a z małym Pawełkiem regularnie chodził na spacer. Nie zaniedbywał jednak prowadzenia interesów, ale tym razem myślał już o jednej większej akcji, która zapewniłaby im pieniądze na dłuższy czas. Okazja nadarzyła się, gdy w Piotrkowie Trybunalskim wynajęli pokój w okazałej willi należącej do Władysława C. Kalibabka zapłacił z góry dwa tysiące złotych, wzbudzając tym zaufanie gospodarza, pilnie też obserwował panujące w domu zwyczaje. Po miesiącu postanowił przystąpić do dzieła – zabrał z willi biżuterię o wartości około 200 tysięcy złotych, po czym zniknął wraz z partnerką i dzieckiem.

Z Piotrkowa przenieśli się do Sulechowa, a stamtąd do Zaniemyśla. Wówczas pojawiła się kolejna służąca, 17-letnia Alicja B., co stało się powodem domowych nieporozumień. Zgodnie z zasadami wprowadzonymi przez Kalibabkę dziewczyna umiała noce swemu pracodawcy, ale oficjalna metresa, przemęczona obowiązkami związanymi z opieką nad dzieckiem, zaczęła być zazdrosna o swoją pomocnicę.

Wreszcie Jarosława poczuła, że ma już dosyć koczowniczego trybu życia, ciągłych kradzieży i uciezek. Zażądała od Jerzego, aby zerwał z przestępczym procederem, znalazł uczciwą pracę i zamieszkał wraz z nią i dzieckiem w jednym miejscu. Kalibabka kategorycznie odmówił i po kolejnej awanturze wyjechał w towarzystwie dwóch nowo poznanych dziewczyn. Miał dużo szczęścia, bo Jarkę i Alicję, które pozostały w Zaniemyślu, jeszcze

tego samego dnia zatrzymała milicja.

Rodzice odebrali córkę z aresztu, a Pawełka – z izby dziecka. Wszyscy czworo wrócili do domu, nie był to jednak koniec ich problemów. Gdy niespełna rok później uwodziciel został zatrzymany, telewizja wyemitowała o nim program, który odbił się głośnym echem w całym kraju. Z dnia na dzień sytuacja Jarki i jej rodziny stała się trudna, gdyż sąsiedzi zaczęli kojarzyć ją z przestępcą. W tej sytuacji rodzice dziewczyny zdecydowali się na drastyczne rozwiązanie – porzucili doskonale płatne posady i wyjechali na drugi koniec Polski, zrywając z całym dotychczasowym życiem. Rodzinną miejscowość opuściła również Jarka, nie podając nikomu swojego nowego adresu. Dlatego też listy wysyłane z więzienia przez Kalibabkę nigdy nie trafiły do jej rąk.

„Jara, uwierz – pisał do byłej kochanki – że nie było dnia ani nocy, abym o was nie myślał i nie tęsknił za wami. Dopiero tutaj uświadomiłem sobie, co utraciłem i czego nigdy nie odzyskam. [...] Dałaś mi wszystko to, czego oczekuje się od dziewczyny, kochanki, żony, lecz nie umiałem tego uszanować”[203].

Dziewczyna nie chciała już mieć z nim nic wspólnego. Zamieszkała u znajomych w innym mieście, pragnąc wychować syna na uczciwego człowieka. Nie wystąpiła nawet o alimenty na dziecko, nigdy też nie wypowiadała się na temat ojca Pawełka. Uznała ten rozdział w swoim życiu za zamknięty, a własne postępowanie – za błąd młodości. Natomiast Kalibabka zachowywał na jej temat wzorową dyskrecję. Kiedy chodziło o inne dziewczęta, to godzinami mógł opowiadać o ich głupocie i o tym, jak je zdobywał, lecz tematu Jarki nigdy nie podejmował. Być może, jeśli w ogóle był zdolny do prawdziwego uczucia, to jedyną osobą, którą pokochał, była właśnie Jarosława. Ale nawet dla niej nie zamierzał się zmienić i dlatego ich znajo-

mość skończyła się w taki sposób...

„NIUSIA”

Miesiąc po rozstaniu w Zaniemyślu u boku Kalibabki pojawiła się nowa metresa. Tym razem była to 16-letnia Małgorzata Zawadzka, zwana „Nusią”.

„W lipcu 1981 roku wspólnie z koleżanką [...] wyjechałam do jej rodziny do Dąbrowy Górniczej – zeznawała Zawadzka dwa lata później. -W dniu 22 lipca [...] poznałam młodego mężczyznę, który podał mi, że nazywa się Patryk Miller. W czasie rozmowy Miller mówił mi, że z zawodu jest złotnikiem, że wrócił z Włoch i zamieszkuje u siostry w Katowicach”[204].

Zaproponował jej wspólny wyjazd do Gdańska, a dziewczyna przyjęła tę ofertę. Zaznaczyła tylko, że pobyt nad morzem nie może trwać zbyt długo, gdyż niebawem wyjeżdża na obóz sportowy do Czechosłowacji. Oczywiście nigdy tam nie dotarła, bo życie u boku przestępcy szybko i bez reszty ją pochłonęło.

Zawadzka mieszkała w Łodzi i uczyła się w jednym z tamtejszych liceów. Nauka nie była jej mocną stroną, toteż zdawała egzaminy poprawkowe z matematyki i fizyki. Uprawiała sport, trenowała lekkoatletykę w Widzewie, a następnie w barwach ŁKS-u. Miała dobry kontakt z matką i rodzeństwem, ale nie lubiła nadużywającego alkoholu ojczyma. Nigdy nie narzekała na braki finansowe, twierdząc, że zawsze, gdy „potrzebowała pieniędzy, to mama jej dawała”.

„[...] w miejscu zamieszkania posiadała opinię dobrą – potwierdzał dzielnicowy Marek Jabłoński. – Była spokojna, kulturalna, przestrzegała zasad współżycia społecznego i porządku prawnego. Nie stwierdzono kontak-

tów z elementem podejrzanym i prowadzącym pasożytniczy tryb życia”[205].

Poza sportem Małgorzata interesowała się filmem i literaturą, lubiła tematykę kryminalną, przygodową i miłosną. W sprawach erotycznych nie miała żadnego doświadczenia, bo chociaż była atrakcyjną dziewczyną, to do chwili poznania Jerzego z nikim się nie spotykała.

„Przed poznaniem Kalibabki nie chodziłam z żadnym chłopakiem – zeznawała. – Nie miałam również kontaktów seksualnych. Ja, poznając Kalibabkę, zakochałam się w nim, ponieważ był przystojny i miał pieniądze, a do tego miał dobry charakter. Kalibabka był pierwszym chłopcem, którego darzyłam uczuciem”[206].

„Nusia” nie dała się długo prosić i jeszcze tego samego dnia pojechała z Jerzym taksówką do Będzina i Katowic, a następnie pociągiem do Ustki. Przebywali tam przez trzy tygodnie. Oszust pokazał jej wówczas dowód osobisty, którym się posługiwał. Zastrzegł jednak, że dokument nie należy do niego, a dziewczyna szybko miała okazję przekonać się, czym nowy znajomy się zajmuje.

„W Ustce – opowiadała -[...] wyłudził od poznanej tam dziewczyny pierścionek złoty, złoty łańcuszek i kurtkę skórzaną damską. [...] W dniu wyjazdu [...] dokonał kradzieży rubli z tego mieszkania, gdzie zamieszkivaliśmy, za które dostaliśmy 8 tysięcy złotych, około 5-6 monet srebrnych 200-złotowych, zabrał też dużą, męską obrączkę. [...] Przedmioty te znajdowały się w kredensie w pustym pokoju, natomiast właściciel w tym samym czasie znajdował się w pokoju sąsiednim. [...] Ja byłam obecna przy fakcie kradzieży i wiedziałam, że on dokonuje kradzieży”[207].

Z Ustki pojechali do Giżycka, gdzie sprzedali część

205 – *Ibidem*.

206 – *Ibidem*.

207 – *Ibidem*.

zdobyczy, a przed opuszczeniem miasta okradli jeszcze dom, w którym wynajmowali pokój. Ich łupem padło 15 tysięcy złotych, obrączka, legitymacja szkolna i karta pływacka.

Małgorzata wyzbyła się ostatnich skrupułów i szybko przyuczała się do „zawodu”. Gdy na tydzień zatrzymali się w Elblągu, wzięła już pełny udział w oszustwach Kalibabki.

„W tym czasie w pizzerii dokonałam zamiany łańcuszka – kontynuowała – który, jak mi później powiedział, był fałszywy, [...] na pierścionek złoty. [...] Zamieniłam się z dziewczyną, która pracowała przez okres wakacji w pizzerii [...] i mieszkała w Elblągu. Następnie w tym samym dniu byłam umówiona z inną dziewczyną, od której pożyczłam jej pierścionek, z którym miałam odejść i pójść do domu. Kalibabka miał z tą dziewczyną pozostać chwilę, a następnie ją wyprowadzić. Tak też się stało i ja ten pierścionek zabrałam i nie widziałam się już z nią więcej”[208].

Pierwszą z tych ofiar była 14-letnia Mirosława K., na której Kalibabka wywarł wielkie wrażenie. Okazała się łatwą ofiarą, a jej znajomość z Jerzym i Małgorzatą przebiegła według ustalonego wcześniej scenariusza.

[...] Przedstawił się imieniem Patryk i był w towarzystwie swojej siostry, Małgorzaty – zeznawała w śledztwie Mirosława. – Spotykałam się z nimi i któregoś dnia Małgorzata poprosiła mnie, abym jej dała do ponoszenia pierścionek złoty, a ona dała mi łańcuszek pozłacany i twierdziła, że to łańcuszek ze złota. Dopiero po jakimś czasie, gdy zaczął mi się »wycierać«, to zorientowałam się, że nie jest to łańcuszek ze złota. Słyszałam od matki, że dała za ten pierścionek 12 tysięcy złotych. [...] Moja znajomość z oskarżonym trwała około 5 dni”[209].

208 – *Ibidem*.

209 – *Ibidem*.

Po latach nie można już ustalić, czy Zawadzka wówczas wiedziała, w jaki sposób Kalibabka miał zwyczaj kończyć podobne interesy. Ograbienie ładnej dziewczyny mu nie wystarczało, konieczne było jeszcze zbliżenie seksualne. Zaspokajał swoje potrzeby, a przy okazji kompromitował ofiarę, w efekcie czego wiele poszkodowanych dziewczyn w ogóle nie zawiadamiało milicji o przestępstwach.

„Któregoś dnia weszliśmy we trójkę do kawiarni Roksana – kontynuowała Mirosława K. – było to już wieczorem. Późnym wieczorem wyszliśmy z Roksany na spacer, a Małgorzata została w kawiarni. Podeszliśmy pod jakiś niewykończony dom i oskarżony twierdził, że ta budowa jest jego wujka. W pewnej chwili zaczął mnie całować, a następnie przewrócił mnie na kupę piasku, podniósł mi spódnicę i zgwałcił mnie, nie ściągając mi nawet majtek. Ja się broniłam i prosiłam, żeby tego nie robił, lecz on wbrew mojej woli dokonał na mnie gwałtu. Po odbyciu stosunku wstaliśmy i wróciliśmy do kawiarni Roksana, a oskarżony zażądał, abym nic nie mówiła jego siostrze. Ja faktycznie nic nie mówiłam Małgorzacie. Wtedy widziałam ich po raz ostatni”[210].

Mirosława nie stawiała większego oporu, „nie krzyczała, bo wiedziała, że to nic nie da i nikt nie usłyszy”. Biernie poddała się gwałtowi, a potem postępowała zgodnie z przewidywaniami Kalibabki. Zachowała milczenie, „bo co by matka powiedziała”.

Zawadzka towarzyszyła Kalibabce do końca jego przestępczej działalności. Co kilka dni zmieniali miejsce pobytu i na dłużej, bo aż na pięć miesięcy, zatrzymali się tylko w Krakowie. Zmusiły ich do tego wydarzenia polityczne, gdyż właśnie wtedy w kraju wprowadzono stan wojenny. Oszust wykorzystał ten czas... na naukę tańca, choć oczywiście na tym nie poprzestał. Jerzy i Małgorzata sprzedawali fałszywe łańcuszki albo zamieniali je na

prawdziwą biżuterię, „pożyczali” też kożuchy, których nie mieli zamiaru oddawać.

Bywały chwile, że Zawadzka podobno chciała zerwać z przestępczą działalnością, jednak Kalibabka dosłownie wybijał jej to z głowy.

„[...] nie chciał mnie od siebie puścić – zeznawała w śledztwie – i bił mnie, jak chciałam wrócić do domu, i zmuszał mnie do kradzieży, grożąc, że potnie żyłką [...], byłam kilkukrotnie przez niego mocno pobita”[211].

Groził jej także „wyrwaniem włosów”, uciał nożem warkocz, pociął „kozaki, płaszcz skórzany oraz bluzki”, a bijąc, „zatykał jej usta ręcznikiem”, aby sąsiedzi nie słyszeli krzyków. Zawsze, gdy wychodził z mieszkania, „zamykał ją na klucz”, a do największej pasji doprowadzała go odmowa świadczenia usług seksualnych.

„Wielokrotnie siłą zmuszał mnie do pożycia seksualnego, a w przypadkach, kiedy odmawiałam, bił mnie, zdarzało się, że rozbierał mnie do naga i wyprowadzał na balkon w zimie w czasie naszego pobytu w Krakowie. Byłam w ciąży z Kalibabką, ciężę tę poroniłam w trzecim miesiącu. Nadmieniam, iż przed poronieniem zostałam dotkliwie pobita przez Kalibabkę i skopana”[212].

Nie próbowała jednak ucieczki i pozostała z nim do końca. Wspólnie też zasiedli na ławie oskarżonych. Dziewczyna została skazana na dwa lata więzienia w zawieszeniu na cztery lata i 160 tysięcy złotych grzywny.

HERSZT DAMSKIEGO GANGU

Kalibabka uwielbiał płęć piękną, ale jeszcze bardziej kochał złoto. Jego współpracownicy twierdziły, że na widok szlachetnego metalu „coś dziwnego się z nim działo” i za-

211 – *Ibidem*.

212 – *Ibidem*.

chowował się jak człowiek uzależniony. Poza tym tryb życia, jaki prowadził, wymagał stałego dopływu dużych środków finansowych, a najłatwiej było spieniężyć właśnie wyroby jubilerskie.

„Gdyby pan miał żonę i kochankę – tłumaczył przed swoim procesem dziennikarzowi Leszkowi Konarskiemu – musiałyby pan kombinować, jak zdobyć pieniądze. A gdyby pan miał, jak ja, równocześnie pięć lub sześć dziewcząt, musiałyby pan być złodziejem. Przecież ja każdą z tych dziewcząt musiałem żywić w dobrych restauracjach, ubierać w Pewexie, chodzić z nimi na dansingi, płacić za kwatery, jeździć taksówkami. Do tego trzeba olbrzymiej ilości pieniędzy. Należało na to wszystko zarobić” [213].

Uwodziciel nieco konfabulował, bo z zeznań świadków i poszkodowanych wynika, że w skład jego gangu wchodziły z reguły dwie, najwyżej trzy dziewczyny (przez pewien czas „zatrudniał” jeszcze pomocnicę służącej), jego podwładne nieczęsto chodziły na imprezy, a jeśli już, to wyłącznie „służbowo”. Nie zmienia to jednak faktu, że taki tryb życia wymagał dużych nakładów i Kalibabka korzystał z każdej nadarzającej się okazji. Okradał i wyłudzał zawsze, gdy tylko zaistniała taka możliwość, a jego ofiarami były z reguły młode dziewczyny. Nigdy właściwie nie miał problemów z ich oczarowaniem.

„[...] w miłości to tak jak na polowaniu – tłumaczył. – Najważniejsze to dobrać odpowiedni kaliber. Nie trzeba do zająca strzelać z działa, skoro lepszy jest śrut. Poza tym trzeba być człowiekiem interesującym, aby ktoś chciał go słuchać i wraz z nim oderwać się od rzeczywistości. Dziewczynę trzeba tak oczarować, aby zaczęła błędzić w chmurach. Kobiety bardzo te chmury lubią. Mnie to się udawało i czasami już po kilku minutach wierzyły, że jestem tym, który przychodzi z innej planety. [...] Czasem te kilka minut ze mną było dla dziewczyny jedynym w życiu

przeniesieniem się w obłoki”[214].

Pewna uczennica z Kielc zamiast udać się do szkoły na lekcje, wyjechała z Kalibabką i jego współniczkami. Wróciła po tygodniu bez pierścionka i zegarka.

„Wierzyłam, że załatwi mi usprawiedliwienie w szkole – opowiadała – gdyż mówił, że za pieniądze wszystko można załatwić. [...] Zegarek oddałam mu bez zastrzeżeń, natomiast pierścionka nie chciałam na początku dać, lecz po dłuższej namowie jego i dziewczyn oddałam mu dobrowolnie”[215].

Najłatwiejszymi ofiarami były nastolatki z zamożnych domów obwieszane złotą biżuterią i wychodzące na miasto w poszukiwaniu odmiany w ich codziennej, życiowej rutynie. Kalibabka był świetnym psychologiem, potrafił z miejsca wyselekcjonować najwłaściwszą kandydatkę, a wiedza z zakresu złotnictwa umożliwiała mu wycenę potencjalnej zdobyczy.

Jedną z najbardziej spektakularnych akcji przeprowadził w Krakowie, gdzie jego ofiarą padła Luiza, 16-letnia uczennica liceum ogólnokształcącego. Bez trudu oczarował dziewczynę i zaprosił ją na prywatkę, prosząc, aby założyła swoją najlepszą biżuterię. Nastolatka chciała mu zaimponować, więc dodatkowo pożyczyła kosztowności od matki. Naiwność córki, a przede wszystkim jej rodzicielki naprawdę była imponująca.

„Luiza wszystko to wzięła za moją zgodą – przyznawała matka. – Powiedziała, że idzie na prywatkę do siostry kolegi, Marka Millera. Tego Marka nigdy nie widziałam, ale Luiza mówiła, że już raz był w naszym domu, gdy mnie nie było”[216].

Dziewczyna miała na sobie biżuterię wartości 250

214 – Za: *ibidem*.

215 – Za: L. Konarski, *Kochał...*

216 – Za: *ibidem*.

tysięcy złotych, co stanowiło odpowiednik około 30 średnich miesięcznych pensji. Kalibabka pod błahym pozorem namówił ją do zdjęcia z siebie kosztowności, a przy okazji wyłudził jeszcze od jej przyjaciółki 30 tysięcy złotych na „świąteczny interes” – i zniknął. Był to dla niego wyjątkowo dobry dzień.

Bezczelność i tupet oszusta nie miały granic, więc gdy dostrzegał szansę zysku, to działał z niezwykłą skutecznością i determinacją. Okradał nie tylko dorastające dziewczęta, ale również kobiety o znacznie większym doświadczeniu życiowym. Liczył na ludzką naiwność i niemal nigdy się na tym nie zawiódł.

„[...] pracowałam jako kelnerka w restauracji Słoneczna w Lubaniu Śląskim, gdy spotkałam oskarżonego – zeznawała Józefa Z. – Pierwszy raz był z jakąś dziewczyną, którą przedstawił mi jako swoją siostrę. Dzisiaj poznaję, że była to oskarżona Małgorzata Zawadzka. Któregoś dnia, gdy wróciłam z pracy, a było to jakieś trzy dni po poznaniu oskarżonego, to matka mi powiedziała, że był do mnie mężczyzna, który czekał na mnie” [217].

Kelnerka podała mu swój adres zamieszkania i powiedziała, w jakich godzinach pracuje. Kalibabka poznał również jej sytuację rodzinną – wiedział, że Józefa ma kilkuletnie dziecko i mieszka razem z matką. Przypuszczał, że starsza pani jest osobą dość łatwowierną – i nie przeliczył się.

„Do mojego mieszkania – zeznawała matka Józefy, Maria K. -[...] przyszedł mężczyzna [...], który powiedział, że jest znajomym mojej córki i chciałby się z nią widzieć. Poinformowałam go, że córka jest w pracy. On stwierdził, że poczeka na nią. Zaprosiłam go do pokoju, gdzie był 5-letni wnuczek, i patrzyliśmy w telewizor. Byłam tam około 5 minut, a następnie wyszłam do ogródka, widząc, że oskarżony ogląda telewizor. Gdy wróciłam po 10 minu-

tach, to mężczyzny już nie było w pokoju, a wnuczek powiedział, że pan wyszedł i zaraz wróci. Oskarżony już nie wrócił. Gdy przysłała do domu córka, to stwierdziła, że została okradziona. Mnie oskarżony wziął torebkę, w której było kilkaset złotych, torebka leżała na wierzchu” [218].

Kalibabka mógł być ze swojej zdobyczy zadowolony – ukradł czapkę i kołnierz z lisa, parę dżinsów, trzy złote obrączki oraz ostatnią wypłatę Józefy. Łącznie jego łupem padła gotówka i przedmioty o wartości około 40 tysięcy złotych.

„Zaprosił mnie do restauracji Hawana – wspominała Ilona, którą poznał w Krynicy – zafundował dwie kawy i dwie lampki wina. Po wyjściu kupiliśmy szampana i dorózką udaliśmy się do mojego pensjonatu. Zaprosiłam go do swojego pokoju. Ani razu nie wspomniał, jak się nazywa i gdzie mieszka” [219].

Oprócz szampana pili jeszcze wódkę, a gdy dziewczyna była już solidnie pijana, Kalibabka przystąpił do działania. Wyjął z szafy neseser Ilony, zapakował do niego jej elegancki żakiet, dwie pary dżinsów, dwa swetry – i wyszedł. Dziewczyna dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że nie ma także złotego łańcuszka i czterech pierścionków. Natychmiast powiadomiła o kradzieży milicję, jednak funkcjonariusze nie chcieli przyjąć od niej zgłoszenia, uznając, że jest nietrzeźwa.

Przestępca działał najsprawniej, gdy wspomagały go Zawadzka i Mrozińska. Wspólnie utworzyli zgrany przestępczy tercet, w którym każdy z członków znał swoje zadanie. Decydujący głos należał oczywiście do Kalibabki – jedna z poszkodowanych zauważyła, że „rozkazywał tym dziewczynom, co mają robić, a one słuchały go i wykonywały wszystkie jego polecenia”.

„Z mieszkania, w którym przebywaliśmy – opowia-

218 – *Ibidem*.

219 – Za: L. Konarski, *Kochał...*

dała Zawadzka – dokonaliśmy kradzieży pieniędzy polskich w kwocie 10 tysięcy złotych, legitymacji dziennikarskiej mieszkającej tam wczasowiczki i kluczyków do samochodu. Stamtąd razem z dziewczyną o imieniu Małgorzata [Mrozińska – S.K.] pojechalśmy pociągiem do Ustrzyk Dolnych. W Ustrzykach mieszkaliśmy przez 4 dni w prywatnej kwaterze. W Ustrzykach Małgorzata zabrała od poznanej przez Kalibabkę dziewczyny pierścionek złoty, łańcuszek złoty, łańcuszek złoty z wisiorkiem i kolczyki złote. [...] Kolczyki te nosiłam przez pewien okres czasu”[220].

Kradzieże i wyłudzenia Kalibabka najchętniej łączył z seksem, był jednak mężczyzną wybrednym i nie każda z dziewczyn, które obrabował, dostępowała jednocześnie „zaszczytu współżycia erotycznego. Seks ze swoimi ofiarami traktował zresztą dość instrumentalnie, bo poza zaspokojeniem dawał mu on swoistą „gwarancję bezpieczeństwa”. Nastolatki bez oporów zgłaszały na milicję straty materialne, gdy jednak w grę wchodziło współżycie erotyczne, to sprawa wyglądała już zupełnie inaczej. Wiele jego ofiar obawiało się utraty dobrej opinii w miejscu zamieszkania, zwłaszcza w niewielkich miejscowościach, gdzie praktycznie wszyscy się znali. Dlatego w pewnym momencie Kalibabka wpadł na pomysł, który miał go zabezpieczyć przed roszczeniami ofiar. Nie musiał już zmuszać się do seksu z dziewczynami, które mu się nie podobały, a i tak zyskiwał pewność, że nie zgłoszą kradzieży na milicję.

Wszystko miało przebiegać według jednego scenariusza. Kalibabka pod jakimś pozorem wsiadał wraz z pomocniczkami i ofiarą do taksówki, po czym jechali do lasu. Tam odchodzili na odległość zapewniającą im bezpieczeństwo – i dziewczyna była już całkowicie zdana na ich łaskę.

„[...] zgodnie zażądali ode mnie, abym się rozebrała – zeznawała Ewa T., sprzedawczyni z Gryfic Śląskich. [...] Oskarżony zaczął mnie szarpać tak, że rozdarł mi sweter. Próbowałam uciekać, ale wtedy obydwie oskarżone przytrzymały mnie i biły rękami w okolice głowy. [...] Siłą ściągnęły mi bluzkę i biustonosz i kazały, abym ściągnęła spodnie. [...] Jak byłam zupełnie rozebrana, najpierw zdjęcie robił oskarżony, a potem któraś z tych dziewczyn, a oskarżony ściągnął koszulę i stał przy mnie”[221].

Po zakończeniu sesji zdjęciowej okradali ofiarę z biżuterii, po czym pozostawiali ją w lesie, uprzedzając, że jeżeli zgłosi sprawę na milicję, to jej rodzinna miejscowość zostanie oplakatowana kompromitującymi zdjęciami.

„W trakcie pobytu w Ciechocinku – opowiadała Zawadzka – poznaliśmy [...] dziewczynę w wieku 24 lat o imieniu Halina [...], która miała na palcu 3 złote pierścionki. Kalibabka zaproponował nam zabranie tych pierścionków tej dziewczynie i dlatego pod pozorem przejazdu do nas do domu zabraliśmy ją do taksówki i wywieźliśmy do lasu, i tam, strasząc ją, że zrobimy jej zastrzyk, który spowodowałby, żeby zasnęła, kazaliśmy jej rozebrać się i zdjąć pierścionki i łańcuszek z medalikiem. Pod presją tej groźby dziewczyna dała mi posiadane trzy pierścionki i łańcuszek. Z tymi przedmiotami razem z Kalibabką udałam się do taksówki, pozostawiając dziewczynę w lesie”[222].

Czasami jednak naga dziewczyna wzbudzała zainteresowanie Jerzego, który po zakończeniu sesji zdjęciowej nakazywał współniczkom udanie się na spacer, a sam dokonywał gwałtu. Oczywiście uważał, że nie brał ofiary siłą, tylko okazywał jej w ten sposób swoje uczucie, a dziewczyna w głębi duszy oczekiwała właśnie tego.

221 – *Ibidem*.

222 – *Ibidem*.

„Nie używałem przemocy – wyjaśniał. – Wszystkie oddawały się same, bo bardzo tego chciały. Dopiero gdy odchodziłem, miały pretensje, że jestem nieelegancki, bo przespałem się i odchodzę”[223].

W rzeczywistości zapominał imię dziewczyny, gdy tylko zdjął z niej ostatni łańcuszek czy pierścionek. Z wykonywanymi zdjęciami wiązały się również jego bardziej dalekosiężne plany. Zawadzka zeznała, że Kalibabka powiedział jej kiedyś, iż jest to jego lokata na przyszłość, bo będzie mógł te dziewczyny „szantażować, jak już wyjdą za mąż”...

DZIEŃ KOBIET W NOWYM TARGU

Przestępcza kariera Jerzego Juliana Kalibabki dobiegła końca 15 kwietnia 1982 roku. Przebywał wtedy w Szczawnicy w towarzystwie samej Zawadzkiej, bo Mrozińska została wcześniej odesłana do domu. Poszli na śniadanie do jednej z restauracji i tam Kalibabka został rozpoznany przez miejscowego milicjanta. Funkcjonariusz zachował pełny profesjonalizm, nie próbował osobiście zatrzymać poszukiwanych, tylko zadzwonił po posiłki. Milicja obstawiła wszystkie wyjścia i oszust wraz ze współniczką zostali ujęci.

„Niestety zostałem zatrzymany przy śniadaniu – skarżył się Kalibabka. – Mam takiego pecha, zawsze kiedy coś konsumuję, to [coś się dzieje]. Już kilka razy mi się to zdarzyło. Wystrzegałem się tego, ale niestety. Zawsze jak jestem głodny, to spotyka mnie taka nieprzyjemność”[224].

Zatrzymani trafili do aresztu, wiadomo było jednak,

223 – Za: L. Konarski, *Wszystkie...*

224 – Za: *Jerzy Julian Kalibabka – znawca miłości*, Półtel 1982, [youtube.com/watch?v=moM_uNynrDY](https://www.youtube.com/watch?v=moM_uNynrDY) lub <https://www.cda.pl/video/95171115>

że na proces trzeba będzie długo poczekać. Śledztwo posuwało się powoli, analizie podlegała niespotykana liczba przestępstw popełnionych na terenie całego kraju, a funkcjonariusze poszukujący ofiar Kalibabki musieli odwiedzić dziesiątki miejscowości. Liczba chętnych do składania zeznań była jednak stosunkowo niewielka, a ku zdumieniu śledczych wiele dziewcząt wciąż uważało, że uwodziciel darzył je prawdziwym uczuciem. Mówiły, iż wybaczą mu wszystko i mają nadzieję, że kiedyś do nich wróci i przy okazji odda to, co ukradł. Dla niektórych ofiar sprawy materialne nie miały zresztą większego znaczenia – one już dawno zdążyły wszystko mu wybaczyć.

Sytuacji nie poprawiły apele telewizyjne, w których nakłaniano poszkodowane do zgłaszania się na milicję. Wyemitowano również specjalny program z udziałem Kalibabki i Zawadzkiej. Uwodziciel postawił jednak pewne warunki – zażądał, by z depozytu więziennego dostarczono mu na komendę w Nowym Sączu jeden z jego garniturów oraz udostępniono suszarkę do włosów i żelazko. Życzenia te spełniono, dzięki czemu przestępca prezentował się przed kamerą dość efektownie.

W programie wypowiadała się również Zawadzka, przy czym ona postawiła warunek, aby nie filmowano jej w areszcie śledczym w Myślenicach koło Nowego Targu, gdzie wówczas przebywała. Również i tę prośbę spełniono – o swoim życiu u boku Kalibabki Małgorzata opowiedziała w plenerze. Ich wspomnienia porażały szczerością. Były to opowieści o losach ludzi niezwracających uwagi na normy etyczne, żyjących w zupełnie innej rzeczywistości niż reszta społeczeństwa.

Emisja programu okazała się prawdziwą sensacją, a widzowie nie bardzo mogli uwierzyć w to, co przedstawiono. Autentyzmu dodawały jednak wypowiedzi milicjantów prowadzących śledztwo, a także opowieści dwóch okradzionych przez Kalibabkę dziewcząt.

Wbrew oczekiwaniom program nie przyczynił się do znaczącego wzrostu liczby zgłoszeń od poszkodowanych, wywołał natomiast ogólnonarodową dyskusję, w której brali udział specjaliści z dziedziny kryminalistyki, lekarze i seksuolodzy.

Profesor Zbigniew Lew-Starowicz uznał Kalibabkę za osobnika cierpiącego na kompleks Don Juana, niezdolnego do prawdziwego uczucia i odczuwającego konieczność ciągłego potwierdzania własnej atrakcyjności. Natomiast kryminolog prof. Brunon Hołyst zauważył, że Kalibabka był nowatorem wśród oszustów uwodzicieli, gdyż stał na czele kobiecego gangu, a jego podwładne wydatnie pomagały mu w prowadzeniu przestępczej działalności.

Sam zainteresowany nie ukrywał, że podobne dyskusje go nudziły, a wypowiadający się specjaliści kompletnie nie rozumieli jego pobudek działania.

„Naukowcy to może i sympatyczni ludzie, ale nie znają życia – narzekał. – Kręcą się wokół tematu i nigdy nie pojmą, co to jest być w wielkiej euforii. A moje życie było właśnie jedną wielką euforią, której nie można zmierzyć naukowymi metodami. Odniosłem tylko jeden pożytek z tej dyskusji. Po raz pierwszy zobaczyłem na zdjęciu Michalinę Wisłocką. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie autorkę *Sztuki kochania*”[225].

Już wtedy zaczął tworzyć wokół siebie legendę znawcy miłości i mężczyzny kochającego wszystkie kobiety. Bagatelizował sprawę setek kradzieży i wyłudzeń, które miały stanowić jedynie środek prowadzący do celu, jakim było okazanie uczucia jak największej liczbie dziewcząt.

„[...] kochałem miłość – tłumaczył – i dlatego jestem za kratkami. Moja miłość była mocniejsza niż cokolwiek na świecie. Mówiłem dziewczynie: »Ja kradnę dla Ciebie«, i ona to rozumiała. [...] Miłość była moim zawodem. Poza

nią nic w życiu się nie liczyło. Upijałem się miłością i byłem pijany. Ona mnie zgubiła. Nie mam do niej pretensji, gdyż nikt nie ma prawa oskarżać miłości. Kto mi teraz uwierzy, że kradłem, aby kochać. Całe moje życie od czasu opuszczenia domu rodzinnego aż do aresztowania było jedną wielką euforią miłosną. Kto mi uwierzy, że ja naprawdę te wszystkie dziewczyny kochałem? [...] Jedni kochają konie, inni samochody, jeszcze inni szybowce. Ja kochałem kobiety” [226].

Kalibabka przyznał się do większości stawianych mu zarzutów, kategorycznie jednak zaprzeczał oskarżeniom o gwałty, tłumacząc, że wszystkie kobiety, z którymi miał kontakty seksualne, oddawały mu się z własnej i nieprzymuszonej woli. Był też wyraźnie zaskoczony, gdy postawiono mu zarzut współżycia z nieletnimi – wydaje się, że faktycznie nie wiedział, iż dwie z jego ofiar – Aldona K. i Mirosława K. – nie miały jeszcze 15 lat.

Niemal wzorowo współpracował ze śledczymi, podkreślając, że jego celem jest jak najszybsze zakończenie dochodzenia. Oczekując na rozprawę, zabijał czas lekturą, chociaż dotychczas czytanie nie było jego ulubionym zajęciem.

„[...] jak wszyscy zaczęli mnie porównywać z Casanovą i Don Juanem, poszedłem do biblioteki, aby się czegoś o tych ludziach dowiedzieć, bo mi powiedziano, że to niejako moi koledzy po fachu. Niestety, nic w naszej bibliotece na ich temat nie mają. Nie wiem więc do dzisiaj, jakimi metodami posługiwał się Casanova, a jakimi Don Juan, jakie mieli wykształcenie, ile zaliczyli dziewcząt. Powiedziało mi, że powinienem wziąć się do dzieł Balzaka. Zacząłem czytać pierwszą książkę i muszę [...] powiedzieć, że Balzak mnie bardzo zainteresował. W ciągu roku, bo tyle tu siedzę w śledztwie, przeczytałem jego dwadzieścia książek. Wszystko, co pisze, jest bardzo interesujące, ale

nie umywa się do tego, co ja przeżyłem. U mnie wszystko było mocniejsze. Balzak w porównaniu ze mną, to pierwszoklasista. W jego przygodach nie ma tego mocnego uderzenia. Ja lubiłem, aby dziewczyna doznała olśnienia już w pierwszych minutach znajomości. U Balzaka wszystko toczy się tak powoli”[227].

Proces przed Sądem Rejonowym w Nowym Targu rozpoczął się w maju 1983 roku i trwał blisko rok. Przesłuchano niemal 300 świadków i poszkodowanych, wypowiadali się biegli z różnych dziedzin. Kalibabce postawiono ponad 150 zarzutów: gwałtów, pobić, kradzieży, wyłudzeń, podrabiania dokumentów. Uznano, że zagarnęła mienie na niewyobrażalną kwotę 15 milionów złotych, warto jednak pamiętać, że u paserów za swoje łupy uzyskał tylko część ich wartości. Rozprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych, a wyrok zapadł w Dzień Kobiet (!), 8 marca 1984 roku. Uwodziciel został uznany za winnego dziewięciu gwałtów i dwóch prób usiłowania gwałtu oraz 103 przestępstw kryminalnych i finansowych. Sąd uniewinnił Kalibabkę od kilku mniej istotnych zarzutów, co jednak nie miało większego znaczenia. Skazano go na 15 lat pozbawienia wolności i 600 tysięcy złotych grzywny. Dodatkowo zobowiązano do pokrycia 201 tysięcy złotych kosztów procesowych i 132 tysięcy opłat sądowych.

Obrońcy Kalibabki złożyli odwołanie, jednak 10 lipca Sąd Wojewódzki w Nowym Sączu utrzymał wyrok w mocy.

TULIPAN

Pracownicy więzienia w Barczewie szybko przestali się dziwić tłumom dziennikarzy chcących przeprowadzić wywiad z odbywającym tam karę Kalibabką. Przyzwyczaili się też do wizyt młodych dziewcząt, które kiedyś zosta-

ły przez niego skrzywdzone, a teraz koniecznie chciały go pocieszyć. Na widzeniach pojawiały się też panie, które nigdy nie miały okazji poznać oszusta, a czuły, że bezwzględnie muszą to nadrobić. Prawdziwą sensacją stały się jednak wizyty filmowców, którzy uznali, że losy Kalibabki to znakomity materiał na filmową opowieść.

Jerzy pozytywnie zareagował na propozycję współpracy. Filmowcy zaproponowali mu zresztą duże pieniądze, a on miał przecież do zapłacenia znaczne kwoty z tytułu wyroku sądowego. Poza tym fakt przygotowywania serialu opartego na jego losach musiał mu sprawiać przyjemność, bo zawsze był człowiekiem wyjątkowo próżnym. Jednak nie do końca podobał mu się scenariusz i odtwórca głównej roli, Jan Monczka.

„Ten aktor, który mnie grał – narzekał – to jakiś maślak, facet bez jaj. Ja taki rozlazły nie jestem. I nigdy nie miałem tak drętwych i prostackich tekstów, jak te filmowe dialogi” [228].

Kalibabka pełnił rolę konsultanta, zrezygnował jednak ze współpracy pod koniec realizacji serialu. Później twierdził nawet, że właśnie z tego powodu filmowcy zmścili się na nim, wprowadzając do scenariusza kilka zmian.

„W pewnym momencie to, co oni kręcili, przestało mi odpowiadać. I się rozstaliśmy, nie chciałem brać w tym udziału. Wtedy za karę Barciś wbił mi w filmie gwóźdź w stopę. Choć nigdy takiego zdarzenia nie było i ja nie dałbym się tak złapać” [229].

Serial pojawił się w telewizji w lutym 1987 roku i wywołał falę oburzenia. Protestowały organizacje kobie-

228 – *Losy niniejszego uwodziciela Polski Ludowej. Poznaj prawdziwą historię „Tulipana”, neomedia.info/losy-najsłynniejszego-uwodziciela-polski-ludowej-poznaj-prawdziwa-historie-tulipana*

229 – Za: *ibidem*.

ce, dziennikarze, księża. Twierdzono, że autorzy filmu stworzyli postać „faceta patologicznie poszukującego potwierdzenia własnego ja poprzez zdobywanie naiwnych pańienek i forsy. Faceta bezwzględniego i prymitywnego, dającego sobie radę w każdej sytuacji, a jednocześnie ujmującego czarusa”[230]. Podnoszono, że produkcja nie miała żadnych walorów dydaktycznych, a propagowała jedynie nihilizm i styl życia odbiegający od wszelkich nakazów etycznych.

Jednak widzowie chętnie oglądali ten serial, a gra Jana Monczki, który wcielił się w tytułową rolę Tulipana, spotkała się z dużym uznaniem. Skutkiem popularności tego serialu było choćby to, że pseudonim filmowego Tulipana stał się – obok nazwiska Kalibabki – potocznym określeniem każdego oszusta uwodziciela.

SZKOŁA FLIRTU

Kalibabka nie odbył kary w całości, bo na mocy amnestii został zwolniony już pod koniec 1993 roku. Nigdy nie żałował swoich czynów.

„Spędziłem za kratami dziewięć lat. Miałem pieniądze, to jakoś sobie radziłem. Czasami myślałem, że co z tego, że tu jem czarny chleb z kapuśniakiem. Tego, co przeżyłem, nikt mi nie odbierze”[231].

Powrócił do rodzinnego Dziwnowa, gdzie usiłował na nowo rozpocząć normalne życie. Podczas jego pobytu w więzieniu w Polsce upadł komunizm i teraz wszystko było dla niego nowe. Tymczasem on się nie zmienił i nadal preferował towarzystwo młodych dziewcząt, co zakończyło się kolejną ucieczką przed wymiarem sprawiedliwości. Ponownie wystawiono za nim listy gończe, a on

230 – Za: <http://filmpolski.pl/fp/index.php?film=123824>

231 – Za: *Losy...*

ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem przez pięć lat[232].

W Gorzowie poznał swoją późniejszą partnerkę, młodszą od niego o ponad 30 lat. Zdobyć jej względy kosztowało go wiele starań.

„Karina była modelką – opowiadał – a ja w tym czasie żyłem w związku z dwiema kobietami. Obie kochanki były w ciąży. Wiedziałem, że muszę ją zdobyć, i to za wszelką cenę. I zdobyłem, ale musiałem sprzedać pralnię chemiczną i kupić całą agencję modelek”[233].

Nie wiadomo, ile w tym prawdy, trudno też jednoznacznie powiedzieć, z czego utrzymywał się dawny amant. Niewykluczone, że odzyskał część dawnych łupów, bo podczas procesu Zawadzka wspominała, iż dużo biżuterii zakopywał w sobie tylko znanych miejscach.

Karina urodziła mu pięcioro dzieci, a jego dawne zasoby najwyraźniej już się wyczerpały (o ile faktycznie je posiadał), wobec czego założył zieleniak. Sprzedawał warzywa i owoce przed swoim domem i – delikatnie mówiąc – nie wiodło mu się najlepiej.

„Komornik goni komornika – mówili sąsiedzi dziennikarzom – ciągle przyjeżdża sanepid. U wszystkich mają długi. Najgorsze jest to, że latem rodzice sami przywożą tutaj swoje nieletnie córki, bo Kalibabka ogłasza się, że prowadzi agencję modelek i robi castingi”[234].

Ostatnim jego pomysłem jest Szkoła Flirtu. W trakcie półrocznych kursów chętni mają dowiedzieć się, w jaki sposób „poznawać dziewczyny za granicą i doprowadzać

232 – Jerzy Kalibabka: *Miałem 2000 kobiet, a teraz sprzedaję pomidory-prawdziwa historia Kalibabki*, http://www.se.pl/wiadomosci/polska/jerzy-kalibabka-mialem-200-kobiet-a-teraz-sprzedaje-pomidory-prawdziwa-historia-kalibabki_115914.html

233 – Za: *ibidem*.

234 – Za: *ibidem*.

z nimi szybko do seksu, nawet bez znajomości języków obcych”, ewentualnie – „jak zawładnąć jej umysłem, jej wyobraźnią, by nawet za jakiś czas, jak nie będziecie razem, ona nadal myślała, że byłeś w jej życiu najwspanialszym mężczyzną, jakiego spotkała”[235].

Kalibabka wycenił uczestnictwo w kursie na 1200 złotych i podobno chętnych nie brakuje, a strona internetowa tej instytucji zachęca do podjęcia zajęć. Mistrz ogłasza tam, że uwiódł około trzech tysięcy kobiet (przed pobyciem w więzieniu mówił o tysiącu, potem o dwóch), zachęca hasłami typu: „Instrukcja obsługi kobiet” czy „Jak rozkochać w sobie dziewczynę po 20 minutach rozmowy”[236]. Najwyraźniej pomimo upływu lat dawny uwodziciel wcale się nie zmienił.

„Jestem szczęśliwy, bo mam rodzinę – mówił niedawno dziennikarzom. – Ale jestem stworzony do innego życia! I cierpię. Cierpię okrutnie. [...] Przychodzi młoda dziewczyna, moja siostrzenica. Patrzy mi w oczy. Wiem, że wystarczy tylko chwila, tylko parę słów, by była moja. Ale ja tego nie chcę. No, może chcę. Ale lepiej nie mówić za wiele...”[237].



235 – Za: *Szkoła uwodzenia Tulipana – najsłynniejszy podrywacz PRL-u powraca*,
<http://www.gs24.pl/wiadomosci/kamien/art/4980902,szkola-uwodzenia-tulipana-najslynniejszy-podrywacz-prlu-powraca-wideo,id,t.html>

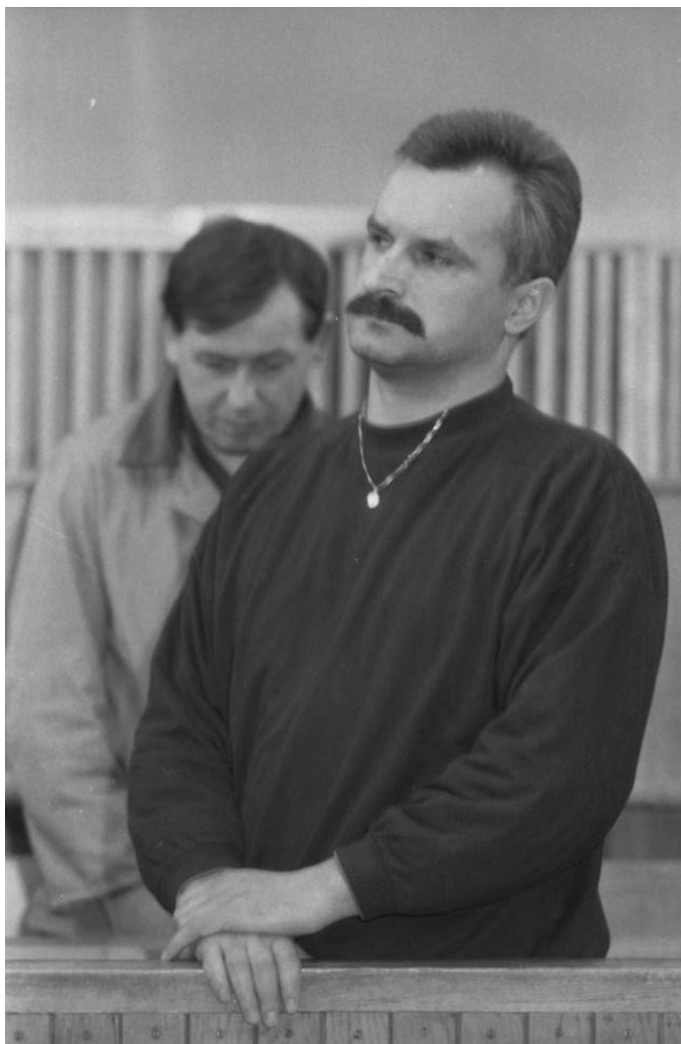
236 – szkolafirtu.pl

237 – *Jerzy Kalibabka...*

Rozdział VI

Wieczny uciekinier





Zdzisław Najmrodzki zorganizował gang złodziei samochodów. W jednym z urzędów gminnych skradli blankiety dowodów rejestracyjnych, a w innym –pieczętki. W ciągu doby pojazd był gotowy do sprzedaży na giełdzie. Zdarzało się, że milicja nie rozpoczęła jeszcze poszukiwania skradzionego auta, a ono już znajdowało się w rękach nowego właściciela.

W środku lata w sądzie gliwickim odbywał się proces – opisywał Janusz Atlas jedną ze spraw sądowych Zdzisława Najmrodzkiego. – Nie dane mu było skończyć się owocnie, bo Zdzisio w przerwie rozprawy spuścił się z celi na drugim piętrze po wcześniej przygotowanym sznurze. Na dole czekał inny wierny wspólnik na motocyklu i razem odjechali. Konwojujący oskarżonego milicjanci zorientowali się, że Najmrodzkiego nie ma w zamknięciu, kiedy on już był bardzo daleko od sądu. Oględziny wykazały, że kraty w oknie zostały przepiłowane i trzymały się na kicie. Co gorsza, wyszło na jaw, że gdyby Najmrodzkiego na przerwę obiadową zamknięto gdzie indziej, to też by zwiął, wprost z sali rozpraw, na oczach sądu! Za ławą oskarżonych wisiła kotara, a za kotarą było tajemne przejście do sąsiadującej z gmachem sądu, a latem opustoszałej szkoły. Najmrodzki miał siedząc pomiędzy milicjantami, zrobić gwałtowne salto w tył i zniknąć za kotarą. To tajemne przejście zostałyby natychmiast zabarykadowane. Gonitwa drogą okrężną, przez budynek sądu, dawała uciekinierowi przewagę całych siedmiu minut. Na szczęście dla stróżów porządku Zdzicho ulitował się nad nimi i wybrał mniej spektakularny sposób ucieczki”[238].

PIERWSZA UCIECZKA

Najsłynniejszy przestępca uciekinier epoki PRL-u nie wspominał dobrze edukacji szkolnej. Naukę na szczeblu podstawowym zakończył w piątej klasie, bo trzy próby przebrnięcia przez klasę szóstą zakończyły się niepowodzeniem. Po latach tłumaczył, że przyczyną była niechęć do niego jednego z nauczycieli, polonisty.

Najmrodszki trafił do specjalnej szkoły zawodowej o profilu mechanicznym, gdzie zainteresował się samochodami. Później podjął pracę w warsztacie naprawczym, a pasji do motoryzacji pozostał wierny przez całe życie, niezmiennie przejawiając wyjątkową słabość do dobrych samochodów i szybkiej jazdy.

Pochodził z niezamożnej rodziny – jego ojciec był robotnikiem, a matka prowadziła kiosk. Jak na realia epoki PRL-u Najmrodszcy dość często zmieniali miejsce zamieszkania. Zdzisław urodził się w Stomorgach w okolicach Piotrkowa, a gdy miał trzy lata, jego rodzina osiadła w Gołąbkach pod Warszawą. Następnie wrócili w Piotrkowskie, później kilka lat mieszkali w Gliwicach, po czym przeprowadzili się do niewielkiej miejscowości Sokule pod Żyrardowem.

Znaczący wpływ na losy Zdzisława wywarła służba wojskowa. Trafił do jednostki pancernej w Gubinie, gdzie zwrócono uwagę na jego znakomitą sprawność fizyczną i wydelegowano do zawodów sportowych (trójbój wojskowy). Dowódcy wróżyli mu przyszłość w szeregach Ludowego Wojska Polskiego, zainteresowała się nim nawet elitarna 63 Kompania Specjalna z Bolesławca. Przy okazji poddawano go różnego rodzaju sprawdzianom. W ramach jednego z testów miał bez przepustki i w mundurze pojechać do rodziców, a następnie wrócić do jednostki, nie dając się przy tym zatrzymać żandarmerii wojskowej. Egzamin zdał celująco, bo już wtedy potrafił doskonale się

ukrywać, jednak podczas rzucania granatem odniósł poważną kontuzję i z tego powodu nie został komandosem.

Po raz pierwszy wszedł w konflikt z prawem wkrótce po zwolnieniu do cywila. Przebywając u rodziców, wracał z bratem z jakiejś zakrapianej imprezy i wdał się w bójkę z grupką innych podpitych przechodniów. Na nie szczęście okazało się, że byli to milicjanci po cywilnemu, w związku z czym obaj Najmrodzcy wylądowali w areszcie. Tym razem skończyło się na wyrokach w zawieszeniu, a wkrótce po tym Zdzisław wyjechał do Gliwic, gdzie zatrudnił się w warsztacie samochodowym. Ożenił się, ustatkował, marzył o karierze kierowcy rajdowego. Wszystko to przekreśliła kolejna wizyta u rodziców i następna bójka z milicjantami. Tym razem sprawa zakończyła się wyrokiem półtora roku więzienia.

Nie spieszyło mu się zanieść do odbycia tej kary, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, uciekł z konwoju. Wykorzystał to, że przewożono go pociągiem, a funkcjonariusze Służby Więziennej dopuścili się poważnych zaniedbań. Nie tylko zdjęli mu w przedziale kajdanki, ale też kupowali mu piwo (za jego pieniądze), przy czym sami raczyli się wódką. A gdy po tej libacji zasnęli, Najmrodzki poczekał, aż pociąg zwolni, i wyskoczył przez okno.

„Od chwili ucieczki – wspominał uciekinier – nieustannie trwał pościg za moją osobą. Na przestrzeni sześciu lat poszukiwań mojej osoby byłem dziesiątki razy zatrzymywany przez organy MO, ale tylko sporadycznie aresztowany. Po bliższym poznaniu socjalistycznej Temidy moją jedyną dewizą obrony była już tylko ucieczka”[239].

PRZEMYTNIK I ZŁODZIEJ

Powrócił do Gliwic, gdzie zamieszkał z żoną, nie ukrywając się przy tym specjalnie. Nikt z sąsiadów go nie zdradził, nie został ponownie aresztowany, jednak z racji ciężącego na nim wyroku nie mógł znaleźć pracy. Wówczas przydały się znajomości z wojska – jeden z oficerów (Najmrodzki nigdy nie zdradził jego nazwiska) skontaktował go z gangiem przemytników operujących na wschodniej granicy. Szefowie bandy (podobno funkcjonariusze MSW) potrzebowali dobrego kierowcy, który miał jeździć w charakterze zwiadowcy przed samochodami z towarem. Najmrodzki zgodził się i odtąd już nigdy nie podjął legalnej pracy.

„Gang [...] handlował dużymi partiami odzieży dżinsowej, którą przewożono z Wybrzeża do rosyjskiej granicy – tłumaczył biograf Najmrodzkiego, Józef Łoziński. -[...] Zarobki były wysokie, dżinsy sprzedawano po 80-120 rubli, za te pieniądze kupowano brylanty powyżej 1 karata i przrzucano je do zachodniej Europy. Płacono mu w towarze, który upłynniał [...]” [240].

Zadaniem Najmrodzkiego było ściągnięcie na siebie uwagi milicji. Gdy dostrzegał patrol, informował o tym swoich mocodawców, po czym, jadąc w nieprzepisowy sposób, prowokował funkcjonariuszy do pościgu. Nigdy się nie zdarzyło, by radiowóz go dogonił, bo pan Zdzisław rzeczywiście był znakomitym kierowcą. Raz tylko miał kraknę, ale wówczas udało mu się uciec pieszo.

„Już ponad rok, jak pracuję [...] jako kierowca pościgowy – zwierzał się – zaś od ucieczki z pociągu minęło jeszcze dłużej i nikt mnie nie szuka naprawdę. Co to oznacza? Albo instytucja zwana MO jest kolosem na glinianych nogach, który swoim bezwładem przygniata własnych funkcjonariuszy, nigdy przestępców, albo ktoś zainteresowany jest w tym, żebym był na wolności i robił to, co robię. Bo przecież jestem zbiegiem, lecz moje swobodne za-

chowanie i moja sytuacja finansowa świadczą o tym, że nim nie jestem”[241].

Zarabiał duże pieniądze, toteż niebawem stać go było na zakup używanego fiata 125 i na prowadzenie całkiem wygodnego życia. W tym czasie rozpadło się jego małżeństwo, a powodem miało być to, że żona nie mogła mieć dzieci.

W pewnym momencie milicja zaczęła poszukiwać go całkiem na poważnie, w związku z czym kilka razy był zatrzymywany. Funkcjonariusze wykazywali jednak wyjątkową nieporadność, a może po prostu nie doceniali determinacji przestępcy. Za każdym razem Najmrodzkiemu udawała się ucieczka na piechotę (!), zanim dostarczono go na komisariat. Z czasem zdobył wśród milicjantów taki rozgłos, że pojawiły się za nim listy gończe, a jego zdjęcie figurowało na każdym posterunku milicji.

„SZASZŁYK”

Wówczas uznał, że sytuacja stała się wystarczająco trudna, i postanowił przedostać się na Zachód. Od swoich pracodawców miał dostać fałszywy paszport, ale oczekiwanie na dokument w motelu w Strzelcach Opolskich zakończyło się kolejnym zatrzymaniem i następną ucieczką. Wtedy wziął sprawę we własne ręce i zdecydował się przekroczyć zieloną granicę. Wybrał dość popularną drogę przez Czechosłowację do Austrii lub Niemiec, natomiast w osłupienie może wprawić fakt, że w ucieczce towarzyszyła mu matka. Pani Najmrodzka miała już swoje lata, więc musiała bardzo kochać syna, skoro zdecydowała się na taki hazard.

„[...] doprawdy nie wiadomo, jak to się stało, że doszli aż pod granicę Czechosłowacji z RFN – relacjonował Ja-

nusz Atlas. – Tam złapana została Sabina Najmrodzka, więc synalek dobrowolnie oddał się w ręce strażników. Na przejściu w Kudowie niedoszłych zbiegów odebrała milicja, ale Najmrodzkiego dowiozła tylko w pół drogi.

Na trasie między Wrocławiem i Łodzią skatował konwój i zniknął”[242].

Po powrocie do kraju Zdzisław postanowił się usamodzielnąć. Zorganizował grupę specjalizującą się we włamaniach do sklepów Pewexu i na tym polu osiągnął znaczne sukcesy. Podobno obrabował ponad 70 placówek, a złośliwi twierdzili, że w ten sposób realizuje marzenie każdego obywatela PRL-u. Bo któż nie marzył o tym, by wejść do takiego sklepu z plikiem dolarów i zaszałeć? Różnica polegała na tym, że Najmrodzki szalał, wcale nie szastając amerykańską walutą. Można też powiedzieć, że szalał bardzo ostrożnie, bo nigdy nie zorganizował włamania w Warszawie, gdzie sklepy były lepiej strzeżone. Przy okazji jego gang opracował własną metodę działania, a było to tzw. włamanie na plakat.

„Okna wejściowe nie miały z reguły alarmu – relacjonował dziennikarz Andrzej Gass. – Wycinali w nich otwór, wchodzili, naklejając plakat. Następnie wynosili: stroje dżinsowe, sprzęt gospodarstwa domowego, czekoladę. [...] Następnie szło to na bazyry i było sprzedawane natychmiast”[243].

Złodzieje wykorzystywali niewydolność socjalistycznej gospodarki i sytuację wiecznego niedoboru, w której przeciętni ludzie dysponowali pieniędzmi, podczas gdy w sklepach brakowało towarów. W pełni zaopatrzone były jedynie sklepy Pewexu i targowiska, na których rzeczywiście można było kupić wszystko po odpowiednio zawyżonych cenach. Najmrodzki szybko stał się cenionym do-

242 – J. Atlas, *op. cit.*, s. 177.

243 – *Wielkie napady PRL. Uciekinier Najmrodzki*, TVP Regionalna, 2005.

stawcą towarów na bazy, wtedy też zaczęto nazywać go „Szaszłyk” i pod tym przydomkiem stał się znany w świecie przestępczym. Nie bez powodu, bo zawsze przykładął dużą wagę do przyjemności kulinarnych, a do szaszłyków miał niewątpliwą słabość.

„Do jakiej restauracji nie wchodził – kontynuował Gass – zamawiał szaszłyki, szaszłyk z ryżem. [...] W ogóle lubił dobre jedzenie. W 1986 roku na Rakowieckiej zetknął się z nim w jednej celi Piotr Niemczyk – już w III Rzeczypospolitej zastępca szefa wywiadu Urzędu Ochrony Państwa – który później relacjonował, że Najmrodzki potrafił całymi godzinami opowiadać o dobrym jedzeniu, gdzie co zjadł, w jakiej knajpie... No i do tego ten legendarny szaszłyk. Zresztą on wymawiał to »saszłyk«, bo miał jakąś taką lekką wadę wymowy”[244].

OSTATNI, CO TAK POLONEZY WODZIŁ

Gang okradał sklepy Pewexu przez rok, aż wreszcie jego szef wpadł w ręce milicji. Prawdopodobnie doniósł na niego jeden z podwładnych. Najmrodzkiego osadzono w areszcie w Kaliszu, jednak dzięki interwencji jego dawnych przełożonych od przemytu (wciąż pełnili odpowiedzialne funkcje w MSW) przewieziono go do więzienia w Gliwicach. W tym mieście miał też być sądzony.

„Nie interesują mnie twoje ucieczki z konwoju – powitał go naczelnik więzienia. – Zapamiętaj sobie, tu są Gliwice, tu nawet Niemcom nikt nie uciekł. Będziesz pod specjalnym nadzorem i niech ci się nie marzą niskie mury. Potrafimy je podwyższyć w każdej chwili, zrozumiałeś?”[245].

Obiektywnie trzeba przyznać, że milicja zachowywa-

244 – *Ibidem*.

245 – Za: J. Łoziński, *op. cit.*, s. 72.

ła już wszelkie środki ostrożności. Gdy Zdzisława przewożono do więzienia, to samochód „podjeżdżał tyłem pod drzwi” i aresztowanego skutego kajdankami wypychano pod eskortą bezpośrednio do korytarza.

Wspólnicy nie zostawili go jednak na pastwę losu – to właśnie wtedy dzięki ich pomocy opuścił budynek sądu, spuszczając się po linie. Jego ucieczka zrobiła nieprawdopodobne wrażenie na funkcjonariuszach aparatu ścigania. Zaczęto nawet mówić, że Najmrodzki zawsze wychodzi z więzienia, gdy tylko poczuje na to ochotę. Nie podejrzewano wówczas jeszcze, że najbardziej spektakularne ucieczki były dopiero przed nim.

Na razie Zdzisław uznał, że należy mu się wypoczynek. Było lato 1980 roku, polski socjalizm chwiał się w posadach, a „Szaszłyk” rozkoszował się wolnością. Kolerzy przyprowadzili mu fiata 125 na dyplomatycznych numerach, co zapewniało nietykalność ze strony milicji. Pod zmienionym nazwiskiem kilka tygodni przebywał w Wiśle, romansując z córką właścicielki willi, w której mieszkał. Idylla skończyła się, gdy rozpoznał go znajomy złotnik z Gliwic. Najmrodzki i tym razem uciekł milicjantom, ale wtedy uznał, że czas zakończyć urlop i wrócić do pracy.

Tym razem zorganizował gang złodziei samochodów, przy czym nie interesowały go drogie zachodnie pojazdy – jego grupa kradła wyłącznie polonezy. „Szaszłyk” rozumował logicznie: używane polonezy po okazyjnej cenie były dostępne dla wielu polskich rodzin, nigdy zatem nie miał problemów z ich zbytem. Zadbał też o to, by grupa przystąpiła do pracy w sposób jak najbardziej profesjonalny.

„Gang liczył około dziesięciu osób – opowiadał Andrzej Gass – i opracował własną metodę włamywania do samochodów. To była metoda »przez tylne okienko«, gdzie wyjmowali precyzyjnie uszczelkę, wyjmowali szybę,

jedna osoba wchodziła, następnie samochód był odpychany z miejsca [...] 100–200 metrów, później »spinali na krótko« i odjeżdżali”[246].

Opracowano również pewne metody „legalizacji” zdobyczy. W jednym z urzędów gminnych skradziono blankiety dowodów rejestracyjnych, a w innym – pieczętki. Sporządzano dokumenty, przebijano numery silnika oraz nadwozia i w ciągu doby pojazd był gotowy do sprzedaży na giełdzie samochodowej. W efekcie zdarzało się, że milicja nie rozpoczęła jeszcze poszukiwania skradzionego auta, a ono już znajdowało się w rękach nowego właściciela. Najmrodzki i spółka ukradli łącznie ponad sto polonezów, które natychmiast znalazły nabywców.

Ze względów bezpieczeństwa gang „Szaszłyka” kojarzył z usług kilku warsztatów samochodowych na terenie całego kraju. Dzięki temu działalność grupy nie wzbudzała specjalnego zainteresowania otoczenia, czas „legalizacji” auta był stosunkowo krótki, a podróże skradzionym pojazdem – ograniczone do niezbędnego minimum.

„Nie sądzę, by Najmrodzki miał jakieś specjalnie ulubione miejsca, które upodobał sobie na działalność przestępczą – wspominał emerytowany oficer MO Jan Płócienniczak. – Nie krępowaty go granice województw ani rodzaj miast. Po prostu szedł tam, gdzie było coś interesującego do wzięcia”[247].

Gang nigdy nie przystępował do akcji bez dokładnego rozpoznania. W działaniach przestępców nie było miejsca na improwizację czy emocje. „Szaszłyk” doskonale wiedział, że wtedy najłatwiej o błąd, który może go ponownie zaprowadzić do więzienia.

„Bandyci bardzo starannie planowali swoje wyprawy – potwierdzał dziennikarz śledczy Janusz Jastrzębski. – Do tego stopnia, że nawet obserwowali i zbierali informa-

246 – *Wielkie...*

247 – *Ibidem.*

cje o przyzwyczajeniach ludzi, których zamierzali obrobić” [248].

Jednak gdy okoliczności sprzyjały, złodzieje pozwalali sobie nawet na różnego rodzaju ekstrawagancje zawodowe – na przykład jednym z polonezów odjechali spod domu ówczesnego ministra Ireneusza Sekuły...

PAŁAC MOSTOWSKICH

Najmrodzki stał się profesjonalistą w złodziejskim fachu, jednak jego życie prywatne było bardzo nieuprządkowane. Zbyt dużo pił, miewał romanse mogące go zdekonspirować, z reguły prowadził samochód jak pirat drogowy, co groziło milicyjnym pościgiem. Miał słabość do luksusowych samochodów zachodnich marek i w marcu 1984 roku stało się to przyczyną kolejnego aresztowania.

„Bawił w luksusowym hotelu w Mrągowie – opisywał Janusz Atlas. – Miał przy sobie masę forsy, a na parkingu czekało skradzione parę dni wcześniej na Wybrzeżu luksusowe i szybkie bmw. Następnym etapem rajzy Najmrodzkiego była stolica. Bardziej dla sportu niż rzeczywistej korzyści zabrał z hotelu mrągowskiego kolorowy telewizor, który stał w pokoju. [...] Patrol milicji drogowej zapragnął go zatrzymać z czystej ciekawości, aby obejrzyć wewnątrz eleganckiego wozu. Ale Zdzicho myślał, że o ten kradziony telewizor chodzi stróżom porządku, więc wcisnął gaz do dechy. Patrol zarządził pościg, ale, rzecz jasna, polonez przy bmw był bez szans. Dlatego drogą radiową zaalarmowano policję ciechanowską. Kolejny patrol ustawił w poprzek drogi dwa polonezy, ale Zdzicho ominął je poboczem. Dlatego w województwie stołecznym cała droga była już zablokowana, a jazdę uniemożliwiła metalowa kolczatka. Nie takie sztuczki na Najmrodzkiego. Skrę-

cił bmw w pole i na drogę wyjechał już poza obszarem kontrolowanym. Wtedy pościg drogowy został wzmocniony helikopterem i tak doholowano Zdzicha do Błonia. Kiedy zobaczył, że uliczki miasteczka całe są niebieskie od milicyjnych mundurów, wpakował bmw w mur najbliższego domu, a sam zaczął uciekać w las piechotą. I umknąłby, gdyby miał inne buty. Ale mokasyn ugrzązł w błocie, a na bosaka biegać nieprzyjemnie. No to się poddał i został posadzony w areszcie [...]” [249].

Brawurowa ucieczka przez niemal pół kraju przysporzyła Najmrodzkiemu wielu sympatyków. W tamtych czasach społeczeństwo raczej nie przepadało za milicją, więc taki człowiek jak „Szaszłyk”, który przez lata pozostawał nieuchwytny dla organów ścigania, musiał wzbudzić uznanie.

Aresztowanego przewieziono do pałacu Mostowskich, a przedstawiciele milicji z triumfem obwieścili swój sukces na konferencji prasowej. Zapowiedzieli też szybki proces przestępcy, bo nie byli w stanie przewidzieć, że już wkrótce zamiast do rozprawy dojdzie do jednej z największych kompromitacji aparatu ścigania w dziejach PRL-u.

„Przesłuchujący oficer sprowadził Najmrodzkiego do celi, żeby zjadł sobie obiad – relacjonował Andrzej Gass. – Na jakimś załomku korytarza Najmrodzki uderzył go skutymi rękoma tak silnie, że oszołomił tego oficera. Oficer upadł, a on miał już przy sobie wytrych zrobiony ze skuwki do długopisu do otwierania kajdanek. Otworzył te kajdanki, zdjął z oficera marynarkę (ten był po cywilnemu), wyjął jego dokumenty, szedł do wejścia i tam pomachał wartownikowi legitymacją i wyszedł” [250].

Udał się na postój taksówek, pojechał do kuzyna w Ursusie – i ślad po nim zaginął. Milicja ponownie zwołała konferencję prasową, ale tym razem nastroje były już cał-

249 – J. Atlas, *op. cit.*, s. 176.

250 – *Wielkie...*

kiem inne. Oficerowie prowadzący dochodzenie musieli przyznać, że „był wyróżniającym się przestępcą i miał niekonwencjonalne pomysły”.

Sprawą osobiście zainteresował się generał Czesław Kiszczak pełniący wtedy funkcję ministra spraw wewnętrznych. Uznał, że ucieczki Najmrodzkiego kompromitują organy ścigania, w związku z czym od tej chwili złodzieja poszukiwano znacznie bardziej energicznie niż ukrywających się działaczy podziemnej Solidarności. Wbrew pozorom nie przyniosło to większych rezultatów i przez kolejny rok „Szaszłyk” pozostawał na wolności.

Nie zorganizował jednak kolejnej grupy przestępczej, chociaż powrócił do zawodu. Teraz kradł raczej rekreacyjnie, aby nie wyjść z wprawy. Można było podejrzewać, że w końcu zamierza się ustatkować.

„[...] pod Warszawą, na legalnych papierach swojej młodziutkiej narzeczonej miał wille, a planował jeszcze uruchomienie szklarni – opowiadał Janusz Atlas. – Jak mu czegoś brakowało w domu, to po dawnemu włamywał się do »Pewexów«. Tylko biżuterię dla Uli kupował za gotówkę i nawet chował rachunki” [251].

Po pewnym czasie znowu został sprzedany przez jednego ze znajomych, wskutek czego po raz kolejny trafił do aresztu. Tym razem milicja dołożyła wszelkich starań, aby nie doszło do kolejnej kompromitacji. Wobec Najmrodzkiego zastosowano zabezpieczenia nieznane dotąd w dziejach polskiej kryminalistyki.

„Przez kolejny rok w celi Zdzicha dwadzieścia cztery godziny na dobę paliło się światło – wyjaśniał Atlas – a kiedy odbywał się proces, pół gmachu stołecznych sądów obstawiono funkcjonariuszami. Nawet za plecami składu orzekającego stał cały czas snajper osłaniający okno” [252].

251 – J. Atlas, *op. cit.*, s. 178.

252 – *Ibidem*, s. 179.

„Szaszłyk” został skazany na wieloletnie więzienie, a swój wyrok miał odbywać w zakładzie karnym w Gliwicach. Uznano go za osobę szczególnie niebezpieczną, co wiązało się z całodobową obserwacją przez służbę więzienną. Natomiast środki masowego przekazu niezwłocznie po procesie triumfalnie ogłosiły, że kariera króla ucieczek dobiegła końca.

GLIWICE RAZ JESZCZE

Przez dwa lata Zdzisław był wzorowym więźniem, co wcale nie oznaczało, że zamierzał odsiedzieć wyrok w całości. Wiedział, że jest pod stałą obserwacją, dlatego tym razem ucieczka musiała być wyjątkowo dobrze zaplanowana. Główną rolę w przygotowaniach odegrała Sabina Najmrodzka, jednak autorem planu był zapewne jej syn. Właściwy dzień nadszedł 3 września 1989 roku – właśnie wtedy wieczorny *Dziennik Telewizyjny* podał sensacyjną wiadomość.

„Jeden z pensjonariuszy gliwickiego aresztu zniknął podczas spaceru jak kamfora – relacjonował z ironią lektor audycji. – Zdzisław Najmrodzki, bo o nim mowa, raz jeszcze przechytrył swoich opiekunów. [...] Jak na króla podziemia przystało, uciekł pod ziemią. Sześciometrowy tunel wykopano od strony miasta, ciekawe, kto go kopał?” [253].

Wszystko odbyło się w wyjątkowo spektakularny sposób. Obserwowany przez dwóch strażników „Szaszłyk” samotnie krążył po spacerniaku, by nagle... zapaść się pod ziemię. Ustalono później, że tunelem przedostał się do pobliskiej szkoły, gdzie czekał na niego współlnik. Obaj panowie wsiedli na motor i odjechali w siną dal. W celi znaleziono tylko list do naczelnika więzienia, w którym

przestępca dziękował mu za gościnę...

Śledztwo wykazało, że budowę podkopu zleciła matka uciekiniera. Na polecenie syna skontaktowała się z jego znajomym, Kazimierzem Ożogiem. Mężczyzna podjął się realizacji zadania – to właśnie on przygotował tunel, którym uciekł Najmrodzki.

„Wedle jej planu i wskazówek – zeznawał Ożóg – miałem wykopać 8-metrowy podkop z piwnicy szkoły sąsiadującej z aresztem śledczym do tzw. spacerniaka, czyli podwórza aresztu, na którym więźniowie odbywali regulaminowe spacerzy” [254].

W budowę tunelu zaangażowani byli wyłącznie Ożóg i Najmrodzka, dzięki czemu wszystko udało się zachować w tajemnicy. Wykorzystali oni fakt, że w szkole trwał właśnie remont, a wszystkie tego rodzaju inwestycje w epoce PRL-u trwały przecież niezwykle długo. Zapewne dlatego nikt nie dostrzegł nic podejrzanego.

„Sprzęt zgromadziła Najmrodzka – twierdzili śledczy. – Ożóg przystąpił do drążenia podkopu. Mężczyzna posługiwał się dwiema saperkami oraz łomem, którym wykłuł otwór w ścianie piwnicy. W piwnicy wykonywany był remont. Ożóg drążył tunel, ziemię wsypywał do wiaderka. Tę Najmrodzka przesypywała do worków i wносиła do śmietników oraz rozsypywała na klombach. Prace trwały około trzech miesięcy. Po ich zakończeniu Ożóg podstemplował otwór prowadzący na podwórze aresztu. Oznaczył wylot kilkucentymetrowym ostrzem, aby Najmrodzki wiedział, gdzie jest” [255].

Podkop został wykonany zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki budowlanej. Był wysoki i ostemplowany, dzięki czemu „Szaszłyk” mógł tamtędy nawet biec, co

254 – Za: T. Szymborski, *Zdzisław Najmrodzki wymykał się milicji 29 razy!*, <http://www.focus.pl/artykul/zdzislaw-najmrodzki-wymykal-sie-milicji-29-razy>

255 – Za: *ibidem*.

znacznie skracało czas ucieczki. W dniu akcji Ożóg pozostawił wewnątrz palącą się lampę naftową, aby więzień nie miał problemów z dotarciem do szkolnej piwnicy. Wiadomo również, że Najmrodzka musiała mieć współnika na terenie więzienia, nigdy jednak nie wykryto, kto nim był.

„Wskazuje na to – tłumaczył prokurator Zefiryn Jeleń – nie tylko dokładna znajomość przez jej syna czasu i sposobu ucieczki, lecz również kawałek blachy umieszczonej na metalowej siatce rozpiętej nad podwórzem spacerniaka, dokładnie w miejscu, gdzie znajdował się wylot tunelu. Wspomniany kawałek blachy mógł być umieszczony tylko przez osobę mogącą swobodnie poruszać się po terenie aresztu. Ten szczególny znak, widoczny z daleka i zrozumiały jedynie dla osób wtajemniczonych, wskazywał miejsce, które Kazimierz Ożóg oznaczył metalowym szpikulcem”[256].

Tym razem pobyt „Szaszłyka” na wolności trwał zaledwie kilka tygodni, bo ponownie wpadł on w ręce milicji, a zawdzięczał to wyłącznie własnej beztrosce. Popijał z kolegą w motelu Krak w Myślenicach, po czym pijany usiadł za kierownicą kradzionego fiata 132. Ruszył, a gdy zobaczył patrol próbujący go zatrzymać, zaczął uciekać.

„Pojechałem w jego kierunku – opowiadał starszy kapral Zenon Trzcziński. – Ujechałem kilkaset metrów i za skrzyżowaniem [...] zobaczyłem samochód rozbity na słupie oświetleniowym”[257].

Nieprzytomnego Najmrodzkiego przetransportowano do szpitala. Miał przy sobie dokumenty na inne nazwisko, wzbudziły one jednak podejrzenia funkcjonariuszy. Milicjanci nie wiedzieli jeszcze, kto wpadł w ich ręce, ale przecież pobrali odciski palców zatrzymanego... Król ucieczek znów znalazł się pod kluczem.

256 – Za: *ibidem*.

257 – <https://www.youtube.com/watch?v=TMBAPmfUHoY>

OSTATNIA KRADZIEŻ

Skazano go łącznie na 19,5 roku więzienia. Karę odbywał w Strzelcach Opolskich i stamtąd nie potrafił już zbiec. Nie potrafił albo nie chciał, bo zapewne dotarły do niego niepokojące wieści – policjanci podobno zarzekali się, że jeśli znowu ucieknie, to po zatrzymaniu zostanie zastrzelony podczas „czynnej napaści na funkcjonariusza”. Ustrój mógł się zmienić, mogła się zmienić nazwa organów ścigania, ale Najmrodzki pozostawał dla nich wrogiem numer jeden.

W tej sytuacji „Szaszłyk” na dłużej stał się wzorowym więźniem i zaczął nawet głosić, że wobec upadku komunizmu chętnie podda się resocjalizacji i w nowych warunkach zostanie wreszcie przykładowym obywatelem. Już w areszcie śledczym zaczął pisać wiersze, a jego tomik *Oblicza prawdy* znalazł aż siedem tysięcy nabywców. Wydaje się jednak, że Najmrodzki był znacznie lepszym złodziejem niż poetą.

*Może na zawsze zginę z areny,
Mój wzrok gaśnie w ponurym cieniu.
Przyjaciółkę niewierną miałem,
Dziś pogrążony jestem w milczeniu.*

[...]

*W tej sile płynie wdzięk czuły,
Skrada się górskim strumykiem,
Chcę zbudzić serce zdradliwe,
Aby nie czuło się dłużej dzikiem [258].*

Planował również napisanie autobiografii, poprze-

stał jednak na rozmowach z wrocławskim prozaikiem Józefem Łozińskim. Dzięki temu powstała zadziwiająca książka (*Poszukiwany Zdzisław Najmrodzki*), której główna teza głosi, że przyczyną zejścia Zdzisława na złą drogę byli... Sowietci. Dręczyli oni bowiem jego bliskich po wybuchu II wojny światowej, zaś dalszą degenerację „Szaszłyka” spowodowała rodzima władza ludowa. Według Łozińskiego Najmrodzki oczywiście nie okradał pewexów (była to prowokacja milicji), o polonezach też jakoś cicho na kartach tej książki. Nic jednak dziwnego, bo na pierwszy plan wysuwają się tutaj wewnętrzne rozterki i socjologiczno-filozoficzne rozważania głównego bohatera czy może raczej autora tego dzieła...

„Nie tylko ćwiczył ciało, ćwiczył także duszę (jeżeli można się tak wyrazić w wieku idealistycznego chaosu i materialistycznych prymatów) w permanentnym buncie wobec zewnętrznego świata, w oswojaniu nienawiści maszyny MO, którą zaczął odczuwać jako podstawowy element ich zawodowej pracy”[259].

W połowie listopada 1994 roku Najmrodzki został ułaskawiony przez prezydenta Lecha Wałęsę. Skrócono mu karę ze względu na wzorowe zachowanie, wyrażając przy tym przekonanie o skuteczności działań resocjalizacyjnych. Najwyraźniej próby poetyckie Zdzisława nie poszły na marne...

„Kiedy wyszli na wolność zabójcy księdza Popiełuszki – tłumaczył prezydencki doradca Lech Falandysz – trudno trzymać w więzieniu takiego Najmrodzkiego, który nikogo nie zabił, nie napadał z bronią w rękę. [...] W dodatku pisał wiersze i wygląda na to, że jest zresocjalizowany, a więzienie w Strzelcach Opolskich wydało mu bardzo dobrą opinię”[260].

Dwa tygodnie później „Szaszłyk” był już na wolności.

259 – J. Łoziński, *op. cit.*, s. 45.

260 – *Wielkie...*

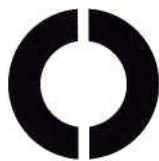
Dziennikarzom opowiadał, że zerwał z przestępczym procederem i obecnie jest już innym człowiekiem. Zamierzał zająć się biznesem, wspominał też o hodowli ryb łososiowatych na Mazurach.

Nie było mu jednak dane zrealizować planów na przyszłość. Zdzisław Najmrodzki zginął 31 sierpnia 1995 roku w wypadku samochodowym pod Mławą. Prowadzone przez niego bmw zderzyło się czołowo z ciężarówką, a wraz z kierowcą życie stracili dwaj chłopcy – synowie przyjaciela „Szaszłyka”. Policję i pogotowie powiadomił nieszczęsny ojciec, który jechał drugim autem i nie mógł nadążyć za Zdzisławem.

Oględziny rozbitego samochodu wykazały, że pochodził on z kradzieży, miał fałszywe tablice rejestracyjne, a sam Najmrodzki posługiwał się dowodem osobistym wystawionym na inne nazwisko. Najwyraźniej „Szaszłyk” do końca jednak pozostał sobą...



Zakończenie

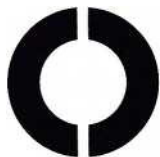


Nie chciałbym się powtarzać, ale po raz kolejny, gdy kończę książkę, mam wrażenie, że tylko zasygnalizowałem pewne wątki, i chętnie bym jeszcze do tej problematyki powrócił. Życie przestępcze w dziejach naszego kraju to przecież temat rzeka i wcale nie trzeba się cofać do zamierzchłych epok. Wystarczy samo burzliwe XX stulecie: czasy *belle époque*, lata międzywojenne, okupacja i okres Polski Ludowej. Nie napisałem przecież o prowokacjach policyjnych carskiej Ochrony, legendarnym Urke Nachalniku czy gangu Ślepego Maksa z Łodzi. Nie wspomniałem też o słynnych napadach okresu PRL-u, w którym również nie brakowało spektakularnych rabunków i zabójstw, często nigdy niewyjaśnionych.

A skoro mam już na koncie pozycje o wielkich zdrajcach i o wielkich szpiegach, to zapewne kiedyś przystąpię do napisania pracy o wielkich przestępcach. I nie będę w niej musiał wracać do postaci z niniejszej książki, bo nie brakuje przecież ludzi, którzy z różnych względów łamali obowiązujące prawo. Ich żywoty zaś często obfitowały w tak ciekawe wydarzenia, że stanowiły niemal gotowy materiał nie tylko na książkę, ale i na scenariusz pasjonującego filmu.



Ważniejsza bibliografia



Archiwum Sądu Rejonowego w Nowym Targu, sygn. akt IIK 315/83

Atlas J., *Atlas kryminalny*, Warszawa, b.d.w.

Cat-Mackiewicz S., *Panie Prezydencie Rzeczypospolitej, wskrzesz człowieka*, „Słowo”, 14.06.1937

Daniszewski T., *Polski ruch robotniczy w latach reakcji (1908-1912)*, [w:] *Zarys historii polskiego ruchu robotniczego*, <http://1917.net.pl/node/7644>

Degler J., *Witkacego portret wielokrotny*, Warszawa 2009

Demel R., *Sergiusz Piasecki (1901-1964): życie i twórczość*, Warszawa 2001

Dyniewski T., *Zbrodnia Damazego Macocha*, http://niniwa22.cba.pl/zbrodnia_damazego_macocha.htm
„Dziennik Telewizyjny” 1989, [youtube.com/watch?v=tRgRtCaMY2c](https://www.youtube.com/watch?v=tRgRtCaMY2c)

Dzieszyński R., *Szpicbródka i inni. Historie świata przestępczego*, Warszawa 1994

Eberhardt G., *Pisarz dla dorosłych. Opowieść o Józefie Mackiewiczu*, Wrocław, b.d.w.

Errata do biografii, Sergiusz Piasecki, Telewizja Polska SA 2010
„Express Wieczorny Ilustrowany”, 21.02.1931

Ferreras-Tascón M., *Zacięta wojna płka Modelskiego*, <http://glaukopis.pl/pdf/5-6/arttykul-8-7.pdf>
<http://filmpolski.pl/fp/index.php?film=123824>

Giedroyc J., *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1994

Grzywacz M., *Tata Tasiemka i jego ferajna*, „Ale historia!”, 18.02.2015

Ich ostatni sygnał..., „Tajny Detektyw”, 37/1932

Jerzy Julian Kalibabka – *znawca miłości*, Poltel 1982,
<https://www.cda.pl/video/95171115>

Jerzy Kalibabka: *Miałem 2000 kobiet, a teraz sprzedaję pomidory* – *Prawdziwa historia Kalibabki*, <http://www.se.pl/wiadomosci/polska/jerzy-kalibabka->

[miałem-200-kobiet-a-teraz-sprzedaje-pomidory-prawdziwa-historia-kalibabki_115914.html](http://mialem-200-kobiet-a-teraz-sprzedaje-pomidory-prawdziwa-historia-kalibabki_115914.html)

Kaden-Bandrowski J., *Cząstka kultury*, „Gazeta Polska”, 18.07.1937

Kąkolewski K., *Rozkaz zabić anno 1911*, http://niniwa22.cba.pl/rozkaz_zabic_anno_1911.htm

Kercelak, „Tajny Detektyw”, 11/1932

Konarski L., *Kochał, bił, kradł*, „Przegląd Tygodniowy”, 21/1982

Konarski L., *Tysiące i ona jedna*, „Przegląd Tygodniowy”, 21/1983

Konarski L., *Wierne służbie*, „Przegląd Tygodniowy”, 36/1983

Konarski L., *Wszystkie dziewczyny są moje*, „Przegląd Tygodniowy”, 21/1983

Kowalewski J., *To może ostatni romantyk*, „Tydzień Polski”, 40/1964

Kuciel-Frydryszak J., *Świątokradztwo na Jasnej Górze*, http://wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,15823515,Swie-tokradztwo_na_Jasnej_Gorze.html

„Kurier Warszawski”, 01.03.1912

„Kurier Warszawski”, 09.01.1882

„Kurier Warszawski”, 12.06.1908

„Kurier Warszawski”, 16.03.1902

„Kurier Warszawski”, 20.01.1930

„Kurier Warszawski”, 29.11.1902

Losy najsłynniejszego uwodziciela Polski Ludowej. Poznaj prawdziwą historię „Tulipana”, neomedia.info/losy-najslynniejszego-uwodziciela-polski-ludowej-poznaj-prawdziwa-historie-tulipana/

Łoziński J., *Poszukiwany Zdzisław Najmrodzki*, b.m.w. 1991

Mackiewicz J., *Sergiusz Piasecki i jego Niedźwiedzica*, „Wiadomości”, 20/1970

Milewski S., *Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy*, Warszawa 2009

Miłosz C., *Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 1999

Najmrodzki Z., *Oblicza prawdy*, Kraków 1990

Napad bandycki na kolejkę podjazdową, „Dziennik Wileński”, 192/1926

Piasecki S., *Autodenuncjacja*, Warszawa 2002

Piasecki S., *Były popucznik Miłosz*, „Wiadomości”, 44/1951

Piasecki S., *Dla honoru organizacji*, Łomianki 2013

Piasecki S., *Dlaczego? List otwarty do redaktora „Odrodzenia”*, „Tygodnik Polski” [Nowy Jork], 26/1946

Piasecki S., *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, Warszawa 1994

Piasecki S., *Piąty etap*, Łomianki 2014

Piasecki S., *Spojrzę ja w okno...*, Łomianki 2009

Piasecki S., *Zapiski oficera Armii Czerwonej*, Łomianki 2002

Piasecki S., *Żywoć człowieka rozbrojonego*, Łomianki 2013

Piątkowska M., *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce. Grandesy, kasiarze, brylanty*, Warszawa 2012

Polechoński K., *Żywoć człowieka uzbrojonego. Biografia, twórczość i legenda literacka Sergiusza Piaseckiego*, Warszawa–Wrocław 2000

Potworna zbrodnia. Świątokradztwo na Jasnej Górze. Okradzenie Obrazu Przenajświętszego, „Gazeta Częstochowska” (Dodatek Nadzwyczajny), 23.10.1909

Pragier A., *Kilka wspomnień o S. Piaseckim*, „Wiadomości”, 25/1970

Proces księdza Damazego Macocha, Toledo, Ohio 1912

Proces Taty Tasiemki, „Tajny Detektyw”, 28/1932

Rataj M., *Pamiętniki 1918-1927*, Warszawa 1965

Rawicz J., *Doktor Łokietek i Tata Tasiemka. Dzieje gangu*, Warszawa 1968

Romaniuk A., *Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu*, e-book, Warszawa 2013

Rzewuski P., *Pierwszy wśród kasiarzy – Stanisław Cichocki, „Szpicbródka”*, <https://www.wprost.pl/494946/Pierwszy-wsrod-kasiarzy-Stanislaw-Cichocki-Szpicbrodka>

Sąd doraźny nad Piaseckim i Niewiarowiczem, „Dziennik Wileński”, 227/1926

<http://www.szkolafirtu.pl/>

Szkoła uwodzenia Tulipana – najsłynniejszy podrywacz PRL-u powraca,

<http://www.gs24.pl/wiadomosci/kamien/art/4980902,szkoła-uwodzenia-tulipana-najsłynniejszy-podrywacz-prlu-powraca-wideo.id.t.html>

Szymborski T., *Zdzisław Najmrodzki wymykał się milicji 29 razy!*, <http://www.focus.pl/artykul/zdzislaw-najmrodzki-wymykal-sie-milicji-29-razy>

Świętokradztwo na Jasnej Górze, „Gazeta Częstochowska”, 24.10.1909

Tajemnica koperty „Kr. N. Wog”, „Tajny Detektyw”, 33/1932

Tekieli R., *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, <http://gpcodzien.pl/33563-kochanek-wielkiej-niedzwiedzicy.html>

Tomaszewicz E., *Gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy. Kobiety w życiu i twórczości Sergiusza Piaseckiego*, Warszawa 2003

Tomaszewicz E., *Żywot człowieka uzbrojonego*, http://wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,12123487,Zywot_czlowieka_u_zbrojonego.html

Tutaj J., *Nie słyszał radia, nie był na filmie dźwiękowym. Co mówi Sergiusz Piasecki po 11-letnim pobycie w więzieniu*, „Kurier Wileński”, 214/1937

Wańkowicz M., *Dzieje domeczku. Goście w domeczku*, „Wiadomości”, 26/1948

Wańkowicz M., *Wielka Niedźwiedzica świeci w okna więzienne*, „Wiadomości Literackie”, 23/1937

Wat A., *Mój wiek*, t.1, Warszawa 1998

„Wieczór Warszawski”, 3.07.1932

Wielkie napady PRL. Uciekinier Najmrodzki, TVP Regionalna, 2005

<https://www.youtube.com/watch?v=TMBApMfUHoY>

Zajączkowska J., *Pieniądze i seks. Uwodzicielski »Tulipan«*, <http://wiadomosci.onet.pl/na-tropie/pieniazde-i-seks-u-wodzicielski-tulipan/fw5p7>

Zbrodnia w Częstochowie, „Kurier Warszawski”, 06.10.1910

Zdanowicz M., *Likwidacja sowieckiej bandy szpiegowskiej*, „Kurier Wileński”, 200/1926

Zdanowicz M., *Sprawcy napadu na kolejkę wąskotorową pod Lidą przed sądem doraźnym*, „Kurier Wileński”, 208/1926